

Pierwszy tom bestsellerowej serii o komisarzu Williamie Wistingu.
Tu wszystko się zaczyna!

JØRN LIER HORST

KLUCZOWY ŚWIADEK



Oparta na faktach historia
jednego z najbardziej brutalnych morderstw Norwegii

**JØRN LIER
HORST**

KLUCZOWY ŚWIADEK

Przekład z języka norweskiego:

Milena Skoczko

smak  słowa

2017

W serii o Williamie Wistingu ukazały się
następujące tomy:

Gdy mrok zapada. (prequel)

Kluczowy świadek. Tom 1

Szumowiny. Tom 6

Poza sezonem. Tom 7

Psy gończe. Tom 8

Jaskiniowiec. Tom 9

Ślepy trop. Tom 10



Przedmowa do wydania polskiego

Gdy mrok zapada jest ostatnią – jak dotąd – powieścią o Williamie Wistingu, *Kluczowy świadek* – pierwszą.

Kluczowego świadka zacząłem pisać późną jesienią 2001 roku. Książka ukazała się w Norwegii w lutym 2004 roku. Od tego czasu nakład wznawiano 25 razy.

Kiedy dzisiaj biorę ją do ręki i przerzucam kartki, dochodzę do wniosku, że jest to stosunkowo prosta powieść kryminalna, zarówno jeśli chodzi o język i formę, jak i wydźwięk. Wciąż jednak odnajduję w niej fragmenty, z których jestem bardzo zadowolony.

Ta powieść jest szczególna, ponieważ powstała na kanwie prawdziwej historii. Opowiada o jednym z najbardziej zagadkowych i brutalnych morderstw w dziejach norweskiej kryminalistyki, a mianowicie o dokonanym w 1995 roku zabójstwie 71-letniego wdowca Ronalda Ramma. Byłem wtedy młodym, świeżo upieczonym policjantem, a dom jednorodzinny Ramma w Rødberg, między Larvikiem a Stavern, był pierwszym miejscem zbrodni, w którym się znalazłem. Odkryliśmy w nim ślady walki, walki na śmierć i życie, toczącej się we wszystkich pomieszczeniach, a zakończonej w przedpokoju, gdzie leżało zmasakrowane ciało Ramma.

Oględziny miejsca zdarzenia wykluczyły, by sprawca lub sprawcy włamali się do jego domu. Wszystkie okna, drzwi i zamki pozostały nienaruszone. A zatem Ronald Ramm najprawdopodobniej sam wpuścił zabójcę do środka.

Sprawca wyraźnie czegoś szukał, ponieważ dom został splądrowany. Wszystkie szafy i szuflady były otwarte, a ich zawartość wyrzucona na podłogę. Szkatułka na biżuterię została rozbita, a materac łóżka pocięty, ale nie udało się ustalić, czy cokolwiek zginęło. Co dziwne, portfel Ramma, z dużą

ilością gotówki, leżał na wierzchu, a sejf w piwnicy był nietknięty. Jediną rzecz, którą sprawca z całą pewnością zabrał z miejsca zdarzenia, stanowił klucz do domu ofiary. Zabójca zamknął nim drzwi za sobą.

Gdy dziesięć lat później ukazał się *Kluczowy świadek*, zagadka wciąż pozostawała nierozwiązana. Liczyłem na to, że pojawienie się tej książki na rynku odświeży zainteresowanie dawną sprawą i że zgłoszą się osoby, które wiedzą coś na jej temat. I tak też się stało. Otrzymaliśmy kilka nowych informacji, które doprowadziły do wznowienia śledztwa. Obecnie wiemy więcej o tym, co wydarzyło się w 1995 roku, ale nadal jest to zbyt mało, by móc postawić zarzuty konkretnej osobie.

Oczywiście pozwoliłem sobie na pewną swobodę i wprowadziłem zmiany, jeśli chodzi o galerię postaci, ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni i potencjalnych podejrzanych. Najwięcej podobieństw można znaleźć do chwili, gdy w trzecim rozdziale Wisting opuszcza dom ofiary. Natomiast największą różnicą między fikcją literacką a rzeczywistością jest to, że czytelnicy poznają rozwiązanie zagadki. Jestem jednak przekonany, że – tak jak w powieści – do zabójstwa Ronalda Ramma doszło w związku z popełnieniem innego przestępstwa.

Kluczowy świadek miał być jedyną powieścią o Williamie Wistingu, ale za bardzo polubiłem gościa, żeby się z nim rozstać.

Bardzo zależało mi na tym, żeby stworzyć postać inną niż te, które znałem z literatury. Nie chciałem, żeby mój śledczy był samotnym alkoholikiem, który prowadzi dochodzenie w pojedynkę, tak jak bohaterowie niezliczonych powieści kryminalnych. Chciałem, żeby mój bohater był podobny do policjantów, których znałem z autopsji. William Wisting właśnie taki jest: prostolinijny, zdolny policjant, ale przede wszystkim dobry, serdeczny człowiek.

W kolejnych dziewięciu książkach Wisting dojrzewał i zmieniał się razem ze społeczeństwem. Na własnej skórze odczuwał, że przestępcy stają się coraz brutalniejsi i lepiej zorganizowani, a ludzie są coraz mniej bezpieczni. Im mroczniejszy stawał się świat, tym bardziej Wisting czuł się rozczarowany. Wielokrotnie pozwalałem mu zanurzyć się w ciemności.

Punktem wyjścia powieści *Gdy mrok zapada* była chęć cofnięcia się do samego początku i próba odpowiedzi na pytanie, jak się to wszystko zaczęło, jaki był William Wisting, zanim zorganizowana, brutalna

przestępczość stała się częścią naszej codzienności. Dlatego historia zaczyna się na początku lat 80., gdy Wisting był młodym funkcjonariuszem, świeżo po szkole policyjnej.

Pisząc tę powieść, odkryłem, że niektóre cechy Wistinga pozostały niezmiennie. Nadal jest cierpliwy i wyrozumiały, a tym, co pobudza go do działania, wciąż jest pewność wygranej. To przekonanie zawsze było silniejsze od lęku przed porażką. I to właśnie czyni go tym, kim jest.

Pragnę też uspokoić wszystkich zainteresowanych – to nie było ostatnie śledztwo prowadzone przez Williama Wistinga. Wciąż lubię tego gościa.

Jørn Lier Horst
Larvik, styczeń 2017

*Choć nie jestem ciężarem dla bliźnich
I do nikogo nie pałam złością,
Pewność mam, że niejeden z nich
Zabiłby mnie z radością.*

– HERMAN WILDENVEY

Zimne powietrze wypełniające murowany budynek było przyjemnie orzeźwiająca. Gdy Morgan Haukedal pchnął drzwi wyjściowe, niosąc walizkę pełną gotówki, uderzyła go fala upału. Wytarł przedramieniem kilka kropli potu z czoła i skinął na kolegę, który otworzył tylne drzwi opancerzonej furgonetki. Przez krótką chwilę stał pochylony, czekając, aż zamkną się za nim drzwi. Gdy się odwrócił i zobaczył, że Torger Nordkvelle stoi z podniesionymi rękami, zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

Tęższy z napastników podszedł prosto do Torgera i uderzył go w głowę kolbą karabinu. Konwojent upadł. Z rany przy lewym uchu wypłynęła strużka krwi i już po chwili na zakurzonej asfalcie powstała mała czerwona kałuża.

Drugi napastnik przycisnął lufę karabinu maszynowego do skroni Haukedala. Mężczyzna usłyszał mechaniczny dźwięk broni, gdy przestępca wsunął nabój do komory.

– Podnieś służę! – rozkazał.

Konwojent zawahał się. Na moment, a jednak o kilka sekund za długo. Silne uderzenie odbiło się echem we wnętrzu furgonetki. Nieprzytomne ciało Nordkvellego drgnęło w dziwny sposób. Jego tydka była wykręcona pod nienaturalnym kątem w stosunku do kolana. Fragmenty zmiażdżonej rzepki wystawały spod rozdartych spodni munduru. Wstukując kod otwierający drzwi służby, Haukedal czuł wzbierające nudności. Niemal instynktownie założył drżące ręce za głowę, znalazł miejsce na chodniku, które nie było zalane krwią, ukląkł i położył się na ziemi.

Buty taktyczne tupały pospiesznie obok jego twarzy, gdy napastnicy

opróżniali sejf. Potem rozległ się potrójny trzask zamykanych drzwi pojazdu. Kurz, który wzbił się w powietrze z suchego chodnika, trafił Morgana w twarz, gdy samochód ruszył z piskiem opon.

1

William Wisting odłożył harmonijkę do szuflady i popchnął ku krawędzi biurka wysoki stos papierów w zielonej okładce. Mógł teraz położyć nogi na blacie. Odchylił się w fotelu i spojrzał na Larviksfjorden. Z okna swojego gabinetu na drugim piętrze komendy policji przy Brannvaktsgate sięgał wzrokiem do Stavern, czyli na odległość ośmiu kilometrów, a przy dobrej pogodzie, takiej jak tego dnia, widok roztaczał się aż do Svenner i tamtejszej latarni morskiej. Po fiordzie pływało mnóstwo żaglówek i łodzi motorowych, a na plażach roilo się od wczasowiczów.

Rzucił okiem na zegar wiszący nad drzwiami gabinetu. Za dziesięć druga. Wkrótce będzie mógł zamknąć za sobą drzwi i udać się na urlop. Wlał do filiżanki resztkę kawy z ekspresu i wyciągnął wtyczkę. Harmonijka i stary ekspres przelewowy Moccamaster należały do wyposażenia gabinetu od niemal osiemnastu lat, to znaczy od dnia, w którym rozpoczął pracę w wydziale kryminalnym.

Spod pliku papierów wystawał katalog biura podróży, przypominając Wistingowi, że z okazji dwudziestolecia ślubu chciał zaskoczyć Ingrid wycieczką dla dwóch osób do Rzymu. Od tej magicznej daty dzieliły ich już tylko trzy tygodnie, a komisarz wciąż nie znalazł czasu, by zarezerwować wycieczkę. Podniósł leżącą na biurku podkładkę, szukając kartki z bezpośrednim numerem telefonu do młodej pracownicy biura podróży, lecz przeszkodził mu telefon komórkowy, który wydał z siebie dwa krótkie sygnały. Mógł się założyć, że to kolejny sprośny dowcip od Nilsa Hammera, którego gabinet znajdował się w głębi korytarza. Wisting uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył, że to był esemes od córki: „Jestem w Pradze. Buziaki! Line”. A więc bilet Interrail, na który po długich namowach wyraził zgodę, zawiódł ją aż tak daleko.

Znowu zerknął na zegar nad drzwiami i lekko westchnął, stwierdziwszy z rozczarowaniem, że mechanizm spóźniał się o minutę w stosunku do zegara na wyświetlaczu komórki, a jednocześnie spieszył o minutę w stosunku do zegarka na ręce Wistinga. Uznał, że albo nauczy się nastawiać jeden z nich, albo będzie musiał przywyknąć do takich chwil irytacji, które koniec końców były błahostkami.

Rzym i biuro podróży musiały poczekać. Wisting wziął akta sprawy do jednej ręki, filiżankę kawy do drugiej i wyszedł z gabinetu. Nie lubił się spóźniać, zwłaszcza na narady, które sam zwoływał.

Nils Hammer był już na miejscu. Gdy komisarz wszedł do pokoju, śledczy wyrwał kartkę papieru z bloku, który leżał przed nim, i zwinął ją w kulkę.

– Dwie godziny i wakacje – skomentował zadowolony z siebie policjant.

– Tak. I za dwie godziny te akta wylądują na czyimś biurku – odparł Wisting i z hukiem upuścił dokumenty na stół.

– Ojoj! Ktoś tu nie ma dzisiaj humoru.

– Żebyś wiedział, jestem wkurzony!

Wisting poprawił ułożenie kilku dokumentów, które po uderzeniu o blat wysliznęły się z pliku kartek, i mówił dalej:

– Za to ciebie humor nie opuszcza. Upojony szczęściem po wczorajszej konfiskacie haszyszu? Przy okazji: dobra robota.

Hammer przytaknął i jednocześnie machnął ręką, jakby nie było o czym mówić.

– Nie wszyscy są tego zdania.

– Nie?

– Rodzice chłopaka z wczorajszej akcji – wyjaśnił. – Byli oburzeni sposobem, w jaki został potraktowany ich synalek, i zanim wyszli z gabinetu, zwymyślali mnie, kurwa, od najgorszych. Tym, że smarkacz jest na skraju przepaści, w ogóle się nie przejęli. Co za ludzie!

Wisting zareagował na ten wybuch żalu krzywym uśmiechem, który miał oznaczać, że rozumie kolegę z sekcji narkotykowej, ale musiał przyznać sam przed sobą, że więcej zrozumienia ma dla rodziców chłopaka. Filozofia, którą w zwalczaniu przestępczości narkotykowej kierował się Hammer, sprowadzała się do tego, by pierwsze spotkanie młodego człowieka z policją uczynić tak bardzo nieprzyjemnym, jak to tylko możliwe. Oznaczało to między innymi, że wszyscy, którzy zostali zatrzymani przez Hammera, musieli rozebrać się do naga, wystawić tyłek i rozsunać pośladki, tak by

śledczy mógł skontrolować, czy włosy łonowe nie są skierowane do wewnątrz. Jeśli były, mogło to wskazywać, że narkotyki zostały wepchnięte do środka i ukryte w odbycie. Problem w tym, że większość młodych ludzi, których Nils w ten sposób zniechęcał do narkotyków, nie miała jeszcze włosów między nogami.

Badanie naturalnych otworów ciała było jedną z tych metod, z których powodu Hammer budził wiele kontrowersji i gorących dyskusji w środowisku policyjnym i poza nim. Mimo to jego pozycja w sekcji narkotykowej była niepodważalna. Nikt nie mógł się z nim równać, jeśli chodziło o liczbę konfiskat, zatrzymań czy przyznań się do winy. To sprawiało, że patrzono przez palce na jego metody śledcze, choć czasem Hammer znajdował się niebezpiecznie blisko tego, co niedopuszczalne.

Dokładnie o godzinie czternastej zdecydowanym krokiem weszła do pokoju długonoga Torunn Borg. Zanim usiadła na krześle, Hammer rzucił okiem na jej jędrne pośladki. Borg ze swoimi jasnobrązowymi zmierzwionymi włosami i wyblakłymi, niemal niewidocznymi rysami twarzy raczej nie należała do kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy, ale jej piękno tkwiło w oczach. Był w nich jakiś szczególny błysk, który zauważało się dopiero po pewnym czasie, a który zdradzał, że za mało pociągającą powierzchnością kryje się tajemnicze wnętrze.

W świadomości Wistinga Torunn Borg jawiła się jako całkowite przeciwieństwo Hammera. Wszystko, co robiła, było gruntownie przemyślane. Umiała sprawić, że podręcznikowa teoria sprawdzała się w praktyce. Dzięki temu była ogromnym wsparciem dla ekipy dochodzeniowej. Wistinga często nachodziła myśl, że gdyby rozwiedziona matka dwojga dzieci miała inną sytuację życiową i nie stawiała na pierwszym miejscu domu i dzieci, to właśnie ona, a nie on, stałaby na czele wydziału. Prawdę mówiąc, nie sprawiłoby mu to przykrości. Wisting nie miał ambicji, żeby piąć się po szczeblach kariery. Na stanowisku, które obecnie zajmował, znalazł się dzięki profesjonalizmowi i zaangażowaniu, a nie marzeniu o tym, by zostać szefem. Dla niego ważniejszy od tego, kto kieruje pracą, był sam fakt, że została ona wykonana.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego od swoich informatorów? – spytała Borg, siadając obok Hammera.

– Nie. Zdaje się, że ten napad trafi do archiwum z adnotacją „umorzono z powodu nieustalenia sprawcy” – odparł śledczy i rzucił małą papierową

kulką w tablicę korkową, która wisiała na dłuższej ścianie, starając się trafić w zdjęcie opancerzonej furgonetki z otwartą tylną klapą.

Wisting skinął głową, ale nie podobała mu się ta myśl. Wyobraził sobie, jak miliony koron przechodzą z rąk do rąk i zostają wymienione na narkotyki, alkohol, papierosy i broń. Jak pieniądze z napadu zostają wessane w spiralę transakcji przynoszących coraz większy zysk i kapitał pod nowe nielegalne inwestycje. Właśnie te żywe wręcz wyobrażenia były jego siłą napędową, jedną z wielu, które sprawiały, że z własnej woli spędzał sobotnie wieczory w towarzystwie dilerów narkotyków i innych przestępców zamiast z żoną i dziećmi.

Z zamyślenia wyrwała Wistinga syrena wozu policyjnego, który wyjeżdżał z garażu. Dwóch studentów Wyższej Szkoły Policji, zatrudnionych latem na zastępstwo musiało otrzymać wezwanie, które wydało im się wystarczająco ekscytujące, by użyć sygnalizacji świetlnej i dźwiękowej. Życzył im, żeby to było coś poważniejszego niż rozgorączkowany turysta, który zatrzasnął kluczyki w samochodzie, lub pierwszy tego dnia przypadek ostrej popijawy w Bøkeskogen^[1].

– Jak stoimy? – zagał.

– Na spoczniej – odparował Hammer.

– Świetnie. A jak możemy posunąć się dalej?

– Nie jestem pewna, czy jest jakieś dalej – odpowiedziała Borg. – Wydaje mi się, że zajrzeliśmy pod każdy kamień i sprawdziliśmy nawet najmniejszy trop.

– Mimo wszystko podsumujmy to, co już wiemy – zaproponował Wisting, starając się być trochę większym optymistą, niż był w rzeczywistości.

Podsumowanie wypadło jednak tak, jak się tego obawiał drzemiący w Wistingu realista. Sprawie groziło umorzenie. Po zakończeniu narady został sam w małej sali posiedzeń. Zaczął ściągać z tablicy korkowej zdjęcia i notatki dokumentujące profesjonalnie przeprowadzony napad i późniejszą ucieczkę. Zdjęcie spalonego chryslera, który stał na parkingu przy drodze krajowej nr 40 dwadzieścia kilometrów na północ od Larviku, obrazowało przebiegłość napastników. Dziewięć minut po uruchomieniu alarmu o napadzie policja otrzymała zgłoszenie o pożarze auta i skierowała cały zespół operacyjny na północ, licząc, że uda się okrążyć przestępców. Po kolejnych siedmiu minutach zgłoszono następny pożar samochodu. W okolicy

Steinsholt, jeszcze dalej na północ, paliło się audi.

Nagłym ruchem ręki Wisting wrzucił zdjęcia do pudła, jakby w ten sposób chciał dać upust złości. Płonące auta wzdłuż drogi krajowej okazały się manewrem taktycznym. Przestępcy uciekli w przeciwnym kierunku. Dopiero gdy pożary w Lågendalen^[2] zostały ugaszone, policja zainteresowała się zgłoszeniem dotyczącym pożaru zagajnika w Brunlanes. To tam, w pobliżu posiadłości Ulleberg, spłonął doszczętnie samochód, którym przestępcy odjechali z miejsca zdarzenia. Zdjęcie przedstawiało wrak chryslera voyagera stojącego obok zwęglonych szczątków niemal tysiącletniego dębu Ulleberg, który również padł ofiarą płomieni. Przymocowana niegdyś do drzewa metalowa tabliczka potwierdzająca, że dąb jest pomnikiem przyrody, leżała razem z dziewiętnastoma pustymi metalowymi walizkami.

Od Ulleberg bandyci musieli uciekać w kierunku wybrzeża. Ostatni raz byli widziani przez rozchichotaną parę zakochanych. Z położonej na uboczu przybrzeżnej skały w pobliżu Skråvika młodzi zaobserwowali, jak z dużą prędkością nadjeżdża białe audi i zatrzymuje się tuż przy plaży. Trzech mężczyzn ubranych w kombinezony przeniosło pięć czarnych worków na śmieci na pokład dużej łodzi wciągniętej na kamienistą plażę. Jedyne, co zakochani mogli powiedzieć o mężczyznach, którzy odpłynęli łodzią, to że jeden z nich być może był cudzoziemcem. Gdy późnym wieczorem policjanci dotarli do Skråvika, auta już tam nie było, ale zabezpieczono ślady opon samochodowych i motocyklowych. Tej samej nocy spalona łódź została znaleziona w Aulielva^[3].

Komisarz już miał zerwać z tablicy zdjęcie zabezpieczonej łuski, gdy do pokoju wszedł Eskild Anvik.

– Tutaj jesteś – powiedział. Miał poważny wyraz twarzy i sprawiał wrażenie, jakby szukał odpowiednich słów.

– Tak, ale już niedługo – odparł Wisting. Szybko jednak zrozumiał, że komendant nie szukał go po to, żeby życzyć mu udanego urlopu.

– Masz jakieś plany na weekend?

– Na weekend i na kolejne trzy tygodnie.

Zrobił sztuczną pauzę. Czuł, że coś się stało. Coś poważnego. Coś, co oznaczało, że urlop nie będzie wyglądał tak, jak go sobie zaplanował.

– Ale nie aż takie, żeby nie dało się ich zmienić – dodał z uśmiechem. Czuł łaskotanie w żołądku jak zawsze, gdy kroїła się duża sprawa. Został

policjantem, żeby urzeczywistnić swoje chłopięce marzenie, a takie nieprzewidziane wypadki czyniły to marzenie wiecznie żywym.

– Możesz pojechać do Stavern? – spytał komendant. – Właśnie znaleziono tam zwłoki.

[1] Bøkeskogen (pol. las bukowy) – pierwszy w Larviku publiczny teren rekreacyjny, przekazany mieszkańcom w 1884 roku przez właściciela ziemskiego Treschowa; od 1980 roku objęty ochroną krajobrazową. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

[2] Lågendalen – dolna część doliny biegnącej wzdłuż rzeki Numedalslågen w okręgach Vestfold i Buskerud.

[3] Aulielva – rzeka w gminie Tønsberg.

2

Jechali na sygnale przez centrum małej miejscowości letniskowej. Wisting znał dobrze okolicę, chociaż czterdzieści lat temu krajobraz wyglądał zupełnie inaczej. Las i góry z jaskiniami i szałasami z jedliny – idealne miejsce dla małych kowbojów i Indian. Wisting zawsze grał szeryfa i właśnie tu, gdzie rzędy domów wyparły wspaniałą gęsty las, postanowił, że zostanie policjantem. Czuł, że zaraz się zarumieni, gdy pomyślał, że właściwie od dziecka lubił reprezentować prawo i porządek.

Przed Auserødsvingen 11 przywitał go młody funkcjonariusz policji w idealnie wyprasowanych spodniach od munduru i wypolerowanych butach. Palący się do pracy i ciekawi wszystkiego studenci Wyższej Szkoły Policji stanowili pewną oznakę lata. Wielu jego kolegów patrzyło na nich jak na żółtodziobów i niejednokrotnie traktowało ich szorstko i lekceważąco. Ale nie Wisting. Pamiętał, jak sam był w ich wieku, i dlatego robił, co mógł, by czuli się pewni i potrafili sprostać wyznaczonym zadaniom. Niski chłopak, który stał przed nim w postawie na baczność niczym żołnierz przed swoim dowódcą, nazywał się Jarle Evanger, natomiast jego młody partner był zajęty rozwijaniem taśmy policyjnej wokół żywo płotu okalającego mały, pomalowany na czerwono dom. Nagle Wisting poczuł mimowolnie rozdrażnienie. Świeżo upieczony funkcjonariusz przekrzywił taśmę, tak że słowo POLICJA znajdowało się do góry nogami, a poza tym ani on, ani jego kolega nie nosili czapki. Obecnie traktowano to jak nieistotny szczegół, ale zgodnie z przepisami dotyczącymi umundurowania policjantów nakrycie głowy wciąż było obowiązkowe. Wisting nie uważał się za służbistę, ale nie lubił niechlujstwa.

– Zgłoszenie wpłynęło do centrali o godzinie 14:03 – zameldował Evanger lekko drżącym głosem. Widać było, że jest zdenerwowany tym, co widział i co

musi zrelacjonować. Wisting już miał poprosić młodszego kolegę, żeby się rozluźnił i wszystko spokojnie wyjaśnił, ale pomyślał, że w ten sposób podkopie zaufanie chłopaka do samego siebie, i dlatego słuchał go uważnie.

– Na miejsce zdarzenia przybyliśmy o godzinie 14:16 – mówił dalej Evanger, a jego jabłko Adama poruszało się w górę i w dół pod jasnoniebieskim kołnierzykiem koszuli. – Zawiadomił nas sąsiad, Knut Seljesæter. Ich skrzynki pocztowe wiszą na tym samym statywie. Gdy opróżniał swoją, zauważył, że skrzynka sąsiada jest wypełniona po brzegi. Zadzwoił do niego, a potem pukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Wtedy obszedł dom i zajrzał do środka przez okno. Zobaczył, że sąsiad leży martwy na kanapie. Zupełnie nagi.

– Powiedziałeś nagi?

Młody policjant przytaknął gorliwie.

– Byliście w środku?

Wisting ruszył w stronę okien salonu. Funkcjonariusz podążył za nim.

– Nie, drzwi są zamknięte. Nie widzieliśmy nic ponad to, co zobaczył sąsiad. Ale mężczyzna na pewno został zamordowany!

– Skąd to wiecie?

– Jest nagi. Leży z tyłkiem do góry i ma związane ręce i nogi. Na pewno sam sobie tego nie zrobił!

Drugi policjant zdążył otoczyć miejsce zdarzenia taśmą i podszedł do nich. Wisting pamiętał z rundy prezentacyjnej, że chłopak nazywa się Boger. Ciekawe, czy jest spokrewniony z moim starym wykładowcą ze szkoły policyjnej?, pomyślał komisarz.

– Na pewno nie żyje od długiego czasu – odezwał się Boger, starając się sprawiać wrażenie pewnego siebie i nieporuszonego tym, co zobaczył. – Jego głowa jest całkiem granatowa. Niemal czarna. Nie było sensu wzywać karetki ani włamywać się do środka, żeby sprawdzić puls. Uznaliśmy, że najlepiej będzie zostawić miejsce zdarzenia nietkniętym.

– Dobrze. Kto tu mieszka? – spytał Wisting.

Pierwszy funkcjonariusz był lekko zażenowany faktem, że pominął tak kluczową informację w swoim wstępnym meldunku.

– Preben Pramm – odparł.

– Mieszka sam?

– Tak. W każdym razie na skrzynce pocztowej widnieje tylko jego nazwisko.

Komisarz podszedł do tarasu przed oknami salonu. Pokonał dwa stopnie schodów i zajrzał do środka przez szparę między zasłonami. Osłonił oczy dłońmi, żeby lepiej widzieć, ale pilnował się, żeby przez przypadek nie dotknąć szyby. Komendant zrobił to samo.

– O cholera! – wyrwało mu się.

– No właśnie – potwierdził Boger.

Opis ofiary zabójstwa przedstawiony przez młodego policjanta był trafny. Z tarasu Wisting dostrzegł mężczyznę przewieszzonego przez oparcie czerwonej welurowej kanapy. Mógł mieć około siedemdziesiątki, ale komisarz nie był w stanie stwierdzić tego z całą pewnością. Mężczyzna leżał z głową do dołu, lekko przekrzywioną w bok. Był niemal łyśy, tylko kilka siwych kosmyków zwisało mu ze skroni. Zanim nastąpił zgon, krew zebrała się w najniższym punkcie ciała, przez co głowa była teraz czarnogranatowa. Oba nadgarstki miał związane niebieskim nylonowym sznurem, który przywiązano ciasno do nóg kanapy. Nagie ciało było zbroczone krwią, która zastygła, zamieniła się w strupy i szerniała.

– Evanger? – zaczął Wisting, zwracając się do niskiego funkcjonariusza. – Najlepiej będzie, jeśli włożysz czapkę. Jutro znajdziesz się na pierwszych stronach gazet i jeśli szef nie będzie miał się do czego przyczepić, to da ci wykład na temat umundurowania policjantów.

3

O wpół do piątej Finn Haber, stary wyga, był już na miejscu zdarzenia. Zbliżał się do pięćdziesiątych siódmych urodzin i wieku emerytalnego w policji. Jego praca, którą wykonywał nieprzerwanie od trzydziestu pięciu lat, polegała głównie na szukaniu odcisków palców i innych śladów kryminalistycznych. W ciągu tak długiej służby Haber był świadkiem ogromnego postępu, jaki się dokonał w kryminalistyce. Trzydzieści lat temu na podstawie włosów znalezionych na miejscu przestępstwa można było wysunąć nieśmiało przypuszczenia, że sprawca był rudy, czy też był blondynem. Dzisiaj włos długości milimetra albo kropla potu mogły doprowadzić do schwytania sprawcy.

Haber szedł z duchem czasu. Zeszłego lata przyczynił się do wyjaśnienia głośnej sprawy gwałtu na Solplassen Camping. W zagajniku za polem kempingowym doszło do próby gwałtu na mieszkance Oslo. Sprawca przekonał kolegów, żeby dali mu alibi, ale fragmenty jego naskórka, które Haber znalazł pod paznokciami dziewczyny, okazały się wystarczającym dowodem. Dzięki analizie porównawczej DNA udało się skazać chłopaka.

Szczupły, siwy technik kryminalistyki włożył biały jednorazowy kombinezon i taki sam czepek, na buty naciągnął niebieskie plastikowe ochraniacze, a na dłonie gumowe rękawiczki. Najpierw sfotografował drzwi wejściowe i sprawdził, czy nie ma na nich odcisków palców. Gdy stwierdził brak śladów włamania, otworzył drzwi wytrychem i wszedł do środka.

Wisting ubrał się tak jak Haber, ale postanowił skorzystać z rady, jakiej w Wyższej Szkole Policji udzielono im na zajęciach z oględzin miejsca zdarzenia: włożył obie ręce głęboko do kieszeni.

Zanim przekroczył próg i udał się za Haberem, rzucił okiem na swoje buty na szorstkich betonowych schodach. Plastikowe ochraniacze przypomniały mu

dzień, w którym odwiedził Ingrid w szpitalu i po raz pierwszy zobaczył bliźnięta – dzień przed niemal dwudziestoma laty, gdy na świat przyszedł jego dzieci. Wspomnienie przyćmiła szybko myśl, że ten, kto niedawno pozbawił życia Prebena Pramma, stał dokładnie w tym samym miejscu i teraz on, Wisting, kroczy po śladach zabójcy. Poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Pełen podekscytowania uśmiech zakamuflował suchym kaszlem.

Ściany przedsiionka były pokryte ciemną tapetą w zielone kwiaty. Przypomniało mu się, że podobna tapeta wisiała w kuchni ich domu na Herman Wildeveys gate, który kupił pod koniec lat siedemdziesiątych. Ingrid zatroszczyła się jednak o to, żeby od tamtej pory ściany zmieniły kolor cztery lub pięć razy.

Na podłodze w wąskim korytarzyku leżały rzeczy, które wyglądały tak, jakby zostały zerwane z wieszaka na ubranie. Kieszenie niebieskiej wiatrówki i brązowych sztruksowych spodni były wywinięte na zewnątrz, tak że widać było podszewkę. Wisting zerknął przez otwarte drzwi na lewo i skonstatował, że w pomieszczeniu znajduje się pralka i zasobnik ciepłej wody użytkowej. Na ścianach wisiały półki garażowe, ale ich zawartość została zrzucona na podłogę – narzędzia, puszki, stare czasopisma i ubrania leżały na jednym wielkim stosie. Drzwi na prawo były uchylone, za nimi dostrzegł schody do piwnicy, skąd napływało zimne, surowe powietrze, wprawiając w ruch kilka kłębków kurzu, który zebrał się w rogu.

Poszli dalej prosto i nagle uderzyła ich mdła woń martwego ciała. Wisting zasłonił nos i usta, żeby filtrować powietrze. Oczywiście na nic się to zdało. Przez chwilę stał nieruchomo, na próżno starając się przyzwyczaić do odoru zwłok. Podłoga w korytarzu była pokryta odłamkami szkła i kawałkami drewna pochodzącymi z dwóch oprawionych w ramy obrazów. Na ścianie wisiały dwa inne, w czarnych ramach. Jeśli Wisting się nie mylił, jeden przedstawiał orła, a drugi kruka.

Na zamkniętych drzwiach widniał napis „toaleta”. Z kolei drzwi do sypialni były otwarte na oścież. Zawartość szafy na ubrania leżała rozrzucona na pojedynczym łóżku i podłodze. Materac wyglądał tak, jakby został pocięty, a szuflada stolika nocnego leżała do góry dnem na poduszce razem z kilkunastoma numerami „Lek”, „Cocktail” i „Aktuell Rapport”^[4].

Haber trącił Wistinga w bok i wskazał otwarte drzwi do kuchni po przeciwnej stronie. Drzwiczki lodówki były lekko uchylone. Strużka światła

padała na szarą posadzkę, na której leżały rozrzucone przyrządy kuchenne, sztucce i różne produkty spożywcze. Palec wskazujący Habera był skierowany na ślady obuwia odcisnięte w mieszaninie mąki i mielonej kawy.

Przez szparę w drzwiach prowadzących do salonu dolatywały ciche dźwięki tanga z trzeszczącego radia, które nie było odpowiednio nastrojone. Intensywny brzęczenie much i innych owadów niemal zagłuszało muzykę. Haber trzykrotnie wciągnął głęboko powietrze, zanim pchnął drzwi.

Salon był urządzone w tym samym stylu lat siedemdziesiątych, jak ta część domu, którą Wisting zdążył już zobaczyć. Podłoga z winylu była brudna i zakurzona. Muzyka płynęła z dwóch głośników, które zdjęto ze ściany i położono przed starym stolikiem RTV. Jego szuflady były wysunięte, a część zawartości leżała na podłodze razem ze stosem płyt gramofonowych.

Wisting automatycznie skierował spojrzenie na nagie ciało znajdujące się na środku pokoju, ale szybko powiodł wzrokiem dalej, jakby chciał najlepsze zostawić sobie na koniec. Zawsze tak robił bez względu na to, czy chodziło o szczegóły okrutnej zbrodni, czy o zawartość bombonierki. To był stary zwyczaj jeszcze z czasów dzieciństwa, gdy w sobotnie wieczory zawartość torebki z łakociami była selekcyonowana w taki sposób, że to, co miało słodki smak, zjadano na końcu. Rozpakowywanie prezentów w wigilijny wieczór również podlegało podobnemu rytuałowi: od paczek miękkich do twardych. Poczul łaskotanie w żołądku, które kojarzyło mu się z nieznośnym, wielogodzinnym oczekiwaniem na chwilę, gdy leżące pod choinką prezenty można było nareszcie otworzyć. Wiedział dobrze, że to dziecięce uczucie będzie przybierać na sile wraz z kolejnymi drobnymi szczegółami i wrażeniami z miejsca zbrodni, które zbierze i przyswoi i które – pojedynczo lub połączone ze sobą – powiedzą mu coś na temat sprawcy i staną się kluczowymi elementami układanki.

Pozwolił, by jego wzrok krążył swobodnie po pokoju. W ten sposób chciał stworzyć całościowy obraz, a jednocześnie zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Zatrzymał się przed dubeltówką opartą o stołek na środku salonu. Potem jego spojrzenie padło na setki czarno-białych fotografii rozrzuconych na ławie. Domyślił się, że zdjęcia były przechowywane w dwóch pudełkach po butach, które leżały na podłodze razem ze szklanymi okruchami niebieskiego wazonu.

W pozostałej części pokoju panował taki sam chaos. Drzwiczki w meblöściance były pootwierane, a zawartość wyrzucona na podłogę. Drzwi

kominka i popielnika były otwarte na oścież, stary popiół leżał rozsypany na ziemi i wdeptany w plecione chodniki. Jedyne miejsce, w którym panował znośny porządek, była półka nad kominkiem, na której stało kilka wypchanych małych ptaków. Na szczycie kominka królowała sowa, śledząca wszystko swoimi szklanymi oczami.

Ogólne wrażenie, jakie wzbudzał salon, było przygnębiające. Chaos i ślady plądrowania nie były w stanie ukryć tego, że ten, kto tu mieszkał, był samotnym człowiekiem, który nie potrafił stworzyć przytulnego wnętrza. Tym bardziej wyróżniał się regał z telewizorem o przekątnej minimum dwadzieścia dziewięć cali i nowoczesnym odtwarzaczem wideo. Sprzęt elektroniczny wyglądał na nowy i drogi i nie pasował do całości.

Komisarz zrobił kilka kroków w głąb pokoju, zbliżając się do martwego ciała, choć nadal unikał go wzrokiem. W poszukiwaniu kolejnych odczuć i detali przyjrzał się ławie. Zauważył kilka gazet, kalendarz książkowy, portfel, przewróconą filiżankę kawy i cztery oprawione zdjęcia przedstawiające różne gatunki ptaków. Cztery jasne pola na ścianie zdradzały miejsce, gdzie zwykły wisieć fotografie.

Wokół ławy stały dwa fotele i trzyosobowa kanapa. Na jednym z foteli leżały brązowe spodnie, biała koszula w niebieskie prążki i para starannie złożonych szarych skarpet. Jednak rzucony na podłogę brązowy skórzany pasek i jasnoniebieskie majtki rozerwane po bokach mówiły, że ich właściciel nie rozebrał się do naga z własnej woli. Kanapa stała zwrócona tyłem do drzwi wychodzących na taras i była ozdobiona kilkoma haftowanymi poduszkami. Na oparciu kanapy leżał, jak można było domniemywać, Preben Pramm.

Z zewnątrz Wisting zdołał dojrzeć, że Pramm miał związane ręce. Teraz zobaczył, że również nogi ofiary były skrępowane. Zwłoki leżały związane, tworząc coś w rodzaju gwiazdy, z pośladkami uniesionymi w górę i stanowiącymi najwyższy punkt nad oparciem kanapy. Wistingowi bezwiednie przyszedł na myśl Hammer i to, w jaki sposób szukał narkotyków w naturalnych otworach ciała.

Plecy i nogi denata były zbroczone krwią. Wisting zauważył wiele otwartych ran i podłużnych siniaków, które sugerowały, że Pramm mógł być chłostany własnym paskiem. Na pośladkach miał kilkadziesiąt okrągłych śladów po przypaleniach. Nietrudno było się domyślić, do czego służyły walające się na kanapie niedopałki papierosów.

Wisting przyglądał się zwłokom z pewnego rodzaju satysfakcją. Po chwili zorientował się, że jego prawy kącik ust podniósł się, tworząc krzywy uśmiech, natomiast w żołądku czuł ssanie, jakby z głodu. Wypełniała go radość, ponieważ mógł obserwować z bliska zagadkę śmierci, wiedząc dobrze, że to do niego należy jej wyjaśnienie.

Widok był makabryczny. Komisarz widział wiele martwych ciał; zwłoki, które były opuchnięte, z przebarwieniami skóry, rozkładające się i częściowo zjedzone przez zwierzęta. Widział zwłoki z jelitami i innymi narządami zwisającymi na zewnątrz. Z siekierami lub nożami wbitymi głęboko w ciało, mózgi rozbryzgnięte na ścianach. Widział nawet zwłoki, które zostały poćwiartowane i zapakowane do reklamówek z Rimi. Jednak w tym ciele tutaj było coś, co uświadomiło mu, że dalsze śledztwo będzie wymagało od niego maksimum profesjonalizmu. Maksimum doświadczenia i umiejętności. Krzywy uśmieszek zamienił się w szeroki uśmiech, gdy dotarło do niego, jak trudne czeka go zadanie.

Z zamyślenia wyrwał go piskliwy kobiecy głos, który przywitał słuchaczy popołudniowego programu Radia Larvik. Spikerka poinformowała, że wkrótce rozpocznie się audycja *Dwa kwadransy z country*. Finn Haber wyłączył radio, tym samym pozbawiając konkurencji brzęczące owady przy zwłokach Prebena Pramma.

Komisarz okrążył kanapę, żeby przyjrzeć się ciału z bliska. Opuchnięta głowa denata niemal dotykała zakrwawionej podłogi. Skóra łuszczyła się i sprawiała wrażenie rozmięklej. Na środku czoła widniał kolejny okrągły ślad po przypaleniu. Twarz wykrzywiał grymas zaskoczenia lub strachu. Oczy były zapadnięte i szeroko otwarte, ale obróciły się w oczodołach, przez co gałki oczne, które wpatrywały się w Wistinga, były białe i galaretowate. Krew i śluz ściekające wokół nosa i wzdłuż jego grzbietu zdążyły dawno skrzepnąć. Usta ofiary były zaklejone szerokim kawałkiem szarej taśmy klejącej.

Obok poduszki kanapowej i poplamionego krwią sekatora leżało w kałuży krwi żółte wiadro. Dziesiątki małych czarnych mrówek szły ścieżką od drzwi werandy do nogi kanapy i dalej po nylonowym sznurze, który wżynał się w opuchnięte ręce denata. Mrówki wędrowały po granatowoczarnej twarzy i zniknęły w uchu.

Wisting odwrócił wzrok i już miał odejść, gdy nagle coś kazało mu jeszcze

raz spojrzeć na zwłoki. Nie zauważył tego od razu, lecz odnotował w podświadomości, że z dłońmi ofiary było coś nie tak. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że mężczyzna wisiał z zaciśniętymi pięściami, ale gdy komisarz pochylił się, żeby przyjrzeć im się dokładnie, zrozumiał, co się nie zgadzało. Brakowało wszystkich opuszków palców. Wyglądało to tak, jakby paliczki dalsze obu rąk zostały odcięte.

Nie licząc brzęczenia owadów, w domu panowała idealna cisza. Haberowi i Wistingowi udzielił się podniosły nastrój. W końcu komisarz spytał półgłosem:

– Przyczyna zgonu?

– Trudno powiedzieć – odszepnął Haber. – Chyba zostawię to patomorfologom. Wydaje mi się, że mężczyzna został zaatakowany tępym narzędziem i to wielokrotnie, ale nie umiem powiedzieć, czy to było przyczyną zgonu.

– Brak bezpośrednich śladów walki.

– To też trudno stwierdzić. W każdym razie ktoś narobił tu niezłego bałaganu. Pierwsze wrażenie jest takie, że ktoś tu czegoś szukał.

– Portfel i kalendarz chciałbym mieć na biurku tak szybko, jak to tylko możliwe – powiedział Wisting, wskazując ławę.

Cichą rozmowę przerwał głośny i natarczywy dźwięk telefonu komórkowego, dobiegający z kieszeni komisarza. Wisting wyjął telefon, myśląc, że dzwoni Ingrid, żeby dowiedzieć się, jak długo ma czekać z obiadem. Zdziwił się nieco, gdy zobaczył numer zaczynający się od 22^[5], i zanim rozpoczął rozmowę, wyszedł z pomieszczenia wypełnionego stęchłym, mdlącym powietrzem.

– Cześć, Williamie! – pozdrowił go ktoś w dźwięcznym bergeńskim dialekcie. – Z tej strony Torbjørn! Słyszałem, że przydałaby ci się pomoc na Solkysten^[6].

Gdy Wisting zrozumiał, że będą potrzebowali pomocy z Kripas, pomyślał o swoim dawnym koledze z Wyższej Szkoły Policji. W przeciwieństwie do wielu innych funkcjonariuszy z Centrali Policji Kryminalnej Torbjørn Angell był spokojnym policjantem, który trzymał się nieco na uboczu i pozwalał lokalnej policji prowadzić dochodzenie, a sam drobiazgowo analizował materiał śledczy. Dokładność była tylko jedną z wielu cech Angella, które Wisting wysoko cenił. Problem polegał na tym, że czasami Angell tak bardzo

zagłębiał się w szczegóły, że zanim zdążył zaprezentować wyniki swoich analiz, sprawę udawało się wyjaśnić innymi metodami.

– Owszem. Serdecznie zapraszamy! – odpowiedział Wisting.

– Co tam macie?

– Sam jeszcze nie wiem. Starszy mężczyzna, skrupowany i zamordowany we własnym salonie, i jeden lub kilku napastników, którzy mają nad nami wiele dni przewagi.

– Zdaje się, że stoi przed wami prawdziwe wyzwanie.

Wisting spojrział na zegarek. Minęła siedemnasta.

– O której możesz tu być?

– Poproszono mnie, żebym zjawił się u was jutro o ósmej rano, ale przyjadę dziś wieczorem. Powiedzmy, że będę o dziewiątej.

– Doskonale! Do tego czasu wpuszczę na miejsce zdarzenia twoich techników. Spotkamy się w komendzie.

– Jesteśmy umówieni.

Wisting zakończył rozmowę na schodach. Ruszył zwirową alejką w stronę furtki, gdzie dwaj młodzi funkcjonariusze stali z rękami założonymi na plecy i z wyraźną niechęcią odpowiadali wymijająco na pytania ciekawskich sąsiadów i przechodniów. Zatrzymał się i spojrział pustym wzrokiem na mniszka pospolitego porastającego cały trawnik Prebena Pramma. Komisarz musiał to wszystko przetrwać i przemyśleć. Wyrobić sobie własne zdanie na temat możliwego przebiegu zdarzeń, stworzyć hipotetyczną historię i w miarę trwania dochodzenia wzbogacić ją o nowe szczegóły lub dokonać w niej zmian.

Jednak tym razem miejsce zbrodni zrobiło na nim zbyt silne wrażenie, by był w stanie wymyślić jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało. Nigdy nie widział nic podobnego. Mimo to miał niejasne przeczucie, że czegoś tam brakuje. Zrozumiał czego, gdy jego myśli zaczęły krążyć wokół ojca, który mógł być rówieśnikiem Prebena Pramma. W salonie ojca na ścianach wisiały zdjęcia dzieci i wnuków. Ozdoby znajdujące się na stołach i blatach były prezentami, których nie potrzebował i na które nie było miejsca, ale które bardzo cenił, ponieważ został nimi obdarowany przez kochających go ludzi. Najwyraźniej Pramm wiódł samotne życie. W jego domu Wisting nie dostrzegł niczego, co świadczyłoby o tym, że Pramm był w jakimś związku lub że ktoś był mu szczególnie bliski. To dziwne – w jaki sposób samotny człowiek może doprowadzić do konfliktów, których konsekwencją jest tak brutalne zdarzenie? Dlaczego Pramm stał się ofiarą zbrodni? Jakie skrywał

tajemnice?

Pytań było mnóstwo. Koniecznie trzeba było znaleźć kogoś, kto potrafiłby na nie odpowiedzieć. Kogoś, kto mógłby nakreślić obraz ofiary. Wisting postanowił zacząć od mężczyzny, który znalazł Pramma, to znaczy od jego sąsiada, Knuta Seljesætera. Ledwie jednak dotarł do furtki, gdy Nils Hammer przeszedł pod biało-czerwoną taśmą policyjną.

– A więc jesteś na urlopie – powiedział, uśmiechając się szeroko i odsłaniając rząd żółtobiałych zębów i kawałki snusu, które wystawały spod górnej wargi.

– Nie słyszałeś o feriach jesiennych? – zażartował Wisting.

Hammer jeszcze bardziej wyszczerzył zęby i wybuchnął gromkim śmiechem.

– Idź do Habera – ciągnął komisarz. – Przede wszystkim musimy zidentyfikować ofiarę. W pokoju leży portfel. Zobacz, czy nie ma w nim prawa jazdy, żebyśmy mogli porównać zdjęcie z mężczyzną zwisającym z kanapy.

Hammer skinął głową.

– Do wieczora musisz też sporządzić listę członków jego najbliższej rodziny i dopilnować, żeby zostali powiadomieni – wyliczał dalej Wisting. – Wieczorem musimy wydać oświadczenie dla prasy, zanim sobotnie gazety pójdą do druku. Trzeba dotrzeć do ludzi, którzy widzieli go w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Nie chciałbym, żeby ciotki i wujowie dowiedzieli się o jego śmierci z pierwszych stron gazet.

Przytakując, Hammer wyjął notes i zapisał w nim kilka słów.

– Potrzebujemy też jego zdjęcia do gazet. Sprawdź w rejestrze paszportów albo spytaj Habera, czy w domu są jakieś fotografie, których moglibyśmy użyć. Wszystko powinno być gotowe przed dwudziestą pierwszą.

– Zrobi się – odparł Hammer. – Coś jeszcze?

Komisarz przypomniał sobie, co zwykła mówić Ingrid, gdy nie mógł ruszyć dalej ze sprawą. Była nauczycielką historii i często podkreślała, jak ważna jest przeszłość.

– Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o Prebenie Prammie. Przejrzyj wszystkie bazy danych i sprawdź, czy kiedykolwiek miał jakiś kontakt z policją.

Hammer znowu przytaknął, schował notes do kieszeni i pewnym krokiem ruszył w stronę domu ofiary. W tej samej chwili zadzwonił telefon Wistinga, a na wyświetlaczu ukazał się dobrze znany numer. Zatrokana kobieta po

drugiej stronie linii otrzymała krótką wiadomość, że nie ma najmniejszego sensu, żeby czekała na niego z obiadem.

[4] Tytuły czasopism pornograficznych.

[5] Numer kierunkowy do Oslo.

[6] Słoneczne Wybrzeże; norweski odpowiednik hiszpańskiego Costa del Sol.
Tu nazwa użyta żartobliwie.

4

Wisting zatrzymał się obok skrzynek pocztowych przymocowanych do statywu tuż przy żywopłocie na granicy między Auserødsvingen 11 i 9. Oprócz skrzynek Pramma i Seljesætera znajdowała się tam również skrzynka pocztowa numer 13 należąca do rodziny Omholtów oraz skrzynka mieszkańców domu przy Auserødsvingen 10, to jest Grety i Georga Lutnesów.

Skrzynka Pramma była tak zapchana, że nie dało się porządnie zamknąć wieka. Wisting wyjął jej zawartość i doliczył się pięciu wydań „Østlandsposten”. Ostatni był z tego dnia, a najstarszy pochodził z poniedziałku, 24 czerwca. Główny materiał dotyczył „Wspaniałych obchodów nocy świętojańskiej”. Poniżej znajdowało się zdjęcie ogromnego ogniska na Omlidstranda Camping w Nevlunghamn. Pierwsza strona małej lokalnej gazety wyglądała typowo i zawierała same oczywistości. Komisarz nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy zobaczył nagłówek nad zdjęciem zdeformowanego wraku auta: „Poważny wypadek komunikacyjny”. Pokręcił głową z rezygnacją, zastanawiając się, jakie nagłówki ukażą się w „Østlandsposten” następnego dnia. To, że Pramm wyjął ze skrzynki sobotnie wydanie gazety, a poniedziałkowego już nie zdążył, oznaczało, że został zamordowany w weekend. Wisting przywołał w myślach obraz małego czerwonego domu. Wewnątrz paliło się światło. W sypialni była włączona lampka nocna, a w salonie kilka kinkietów ściennych. Mogło to świadczyć o tym, że do zdarzenia doszło, kiedy było ciemno, co zawężyło czas zabójstwa do kilku godzin nocnych.

Poza gazetami i różnymi ulotkami reklamowymi w skrzynce znajdowały się trzy listy. Duża biała koperta z logo „if...”^[7], list z Centrali Windykacji i z Telenor, wszystkie nadane w ciągu ostatniego tygodnia. Wisting uznał, że chodzi o rachunki, i wcisnął pocztę z powrotem do skrzynki, starając się

jednocześnie pamiętać o tym, by korespondencja została przeniesiona do komendy.

Zarówno dom, jak i ogród przy Auserødsvingen 9 były znacznie lepiej utrzymane niż sąsiednia posiadłość. Plac przed garażem był wyłożony płytami i ani jedno źdźbło trawy z krótko przyciętego trawnika nie miało szansy zabłąkać się na kamienną ścieżkę. Bujna rabata różana przed pomalowanym na biało domem była zupełnie pozbawiona chwastów, a trzy liście leżące pod krzewem azalii na środku trawnika musiały spaść w ciągu tego popołudnia, skoro właściciel domu nie zdążył ich usunąć.

Wisting nie znalazł dzwonka, więc trzykrotnie uderzył w drzwi wiszącą na środku mosiężną kołatką. Nad nią widniała elegancka, starannie wypolerowana tabliczka z wygrawerowanym napisem: Erna i Knut Seljesæterowie.

Knut Seljesæter natychmiast otworzył drzwi. Wisting przedstawił się, podając mu rękę na powitanie.

– William Wisting, z policji.

Mężczyzna mocno uścisnął mu dłoń.

– Knut Seljesæter. Proszę wejść!

Komisarz został wprowadzony do kuchni. W domu panował taki sam porządek, jak na zewnątrz. Mimo to Seljesæter przeprosił za to, że na blacie stoi talerz i szklanka po obiedzie. Wyjaśnił, że właśnie mija pięć lat, odkąd owdowiał, i że nie ma takiego drygu do prowadzenia domu, jaki miała jego zmarła żona.

– Chociaż jako emeryt mam teraz dużo wolnego czasu – dodał.

– No tak – skinął głową Wisting i odchrząknął, pocierając gładko ogolony podbródek. W ten sposób zyskał na czasie i mógł zarejestrować swoje pierwsze wrażenie, ocenić sytuację i sformułować wypowiedź. Być może nie był to zbyt dobry zwyczaj, ale z doświadczenia wiedział, że początek konwersacji często ma decydujące znaczenie dla przebiegu i wyniku całej rozmowy.

– Pracował pan w bazie wojskowej?

Idąc korytarzem w kierunku kuchni, zwrócił uwagę na zdjęcia wiszące na ścianach, które przedstawiały Seljesætera w mundurze.

– Tak jest. Dwadzieścia sześć lat w centrum szkoleniowym sił powietrznych w Stavern. Byłem odpowiedzialny za flotę samochodową. W zeszłym roku dostałem złoty zegarek.

Mężczyzna wysunął lewą rękę i pokazał prosty zegarek ze złotą bransoletą i tarczą. Pod dwunastką był wygrawerowany lew herbowy na czerwonym tle.

– No, może nie złoty, lecz pozłacany. W każdym razie w ten sposób podziękowali mi za wieloletni wkład w szkolenia z zakresu transportu samochodowego. Teraz bazę zamknięto. Wszyscy moi rówieśnicy otrzymali propozycję przejścia na wcześniejszą emeryturę i sześciomiesięczną odprawę. Głupotą byłoby nie skorzystać. Kawy?

Wisting skinął głową. Zawsze miał się na baczności przed ludźmi z wojskową przeszłością: ważył słowa, by być poprawnym i zdyscyplinowanym. To samo dotyczyło rozmów z ludźmi z wykształceniem psychologicznym. Przez cały czas bał się, jak jego słowa zostaną zinterpretowane i ocenione. Mimo to zrozumiał, że rozmowa z emerytowanym wojskowym powinna pójść gładko, i zaliczył go do grona ludzi życzliwych i przyjaźnie usposobionych. Takie nadawanie ludziom etykietek, zwłaszcza jeśli dokonywało się jedynie na podstawie miłego pierwszego spotkania, było kolejnym nałogiem Wistinga. Wyjął notes z kieszeni koszuli i skierował rozmowę na temat zabójstwa.

– Jeśli się nie mylę, to pan znalazł ciało?

Seljesæter usiadł na krześle kuchennym dokładnie naprzeciwko komisarza i przechylił się lekko do przodu, opierając się na przedramionach.

– Tak. Powinienem był wcześniej to zauważyć. Wcześniej was powiadomić.

– Jak to? – spytał Wisting i napił się kawy.

– Wstaję wcześniej rano – wyjaśnił emeryt i odchylił się do tyłu. – Siadam tutaj, przy kuchennym stole, z kanapką i filiżanką kawy, i czekam, aż dowiozą gazety. Zwykle są tu o wpół do siódmej. Z tego miejsca widzę skrzynkę pocztową.

Wisting pochylił się i wyjrzał przez okno. Zobaczył statyw ze skrzynkami i pierwszego dziennikarza, który zjawił się na miejscu zdarzenia. Młody chłopak z dużym aparatem fotograficznym na szyi stał przed taśmą policyjną i rozmawiał z dwoma funkcjonariuszami, którzy byli już w regulaminowych nakryciach głowy. Wisting przytaknął i uśmiechnął się do siebie. Udało mu się udzielić im nagany w taki sposób, że wzięli ją za dobrą radę.

– Prenumeruję „Østlandsposten”, „Aftenposten” i „Vårt Land”. Przejrzenie wszystkich trzech gazet zajmuje mi prawie dwie godziny. Pramm zwykle wyciąga swoją gazetę ze skrzynki, kiedy kończę czytać „Vårt Land”, to znaczy około wpół do dziewiątej.

Wisting zanotował: „czas zgonu – sobota 08:30 do poniedziałku 08:30”.

– Widziałem go w sobotę rano, ale w poniedziałek, wtorek i środę już nie. To znaczy w poniedziałek nie było mnie w domu, ale kiedy wyciągałem pocztę w środę w porze lunchu, zajrzałem do jego skrzynki i zobaczyłem, że w środku leżą trzy gazety. Już wtedy powinienem się domyślić, że stało się coś złego.

Wisting uważał, że emerytowany kapitan niesłusznie czyni sobie z tego powodu wyrzuty.

– Przecież mógł gdzieś wyjechać?

– Rzadko wyjeżdżał – wyjaśnił Seljesæter i zaczął przesuwac dloniã po żółtym obrusie na środku stołu, wygładzając niewielką fałdę. – W każdym razie rzadko nocował poza domem. Nie sądzę, by miał do kogo jechać. Dwa lata temu nie było go latem przez tydzień. Pojechał na festiwal tanga do Sørlandet.

– Festiwal tanga? Jest w ogóle coś takiego?

– Tak – odparł emeryt i zaśmiał się. – Zadałem mu to samo pytanie, ale okazało się, że to wielka impreza. Na kilka tysięcy osób. Wyjmowałem mu przez tamten tydzień pocztę ze skrzynki i doglądałem Puckena.

– Puckena?

– Tak, to kot Pramma. Pracując dzisiaj w ogrodzie, właśnie o tym pomyślałem: że gdyby miał zamiar wyjechać, poprosiłby mnie, żebym odbierał pocztę i karmił Puckena. Ten biedny kot siedział w zamknięciu od tyłu dni!

Wisting starał się uspokoić męczyznę dręczonego wyrzutami sumienia.

– To mogło trwać jeszcze dłużej. Dobrze, że w ogóle ktoś się tym zainteresował.

– To prawda. Nie lubię wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale jest jeszcze coś...

– Tak?

– Zwykle bardzo dobrze sypiam – wyjaśnił. Podniósł się i nie przestając mówić, podszedł do szafki kuchennej, z której wyjął pudełko ciastek ze sklepu. – Ale ubiegłej nocy obudziłem się o trzeciej nad ranem i wstałem z łóżka. Prawdopodobnie męczyła mnie ta sprawa z gazetami Pramma. Właściwie nie mam innych zmartwień. Nasze posiadłości dzieli wysoki żywopłot, więc nie widzę domu Pramma, ale tej nocy zauważyłem, że pali się tam mnóstwo światła.

Wyciągnął w stronę Wistinga pudełko ciastek i pozwolił mu się

poczęstować, po czym położył je na stole i ciągnął dalej:

– To jest... – Poprawił się na krześle i zanurzył ciastko w kawie. – To było do niego zupełnie niepodobne. Zawsze uważałem go za skąpca. Zresztą, może to nie było skąpstwo, tylko nie najlepsza sytuacja finansowa. Tuż po Nowym Roku zaproponował, żebyśmy zrzucili się na prenumeratę „Østlandsposten”. Chciał odbierać ją ode mnie przed południem, po tym, jak ją przeczytam. Odparłem, że to przemyślę, ale ze sposobu, w jaki to powiedziałem, musiał wywnioskować, że nie jestem zbyt zainteresowany, bo nigdy więcej o tym nie wspomniał.

– Czy światło było włączone przez cały tydzień? – spytał komisarz z ciastkiem w ustach. Otrzymał odpowiedź, której się spodziewał.

– Tylko tej nocy wstawałem z łóżka, ale przypuszczam, że tak. Teraz wieczory są jasne i długie, a rano szybko robi się widno. I dlatego trudno stwierdzić, czy światło jest zapalone czy nie. No i dzieli nas żywopłot.

– Czy poza tym miał pan jakiś kontakt z Prammem?

– Bardzo ograniczony. Pramm był typem samotnika. Mówiliśmy sobie „dzień dobry”, ale nigdy się nie odwiedzaliśmy i nie utrzymywaliśmy bliższej znajomości. Myślałem trochę o tej zrzutce na prenumeratę gazety i doszedłem do wniosku, że być może nie zaproponował tego ze skąpstwa. Może chodziło mu bardziej o to, żebyśmy nawiązali ze sobą kontakt. Żebyśmy mieli coś, co mogłoby nas do siebie zbliżyć.

Wisting skinął głową i zanotował w notesie: „szukał kontaktu”.

– Kilka razy prosił o pomoc przy aucie – ciągnął emeryt. – Ma starego saaba 900. Wymieniłem mu układ wydechowy i parę razy sprawdzałem silnik. Takie drobne naprawy zwykle przeprowadzałem wieczorami w bazie. W końcu jakieś dodatkowe świadczenia się człowiekowi należą, nawet na państwowym etacie. Wiosną, gdy zmieniałem opony w swoim samochodzie, przyszedł i poprosił mnie nieśmiało o pomoc. Jego saab wydawał dziwne dźwięki. Ale teraz sam już nie mam gdzie się podziać z własnym samochodem, dłubię przy nim na podjeździe, więc poprosiłem go, żeby skontaktował się z jakimś warsztatem.

– Zna pan jego rodzinę?

– Nie – odparł, zgarniając okruszki ciastka na dłoń i strzepując je na spodek do kawy. – Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o niej wspominał.

– Przyjaciele i znajomi?

– Wątpię, by miał jakichś przyjaciół. Rzadko go odwiedzano, ale czasem przychodziła do niego jakaś młoda dziewczyna. Nie tak dawno temu była tu razem z młodym mężczyzną.

– Kiedy to było?

– Zdaje się, że na początku ubiegłego tygodnia.

Wisting odchrząknął znacząco i zanim jeszcze uświadomił sobie, jak interesująca była to informacja, poprosił Seljesætera o opisanie gościa Pramma.

– Sam nie wiem... Sądzę, że mogli mieć około trzydziestki. Ona miała długie jasne włosy, czerwony sweter albo marynarkę i niebieskie dzinsy. On był ciemny, w czapce z daszkiem, niechlujnie ubrany. Pomyślałem, że to ludzie, których Pramm poznał w „Tatjanie”.

– Przesiadywał tam?

– Nie, tak bym tego nie nazwał. Po prostu lubił wypić tam piwo. Latem często widywałem go siedzącego przy stoliku na dworze.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni? – spytał komisarz i poczęstował się kolejnym ciastkiem.

– Chodzi panu o pub?

– Nie. Chodzi mi o to, kiedy widział go pan po raz ostatni żywego.

– Zdaje mi się, że w sobotnie popołudnie. Dzień przed świętym Janem. To było trochę dziwne. Staliśmy każdy na swojej drabinie po swojej stronie żywopłotu. Inaczej byśmy się nie zobaczyli. Ja wymieniałem zbutwiałe dachówki, a Pramm zaglądał do budki lęgowej dla sów zawieszanej na świerku z tyłu ogrodu.

– Budka dla sów?

– Tak. Pramm ma dużo budek lęgowych w swoim ogrodzie – kontynuował Seljesæter, zanurzając kolejne ciastko w kawie. – Na tym ogromnym świerku ma dużą budkę dla sów, chociaż nigdy nie widziałem tam żadnej sowy.

– Może pan podać konkretną godzinę?

– Tylko w przybliżeniu. Powiedziałbym, że to musiało być po godzinie trzeciej, ale przed szóstą.

Wisting poprawił zapis w notatniku: „czas zgonu – sobota 15:00 do poniedziałku 08:30”.

– O czym rozmawialiście?

– Trochę o pogodzie. Byliśmy zgodni co do tego, że po tylu dniach suszy istnieje ryzyko pożaru lasu z powodu ognisk świętojańskich.

– Nie rozmawialiście o niczym innym? O czymś szczególnym?

– Nie.

– I tego dnia widział go pan po raz ostatni?

– Tak. Nazajutrz wybrałem się do domku letniskowego mojego brata na Nøtterøy. Obchodziliśmy razem noc świętojańską. Przenocowałem tam i wróciłem do domu dopiero w poniedziałek po południu.

– Czy w poprzedni weekend zwrócił pan uwagę na jakiś ruch przed domem Pramma? Jakieś samochody?

Knut Seljesæter pokręcił głową.

– Czy pamięta pan, jak Pramm był ubrany tamtego dnia w ogrodzie? – pytał dalej Wisting.

– Pamiętam, że ja miałem na sobie krótkie spodenki i że pomyślałem, że w długich nogawkach jest mu na pewno za ciepło. Zdaje się, że jego spodnie były brązowe.

Wstał i napełnił ich filiżanki kawą z ekspresu stojącego na blacie. Komisarz wyciągnął dłoń, dając sygnał, że chce tylko pół filiżanki. Czuł, że rozmowa zmierza ku końcowi. Jednocześnie zaczął się niecierpliwić, ponieważ chciał jak najszybciej porozmawiać z pozostałymi sąsiadami. Może oni wiedzieli coś więcej o Prebenie Prammie.

– Jeśli się nie mylę, Pramm był emerytem. Czym się zajmował, zanim przeszedł na emeryturę?

– On już od dawna nie pracował – odparł Seljesæter. – Był na rencie. Wcześniej był zatrudniony w tartaku u Treschowa. Skarżył się na reumatyzm i na to, że dokucza mu ból mięśni i stawów. Jego zdaniem to z winy Treschowa stał się niezdolny do pracy. Przebywał na rencie co najmniej od piętnastu lat.

– Jak długo byliście sąsiadami?

– Zbudowaliśmy ten dom w 1976 roku, gdy dostałem etat w centrum szkoleniowym. Wtedy w sąsiednim domu mieszkał niejaki Folvik. Pod koniec lat siedemdziesiątych strzelił sobie w głowę. Tak, tak, już wcześniej byliśmy świadkami dramatycznych wydarzeń. Po tym, co się stało, Pramm odkupił ten dom za niewielkie pieniądze. Szczerze mówiąc, byliśmy sąsiadami od ponad dwudziestu lat, więc trochę mi wstyd, że nie potrafię udzielić panu bardziej wyczerpujących informacji.

– Nie szkodzi – odparł Wisting. – Wie pan może, jak Pramm zamierzał spędzić noc świętojańską? Czy miał jakieś plany?

– Nie wiem.

– A w ubiegłych latach? Czy w jakiś szczególny sposób świętował tę noc?

– Nie. My zawsze świętowaliśmy na Nøtterøy, więc nigdy nie widziałem, co on robi w tym czasie. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem ani go o to nie pytałem.

– Miał jakieś hobby? Zainteresowania? Wie pan coś o tym? – pytał dalej komisarz.

– Tak, poza tangiem miał dwie wielkie pasje: ptaki i fotografowanie. I chętnie łączył jedno z drugim.

Wisting skinął głową i pomyślał o zdjęciach, które widział w domu ofiary.

– W piwnicy urządził sobie ciemnię. Naprawdę miał talent, oczywiście o ile taki laik jak ja jest w stanie to ocenić. Czasem pokazywał mi swoje zdjęcia. Wiele z nich ukazało się w takim magazynie towarzystwa ornitologicznego. Kiedyś pokazał mi fotografię bielika, za którą otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie.

Komisarz dopił kawę i złożył notes. Strona była prawie pusta. Poza informacjami, które pozwalały trochę dookreślić czas popełnienia przestępstwa, zapisał tylko jedno: „pub Tatjana”.

Może znajdzie tam kogoś, kto znał Pramma lepiej niż sąsiad.

Na chodniku spotkał młodego dziennikarza z aparatem fotograficznym na szyi. Przed taśmą policyjną dwóch innych reporterów przepytywało świeżo upieczonych funkcjonariuszy. Komisarz nie znał młodego dziennikarza, ale szybko zrozumiał, że tamten znał jego.

– Panie Wisting, podobno doszło tutaj do morderstwa?

Komisarz wiedział z doświadczenia, że nie warto w wykrętny sposób tłumaczyć obecności policji na miejscu zdarzenia. Zaczekał, aż dwaj inni przedstawiciele prasy również do niego podejną, zanim odpowiedział:

– Mogę potwierdzić, że prowadzimy dochodzenie w sprawie podejrzanego zgonu.

– Kobieta czy mężczyzna? – spytał młody reporter.

– Starszy mężczyzna.

Jeden z dwóch dziennikarzy, którzy zjawili się nieco później, uniósł aparat i zrobił Wistingowi zdjęcie. Komisarz rozpoznał w nim miejscowego fotografa, wolnego strzelca, z „VG”.

– Preben Pramm? – spytał fotograf, który najwyraźniej odczytał wcześniej nazwisko ze skrzynki pocztowej.

– Ciało nie zostało jeszcze zidentyfikowane. Późnym wieczorem wydamy oświadczenie dla prasy, najprawdopodobniej około godziny 22:00. To na razie wszystko, co mogę powiedzieć. Proszę mi wybaczyć.

Odwrócił się plecami do dziennikarzy i poszedł w stronę domu sąsiadującego z posiadłością Pramma od północy. Czarna zardzewiała furтка z kutego żelaza zaskrzypiała za nim, gdy ruszył żwirową ścieżką do drzwi. Po obu stronach w trawie leżały rozrzucone zabawki. Dwie małe dziewczynki bawiły się na huśtawce. Na widok Wistinga powiedziały „cześć”, a on odpowiedział im w ten sam sposób.

Na tabliczce nad dzwonkiem wymalowanych było elegancko pięć imion i nazwisk pod rysunkiem przedstawiającym mamę, tatę, dwoje dzieci i psa. Dzieci miały na imię Tommy i Anniken, natomiast dorośli – Nina i Frank. Wisting wzdrygnął się na widok pierwszego nazwiska kobiety, która mieszkała w tym domu. W całym okręgu nie było policjanta, który nie zareagowałby na dźwięk nazwiska Ravn. Nie było zbyt częste, więc Wisting szybko skojarzył je z Jonathanem Ravnem – postacią, która przewijała się w policyjnych kartotekach, odkąd Wisting sięgał pamięcią.

Nacisnął przycisk dzwonka w nadziei, że Bonsa nie ma w domu lub że przynajmniej rysunek małego jamnika na drzwiach odpowiada stanowi faktycznemu. Już miał zadzwonić po raz drugi, gdy zobaczył, że ktoś się porusza za chropowatym szkłem. Gdy drzwi się otworzyły, zrozumiał, że nie mylił się w swoich przypuszczeniach. Podobieństwo między kobietą stojącą przed nim a Jonathanem Ravnem było uderzające. Mieli taką samą wąską twarz z zadartym nosem, wysokie kości policzkowe i odrobinę zapadnięte oczy. Kobieta była ponadto niezwykle blada jak na tę porę roku. Potargane włosy i zielony dres z wyszytym na lewej piersi napisem Stag IL^[8] sprawiły, że Wisting nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta spała, gdy zadzwonił do drzwi.

Przedstawił się, choć wątpił, by kobieta zarejestrowała jego nazwisko.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Mogę wejść do środka?

Został wprowadzony do ciasnego, niewywietrzonego salonu. W pokoju unosiła się ciężka woń dymu papierosowego. Przeszedł nad kilkoma zabawkami walającymi się na podłodze i ominął rozstawioną suszarkę do bielizny, na której wisiały małe różowe spodenki i majtki. Salon był

urządzony starymi i nowymi meblami. Wzdłuż jednej ze ścian stał nowoczesny sprzęt stereo i duży telewizor. Od aparatu ciągnęło się wiele przewodów do różnej wielkości głośników rozstawionych po całym pokoju. Na ścianie wisiał stary zegar, który zatrzymał się na godzinie dwunastej. Pod nim stało zabytkowe biurko z mnóstwem starych porcelanowych lalek. Na lewo od zegara, na półce na talerze siedziało jeszcze więcej lalek. Ich jedwabne sukienki zrobiły się żółte od dymu tytoniowego.

Wisting nie widział nigdzie psa, ale kłęбки krótkiej szorstkiej sierści zdradzały, że mały jamnik jeszcze niedawno leżał na fotelu, który wskazała mu Nina Ravn-Omholt. Sama usiadła na dużo praktyczniejszej skórzanej kanapie, wygładziła zagłębienie w poduszce odpowiadające wielkością jej głowie i zapaliła papierosa. Wolną rękę położyła na kolanach, jakby chciała ukryć fakt, że jej brzuch był większy, niżby sobie tego życzyła. Komisarz spostrzegł, że na paczce papierosów znajdowały się znaki i litery, których używano w Europie Wschodniej, i domyślił się, że są to papierosy z przemytu, które dostarcza jej brat.

– Preben Pramm nie żyje – wyjaśnił Wisting, chrząkając. Tym razem nie z przyzwyczajenia, lecz z powodu dymu.

– Aha.

– Wygląda na to, że został zamordowany.

– Aha.

Wiadomość zdawała się nie robić na niej żadnego wrażenia. Zaciągnęła się i czekała na dalszy ciąg.

– Znała go pani?

– Nie. Nieszczególnie. Mieszkamy tu dopiero od roku. Wprowadziliśmy się ubiegłego lata.

– Kto mieszka z panią? – spytał, wyciągając notes.

– Mój mąż, Frank. Tommy i Anniken, Tommy ma osiem lat, a Anniken niedługo skończy pięć.

– Zdaje się, że Anniken zdążyłem już poznać.

– Tak. Odwiedziła ją kuzynka. Tommy jest u kolegi i gra w piłkę.

– A pani mąż?

– Musiał coś załatwić. Zaraz wróci.

Wisting zauważył, że dłoń trzymająca papierosa lekko zadrżała. Kobieta znowu się zaciągnęła, starając się powstrzymać mimowolne drżenie.

– A bo co?

– Muszę zadać państwu kilka pytań.

– Niczego nie widzieliśmy – stwierdziła i po raz kolejny zaciągnęła się głęboko.

– I tak muszę je zadać. Kiedy widziała pani Prebena Prammas po raz ostatni?

– Kilka dni temu. Nie widzimy go zbyt często, więc trudno powiedzieć.

– Czy widziała go pani po nocy świętojańskiej? – spytał. Wiedział, że święta pozwalają świadkom łatwiej umieścić obserwacje w czasie.

– Tak, wydaje mi się, że tak.

– Jest pani pewna?

– Nie.

Nina Ravn zdecydowanym ruchem strzepnęła popiół.

– W jakich okolicznościach pani go widziała? Wyjmowała pani wtedy pocztę ze skrzynki? Albo wyrzucała śmieci?

– Nie. Wydaje mi się, że po prostu widziałam go w ogrodzie.

– Ale nie może pani stwierdzić z całą pewnością, kiedy to było?

– Nie. Albo tak. To było wtedy, gdy zbierałam truskawki.

– Czyli kiedy?

Wisting przygotował się do robienia notatek.

– Wieczorem.

– Którego wieczoru?

– Każdego wieczoru zbieram truskawki.

Odłożył długopis i już miał westchnąć z rezygnacją, ale się powstrzymał. Rozmowa w kłębach dymu drażniła go, ale to był w zasadzie jego problem. Nie mógł pozwolić, by osobista irytacja wywołała niechęć do świadka, i dlatego spróbował zrobić jeszcze jedno podejście.

– Jaki on był?

Nina Ravn podniosła głowę i spojrzała w sufit. Wyglądała tak, jakby chciała się dobrze namyślić i zatrzeć niekorzystne pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na policjancie. Wisting pogratulował sobie w myślach opanowania i wykorzystał chwilę przerwy w rozmowie, by przyjrzeć się barwnym obrazom figuratywnym wiszącym na ścianie za jej plecami. Pasowały dobrze do wnętrza i drażniło go to, ponieważ w swoim własnym salonie na poddaszu również miał obrazy miejscowego artysty i kolegi z czasów dzieciństwa. Doskonale rozumiał, skąd Fritz Nyegaard czerpał inspirację. Motywy jego dzieł były jakby żywcem wyjęte z dzieciństwa Wistinga, spędzonego

w ciasnych zaułkach i podwórzach kamienic w Stavern. Rozpoznał stary pomost rybacki, dom komendanta i ogród Schiølera, skąd kradli jabłka. Fritzowi udało się uchwycić niejako samą kwintesencję dzieciństwa, które było zielone, słoneczne i ciepłe. Siedząc w swoim salonie i przypatrując się szczególnie obrazów, komisarz miał wrażenie, że czuje słoną morską bryzę, słyszy krzyki mew i mruczenie kota, który ociera się głową o nagie dziecięce łydki.

– Mogę powiedzieć tylko jedno – odezwała się w końcu, wyrывая go z zamyślenia i czterdziestoletnich wspomnień. – Był cholernie wścibski.

– To znaczy?

– Ciągłe wyglądał przez okno. Poza tym zaraz po tym, jak się wprowadziliśmy, prawie ściął swój żywopłot. Tej wiosny też go przycinał. Jestem pewna, że robił to po to, by lepiej widzieć, co się u nas dzieje.

Wisting starał się podsumować to, co zostało powiedziane do tej pory.

– Jak dawno temu widziała go pani w oknie?

– Pod koniec to było już naprawdę nie do wytrzymania. Miałam wrażenie, że cały dzień przesiaduje w oknie. – Nina Ravn energicznie zgasła papierosa. – Ale rzeczywiście, od ostatniego razu minęło kilka dni. Tak, ostatni raz widziałam go kilka dni temu.

Wisting już miał zadać kolejne pytanie, lecz kobieta go ubiegła. Wyglądała tak, jakby nagle zrozumiała, jak ważne było to, o co ją zapytał.

– Od dawna nie żyje?

– Właśnie to próbujemy ustalić – odparł.

– Ale chyba możecie to stwierdzić po jego wyglądzie?

– Na pewno minęło kilka dni – wyjaśnił oględnie, żeby niczego świadkowi nie sugerować. – Pewną odpowiedź poznamy w przyszłym tygodniu, gdy otrzymamy protokół z sekcji.

Nina Ravn-Omholt zapaliła kolejnego papierosa.

– Gdzie pani spędziła noc świętojańską?

– Byliśmy u naszych przyjaciół w Nevlunghamn. Ale dlaczego pan o to pyta? Czy to wtedy został zabity? Potrzebuję alibi? Jestem o coś podejrzana?

– Przypuszczamy, że pani sąsiad został zamordowany w ubiegły weekend i dlatego musimy ustalić, co w tym czasie działo się w okolicy. To rutynowe działania.

– Bo ja nie mam alibi. Dzieci były u teściów, a ja z Frankiem u jego kolegi z pracy w Havna. Rozboliła mnie głowa i wróciłam do domu sama, przed

Frankiem.

– O której była pani z powrotem?

– Nie jestem pewna, ale było jeszcze wcześniej. Zamówiłam taksówkę i nie czekałam na nią, więc musiało być około północy. Późną nocą wszyscy zawsze dzwonią po taksówkę.

– Czy po powrocie coś szczególnego zwróciło pani uwagę?

Odpowiedź, którą otrzymała, zaskoczyła go. Padła szybko i była bardzo konkretna.

– Tak. Na ulicy stał samochód. To znaczy przed żywoplotem Pramma. Czarne bmw 318i, stara karoseria, zdaje się, że rocznik 94.

– Jest pani pewna?

Wisting zanotował: „24 czerwca godz. 00:00 – czarne bmw 318i”. W kolejnej linijce dopisał: „kierowca – świadek”.

– Tak, znam się na samochodach.

Komisarz skinął głową i wrócił myślami do pierwszego spotkania z jej bratem. Po włamaniu do sklepu spożywczego Wisting i jego kolega namierzyli Jonathana Ravna i jego dwóch kumpli w baraku na terenie przemysłowym za warsztatem samochodowym, który jego rodzina prowadziła przy Elveveien. Leżeli, przeglądali magazyny pornograficzne i zajadali się słodyczami. W ciągu ponad piętnastu lat, które minęły od tamtego zdarzenia, Ravn dopuszczał się coraz zuchwalszych przestępstw i stosował coraz brutalniejsze metody.

– Czy auto miało jakieś znaki szczególne? Rysy? Wgniecenia? – ciągnął wątek Wisting.

– Wydaje mi się, że miało spoiler. Poza tym nie było w nim niczego niezwykłego poza sposobem, w jaki zostało zaparkowane.

– To znaczy?

– Tam nigdy nie stoją żadne samochody. Prawie nikt go nie odwiedzał, a własne auto Pramm trzymał w garażu. Dlatego to było trochę dziwne.

– Chce pani powiedzieć, że ci, którzy przyjechali bmw, byli gośćmi Pramma?

– Tego nie wiem. Ale ci, którzy wcześniej go odwiedzali, zawsze przychodzili pieszo.

– Ach tak?

– Tak. Latała do niego taka narkomanka.

– Narkomanka?

– Tak, widziałam, jak siedziała na rynku razem z innymi narkomanami. Byłam trochę zaskoczona, gdy ją tu zobaczyłam, ale przecież Pramm przesiadywał z pijakami w „Tatjanie”.

– Zna pani kogoś, z kim pani sąsiad spotykał się w pubie?

– Nie, z nazwiska nie znam, ale to są starzy bywalcy.

– Kiedy widziała go tam pani ostatnio?

– Jakiś miesiąc temu. Byliśmy z Frankiem w mieście i poszliśmy napić się piwa. Nie, to było jeszcze dawniej. Na Zielone Świątki. Ale wtedy siedział sam.

– Kiedy ostatni raz miał gości?

– Ostatni raz widziałam ją chyba przed 17 maja. Pracuję cztery dni w tygodniu i często jestem wieczorem w mieście, więc równie dobrze mogła tu być po tym dniu.

– Co pani zdaniem tam robiła?

– A jak pan myśli?

– Nie mam pojęcia.

– Niech się pan trochę wysili.

Wisting nie zdążył się zastanowić, ponieważ otworzyły się drzwi wejściowe i Frank Omholt wypełnił sobą cały otwór między korytarzem a salonem. Był to rosły mężczyzna o zaczerwienionej twarzy i krótko ostrzyżonych włosach. Pot spływał mu z głowy, ściekał po policzku, zatrzymując się na starym zadrapaniu lub otarciu. Miał na sobie niebieskie dżinsy i białą koszulę, której górna część była mokra od potu.

– Co się tutaj dzieje? – spytał.

Wisting zamierzał się przedstawić i wyjawić powód swojej wizyty, ale żona Omholta go ubiegła:

– Pan jest z policji. Nasz sąsiad został zamordowany. W noc świętojańską. Wytłumaczyłam panu, że byliśmy u Gerhardta i Mariny w Havna i niczego nie widzieliśmy. To znaczy ja widziałam czarne bmw, gdy wróciłam do domu taksówką.

Jednym tchem blada kobieta streściła ich rozmowę i w ten sposób uniemożliwiła Wistingowi zebranie niezależnych wyjaśnień od jej małżonka.

– Czy pan to potwierdza? – spytał komisarz.

Mężczyzna usiadł na krześle przy ławie. Chwycił paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Tak, w noc świętojańską byliśmy poza domem.

– U Gerhardta i Mariny...?

– Schultzów. Mieszkają przy wylotówce na Oddane Sand – dodała Nina Ravn.

– On pochodzi z Niemiec – wtrącił Frank Omholt, tłumacząc obco brzmiące nazwisko znajomych. Wisting skinął głową i kontynuował rozmowę, nie patrząc na kobietę.

– O której wrócił pan do domu?

– Niedługo po Ninie. Myślę, że około drugiej.

– Nie, to było później – przerwała mu żona. – Piąta albo szósta rano.

– Widział pan to bmw?

– Nie. Przynajmniej nie zwróciłem na nie uwagi.

– A zwróciłby pan? To znaczy: gdyby na ulicy przed parkanem Pramma stał jakiś samochód?

– Może. Tam nigdy nie stoją żadne auta, więc chyba tak.

– Czy może pan bliżej określić porę dnia, o której wrócił pan do domu? Było ciemno czy jasno?

Małżonkowie spojrzeli na siebie. Nastąpiła pauza, zanim Frank Omholt odpowiedział na pytanie.

– Tak... zaczęło się robić jasno. Myślę, że było około czwartej.

– Czy pan pił?

– Niewiele.

Mężczyzna wierzchem dłoni otarł z czoła krople potu.

– Kiedy po raz ostatni widział pan Prebena Pramma?

– Oj, jakiś czas temu, ale nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie ani w jakich okolicznościach.

– Widział go pan w noc świętojańską?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Tak, ale tamtej nocy widziałem coś innego.

– Co takiego?

– Dopiero teraz sobie o tym przypomniałem. Nie jestem pewny, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Wydawało mi się, że Greta i Georg wrócili z wakacji. Mieszkają naprzeciwko. Gdy wszedłem do domu, miałem wrażenie, że widzę ludzi w ich salonie, ale musiałem się pomylić, bo później ich już nie widziałem.

Wisting próbował wyciągnąć z niego więcej szczegółów dotyczących

poczynionych obserwacji, ale notes niewzbogacił się o nowe wpisy. Policjant zakończył rozmowę, przepaszając za najście, i zapewnił, że bardzo mu pomogli. Frank Omholt odprowadził go do drzwi wyjściowych. Po raz kolejny otarł pot z czoła.

– Nie wygląda na to, żeby upał miał wkrótce zelżeć – powiedział komisarz, starając się strzepnąć ze spodni psią sierść.

– Nie wygląda, a ja pocę się jak świnia – odparł Omholt. – Duża waga ciała i słaba kondycja to nie najlepsze połączenie.

– Te zadrapania na twarzy wyglądają paskudnie.

Wisting miał nadzieję, że jego uwaga zabrzmii niewinnie i przypadkowo i że dzięki temu bez pytania o to wprost uda mu się dowiedzieć, w jaki sposób Frank Omholt zranił się w twarz.

– Nie jest tak źle.

Komisarz potarł podbródek i spojrzał z ukosa na rosnącego mężczyznę. Czekał, aż tamten uzna ciszę za krępującą i pociągnie rozmowę.

– Tamtej nocy byłem lekko wstawiony i zleciałem z urwiska – wyjaśnił. – Wpadłem w jakieś krzaki czy coś takiego.

Wisting parsknął śmiechem i pożegnał się.

– Jak to mówią? Od wódki rozum krótki!

Ogród przylegający do dużej willi naprzeciwko domu Prebena Pramma również był zadbany. Greta i Georg Lutnesowie musieli być zapalonymi ogrodnikami; trawa była świeżo skoszona, a bujne kępy dzwonek kwitły po obu stronach wejścia. Wisting uśmiechnął się i pomyślał, czy mieszkańcy ulicy nie rywalizują przypadkiem o to, kto ma najpiękniejszy ogród, jak w „Kaczorze Donaldzie”. Jeśli tak, to Pramm na pewno był na samym końcu stawki.

Po dwóch długich dzwonekach do drzwi Seljesæter krzyknął do komisarza z ogrodu po drugiej stronie.

– Nie ma ich w domu. Są na wakacjach na północy.

Wisting podszedł do emerytowanego kapitana.

– Od dawna ich nie ma?

– Od trzech tygodni – odparł Seljesæter, opierając się o grabie. Ushkle liście azalii zostały usunięte. – Każdego lata wyjeżdżają na północ. Greta jest z Hammerfest.

– Wie pan, kiedy mają wrócić?

– Zwykle wyjeżdżają na miesiąc.

Wisting zanotował informację i cofnął kartkę w notesie.

– Czy kiedykolwiek widział pan, żeby do Pramma przyjeżdżał ktoś samochodem?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek widział pan, żeby na ulicy parkowało czarne bmw?

– Nie. Nigdy nie zauważyłem tu takiego auta.

Drugą rundę pytań do Seljesætera zakłóciło pojawienie się dużego wozu policyjnego, który zatrzymał się na Auserødsvingen 11. Po bokach pojazdu widniał napis Centrala Policji Kryminalnej. W tej samej chwili swoim mercedesem podjechał również policyjny adwokat Audun Vetti. Vetti pełnił właśnie dyżur i jako prawnik był formalnie odpowiedzialny za dochodzenie w sprawie zabójstwa. Wisting przywitał się z dwoma technikami z Kripas i z Vettim razem z Haberem i Hammerem, dzięki czemu wszyscy jednocześnie zostali wprowadzeni w sprawę. Gdy komisarz skończył mówić, głos zabrał Hammer.

– Jesteśmy pewni na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że ofiarą jest Preben Pramm. W portfelu miał nowe prawo jazdy, w rodzaju karty kredytowej. I chociaż wisząc, nie wygląda najładniej, nietrudno stwierdzić, że mężczyzna na zdjęciu to on.

– Co z krewnymi? – spytał Wisting.

– Nigdy się nie ożenił, ale ma syna w Hamar. Nick Lysander, czterdzieści osiem lat – ciągnął Hammer. – Policja w Hamar już wysłała do niego patrol. Zdaje się, że nie utrzymywał kontaktu z ojcem. Nie widział się z nim od trzydziestu lat.

Wisting uznał, że oględziny miejsca zdarzenia ma za sobą, i wsiadł do samochodu. Zanim ruszył do komendy, przez dłuższą chwilę siedział i myślał. W końcu wyjął notes z kieszeni koszuli i spojrzał na notatki z rozmowy z Niną i Frankiem Omholtami. Nie miał dowodów na to, że małżonkowie kłamali, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś się tam nie zgadzało, i dlatego na marginesie postawił duży znak zapytania.

[7] Nazwa towarzystwa ubezpieczeniowego.

[8] Klub sportowy Stag powstały w 1945 roku w Stavern.

5

Gdy znalazł się ponownie w swoim gabinecie, zegar wskazywał dwadzieścia po ósmej. Czekając na uruchomienie się komputera, zaniósł dzbanek do kawy do toalety, żeby napełnić go wodą. W tym czasie przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Zobaczył wciąż chłopięcą twarz, pasującą do dziecięcego oczekiwania zmieszanego z przerażeniem, które zaczęło go ogarniać, gdy nowa sprawa powoli, lecz pewnie nabierała tempa. Pojedyncze bruzdy i zmarszczki powstałe ze zmęczenia zdradzały jednak, że wiele przeżył, a to wrażenie potęgowały pojedyncze siwe włosy. Musiał przyznać, że jego rysopis: „wysoki i ciemny”, niedługo stanie się nieaktualny.

Komputer wydał z siebie sygnał powiadamiający o nadejściu e-maila. Nawiażując do rozmowy ze śledczym Hammerem, Garbakken z Zarządu Dróg Publicznych przesłał zdjęcie Prammy znajdujące się w rejestrze praw jazdy. Wisting kliknął na ikonę załącznika i na monitorze ukazała się fotografia starszego mężczyzny o krzaczastych brwiach, błyszczącym czubku głowy i siwych włosach nad skroniami. Bez trudu można było stwierdzić, że zdjęcie przedstawiało właściciela domu przy Auserødsvingen 11.

Wisting zdążył wysłać e-maila z krótkim oświadczeniem dla prasy i zaproszeniem na konferencję prasową, która miała się odbyć następnego dnia o godzinie dwunastej, gdy do jego gabinetu wszedł Hammer. W jednej ręce trzymał dwie przezroczyste torebki strunowe. Komisarz natychmiast rozpoznał ich zawartość. Był to portfel Prammy i jego kalendarz. W drugiej ręce Hammer ścisnął duży kubek z napisem: „Nils znaczy zwycięzca”. Jak zawsze Wistingowi przyszła do głowy myśl, że ten kubek wiele mówi o osobowości kolegi.

– Kawy? – spytał.

– Jasne – odparł Hammer i rzucił torebki na biurko. Resztę zimnej kawy

włał do stojącej na parapecie doniczki ze skrzydłokwiatem Wallisa, po czym wręczył kubek Wistingowi i zażądał dolewki. To Ingrid przyniosła tę nową roślinę doniczkową tuż przed Bożym Narodzeniem na miejsce wyschłej juki. Taka właśnie była Ingrid. Robiła wszystko, żeby czuł się dobrze, nie oczekując niczego w zamian. Pytała tylko nieśmiało, czy wróci do domu na obiad. Pamiętał, że tamtego dnia zdążył do domu na czas, i uświadomił sobie, że ta ciągła serdeczna troska o niego była jednym z powodów, z których ją kochał. Powoli nabierał podejrzeń, że to te niezliczone krople zimnej kawy Hammera sprawiły, że najniższe liście tej skądinąd zielonej i bujnej rośliny zbrązowiały. Poczuł rozdrażnienie i po raz kolejny zaczął się zastanawiać, za co właściwie lubi tego zarozumiałego policjanta, który nie miał za grosz inteligencji społecznej. I jak zawsze doszedł do wniosku, że oprócz profesjonalizmu i zawodowej intuicji cenił jego bezpośredniość i prostotę.

– Przyjrzałeś im się? – spytał, wskazując głową torebki dowodowe, zamiast komentować usiłowanie zabójstwa rośliny doniczkowej.

– Tylko portfelowi. Na moje oko nie ma w nim nic ciekawego – odparł śledczy. Wyjął kawałek snusu spod górnej wargi i strząsnął go z palców nad koszem na śmieci, zanim posmakował kawy.

– Jak myślisz, co tam się wydarzyło? – spytał komisarz.

– Ktoś musiał być nieźle wkurwiony.

Wisting zgodził się z nim i skinął głową w zamyśleniu, po czym mówił dalej:

– Domyślasz się, dlaczego narkomani odwiedzali Pramma?

– A ty nie?

Komisarz przełknął ostatni łyk kawy.

– Nina Ravn zareagowała tak samo. Czy to takie oczywiste?

– Nina Ravn?

– Tak. Nina Ravn-Omholt, siostra Jonathana Ravna i najbliższa sąsiadka Pramma.

Hammer zagwizdał. Komisarza to nie zdziwiło. Hammer już dawno wytypował Ravna na wroga publicznego numer jeden, zresztą nie bez powodu. Ravn był zamieszany w większość przestępstw związanych z narkotykami i alkoholem. Zamieszany to mało powiedziane. Już jako młody mężczyzna zdobył pozycję lidera grupy przestępczej, brutalnego, bezwzględnego i zbyt bystrego, by pozwolić się schwytać. W środowisku krążyło mnóstwo historii o jego partnerach biznesowych, którym miażdżono rzepki w kolanach po tym, jak wdali się z nim w spór. Niektórzy twierdzili

również, że Jonathan Ravn pomógł informatorowi z Oslo przenieść się na tamten świat, podając mu za dużą dawkę narkotyków, i stał za samobójstwem dilera w Tønsberg.

– To stawia sprawę w zupełnie innym świetle – skwitował Hammer.

– Tak?

– Dam głowę, że Jonathan jest w to zamieszany.

– Nie wyciągasz zbyt pochopnych wniosków?

– Zobaczymy. Jak to mówią: niedaleko pada jabłko od jabłoni. Moim zdaniem cała rodzina Ravnów jest zepsuta do szpiku kości.

Wstał i ruszył w stronę drzwi z opróżnioną do połowy filiżanką kawy.

– A co z tą narkomanką? Po co przychodziła do Pramma? – spytał Wisting.

Hammer odwrócił się w drzwiach i zarechotał.

– Sprzedaż usług seksualnych.

– Myślisz, że jest dziwką?

– A Pramm jej klientem.

– Tak, to może być aż tak proste – przytaknął komisarz i zaczął się zastanawiać, dlaczego nie odgadł tego, co dla wszystkich innych zdawało się oczywistością.

– To przecież jasne – ciągnął Hammer. – Prawo popytu i podaży. Nie jest pierwszą narkomanką, która sprzedaje się za działkę.

Portfel Prebena Pramma był stary i wytarty. Został wykonany z brązowej skóry. Był także gruby i pękaty. Sprawiał wrażenie, jakby noszono go w tylnej kieszeni całymi latami. Hammer celnie opisał jego zawartość: nic szczególnego. A mimo to Wisting długo przyglądał się wyciętej z gazety i starannie złożonej fotografii, która znajdowała się w przegródce na banknoty. Papier był wypłowiały, a rogi zaokrąglone, co wskazywało na to, że Pramm często wyjmował zdjęcie i je oglądał. Wycinek przedstawiał klasyczne zdjęcie młodej pary, podobne do zdjęcia ślubnego Wistinga. Panna młoda w białej sukni, trzymająca przed sobą bukiet róż i sztywny pan młody w czarnym smokingu. Pod fotografią widniał napis: „Helena Jäger i Nickolay Lysander, oboje z Hamar, zawarli związek małżeński w katedrze w Hamar w sobotę 1 lipca”. Wisting zastanawiał się, czy Pramm był obecny na ślubie, ale coś mu mówiło, że wcale nie jest pewne, że został zaproszony.

Jeśli chodzi o pieniądze, to w portfelu leżał banknot pięćdziesięciokoronowy i kilka monet, łącznie siedemdziesiąt trzy korony. Poza tym było tam prawo jazdy, karta bankomatowa, karty stałego klienta Trumf i Domino, karty

członkowskie Klubu Tanga w Larviku i Norweskiego Towarzystwa Ornitologicznego. Tym, co najbardziej wypychało portfel, był stos paragonów. Wisting rozłożył je na biurku i posortował według daty. Najstarszy pochodził z kwietnia i dotyczył zakupu rolek filmowych i papieru fotograficznego w sklepie Preus Foto na Prinsegata w Larviku. Na najnowszym była wydrukowana data: czwartek, 20 czerwca, godzina 10:37. Wtedy Pramm był w aptece Fredriksvern na Storgata w Stavern i kupił następujące leki: flunitrazepam, ibuprofen i pyralginę forte. Pół godziny wcześniej robił zakupy w Meny: mleko, chleb, sześciopak piwa, płatki śniadaniowe, kawa mielona, paluszki rybne i makrela w sosie pomidorowym.

Te trzy paragony dały Wistingowi pewne wyobrażenie o trybie życia Prebena Pramma. Dalej przeglądał kwitki. Po chwili jego wzrok przykuło logo firmy znajdujące się na poplamionym olejem świstku papieru. „Serwis samochodowy Ravn” – brzmiał napis obok zdjęcia mężczyzny trzymającego klucz francuski nad dachem auta. We wtorek 4 czerwca Pramm odebrał swojego saaba 900 z warsztatu należącego do rodziny Ravnów przy Elveveien. Za „różne naprawy” zapłacił dwa tysiące siedemset czterdzieści koron. I to z uwzględnieniem dziesięcioprocentowego rabatu. Rachunek podpisał Jonathan Ravn. Nie wynikało z tego nic oprócz tego, że Pramm naprawiał swój samochód w warsztacie rodziny Ravnów, ale komisarz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że miało to jakieś znaczenie dla sprawy.

Już miał odłożyć portfel i paragony na bok, ale zastygł z kartą członkowską Klubu Tanga w dłoni. Członkostwo dotyczyło roku 2000. Karta wyglądała tak, jakby przeleżała jakiś czas w portfelu, ponieważ miała zaokrąglone rogi. Na karcie znajdował się adres, numer telefonu oraz imię i nazwisko przewodniczącego: Jean-Mikael Larsen. Wisting podniósł słuchawkę i wybrał numer. Po ośmiu sygnałach zamierzał zrezygnować, gdy nagle w słuchawce odezwał się jasny męski głos.

– Jean-Mikael Larsen.

Wisting przedstawił się.

– Chodzi o Prebena Pramma – wyjaśnił.

– On już nie jest członkiem naszego klubu – padła szybka odpowiedź.

– To prawda, już nie jest – przytaknął komisarz. – Nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Przez chwilę panowała cisza, aż w końcu mężczyzna po drugiej stronie linii

kontynuował rozmowę.

– Teraz już rozumiem, dlaczego pan dzwoni.

– To znaczy?

– Preben Pramm stał się niepopularny wśród części członków. I dlatego musiał zrezygnować z członkostwa.

– Musiał zrezygnować?

– Tak, to dość długa historia.

– Chętnie ją usłyszę – odparł Wisting. – Czy mógłby pan przyjść do komendy?

– Owszem. Kiedy panu pasuje?

– Kiedy może pan przyjść?

– Od razu?

– W takim razie jesteśmy umówieni.

Czekając na Jeana-Mikaela Larsena, Wisting przejrzał kalendarz Pramma. Był formatu niewielkiej książeczki oprawionej w czarną syntetyczną skórę, miał logo i złoty napis: „Sparebank 1 Vestfold”. Otworzył go na przypadkowej stronie. To był piętnasty tydzień. Po lewej stronie, pod datą „poniedziałek, 8 kwietnia”, znajdowały się notatki, natomiast prawa – z dniem 9 kwietnia – była pusta.

Na samej górze było napisane: „Rakke”. W dwóch kolejnych liniijkach: „*Milvus milvus* C10 F” i „*Milvus migrans* A1 F”. Na dole strony ktoś postawił krzyżyk. Wisting przełożył kartkę. Środa, 10 kwietnia: „Skråvika”, liniijka niżej: „*Botaurus stellaris* A1 F”. Komisarz kartkował dalej. W sobotę 13 kwietnia Pramm zanotował: „W domu”, niżej: „*Subpersonata* C6 F”, a na samym dole znowu postawił krzyżyk. Pod niedzielą 14 kwietnia na środku kartki znajdowały się dwie litery: „MH”.

Zawartość kalendarza nie miała dla Wistinga żadnego sensu. W napięciu przerzucił kartki, aż dotarł do soboty 22 czerwca i niedzieli 23 czerwca, to znaczy do weekendu, w którym dokonano zabójstwa, ale obie strony były puste. Dni poprzedzające noc świętojańską również nie były zapełnione. Pod wtorkiem 18 czerwca Pramm zanotował te same litery „MH” na środku strony. To samo poprzedniego dnia.

Komisarz nie miał czasu zastanawiać się dłużej nad notatkami zmarłego. Przerwały mu trzy lekkie stuknięcia we framugę otwartych drzwi gabinetu. W drzwiach stał Torbjørn Angell z Kripas. Zegar na ścianie potwierdzał, że

śledczy zjawił się punktualnie.

Angell odsunął na czoło okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się szeroko.

– Miło cię znowu widzieć!

– Nawzajem!

Wisting wyskoczył zza biurka i uściskał rękę dawnego kolegi ze szkoły. Już miał go objąć, ale zamiast tego położył mu dłoń na ramieniu i kilka razy poklepał go przyjacielsko po plecach.

– Dobrze, że przyjechałeś!

– Jakiś przełom w śledztwie?

– Nie, tego nie mogę niestety powiedzieć. Pytań jest coraz więcej i są trudniejsze niż cztery godziny temu, gdy rozmawialiśmy przez telefon. Kawy?

– Tak, poproszę.

Angell położył torbę na podłodze. Zdjął beżowy blezer i usiadł na krześle dla petentów po przeciwnej stronie biurka uprzątniętego już przed urlopem Wistinga.

– Mamy w ogóle jakiś punkt zaczepienia? – spytał.

– Tak – odparł komisarz i nalał mu kawy. – Co prawda sprawca ma nad nami prawie tydzień przewagi, ale mamy już kilka tropów. Udało nam się ustalić, że zabójstwa dokonano między godziną piętnastą w ubiegłą sobotę a poniedziałkiem rano. Jeden ze świadków widział zaparkowany samochód w nocy z niedzieli na poniedziałek. Poza tym wiemy już, że zamordowany kontaktował się ze światem przestępczym. Podobno często odwiedzała go dużo młodsza kobieta związana ze środowiskiem miejscowych narkomanów.

– Co z rodziną i przyjaciółmi?

Wisting rozumiał pytanie. W przypadku większości zabójstw ofiara i napastnik się znali. W siedmiu tego typu sprawach na dziesięć osoby te były ze sobą spokrewnione.

– Miał tylko syna – odparł i potrząsnął głową. – Od wielu lat nie utrzymują ze sobą kontaktu.

– Jakież wieści od techników?

Angell otworzył torbę i wyjął z niej laptopa, którego położył na kolanach.

– Nie. Twoi ludzie przyjechali niecałą godzinę temu i ostro wzięli się do pracy.

– Cóż, spróbujemy uporządkować trochę ten bałagan. Dostałem nowy program do analizy danych, który pomoże nam kontrolować wszystkie czynności.

– Może się przydać.

Rozmowę z Angellem przerwało pojawienie się przewodniczącego Klubu Tanga w Larviku. Stojący w drzwiach mężczyzna w najmniejszym stopniu nie odpowiadał wyobrazeniom komisarza. Prawdopodobnie z powodu egzotycznego imienia i miłości do tanga Wisting spodziewał się zobaczyć wysokiego, szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę w jedwabnych spodniach. Jean-Mikael Larsen zupełnie tak nie wyglądał. Był niski i niewątpliwie gruby. Mógł mieć najwyżej sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyć ponad sto kilogramów. Jego rozczochrane włosy koloru jasny blond odpowiadały stylem sumiastym wąsom. Był ubrany w niebieskie dżinsy odcięte w połowie uda i biały T-shirt, który odsłaniał fragment napeężniałej gołej skóry tuż nad pasem spodni. Jasny głos ze słuchawki nie pasował do korpulentnego mężczyzny.

– Przepraszam – powiedział, wskazując na swój ubiór. – Pracowałem w ogrodzie.

– Cieszę się, że zjawił się pan tak szybko – odparł Wisting. W tej samej chwili Angell opuścił pokój, nie witając się z gościem.

– Kawy?

– Tak, chętnie.

– A więc Pramm tańczył tango – zagadnął Wisting i nalał kawy gościowi i sobie. – Był dobry?

– Tango łatwo się nauczyć, ale nie można się go wyuczyć – wyjaśnił Jean-Mikael Larsen. Zabrzmiało to tak, jakby wygłaszał lekcję na pierwszych zajęciach tańca dla początkujących. – Ale Pramm rzeczywiście był dobry, był jednym z najlepszych – ciągnął przewodniczący klubu. – W tangu jest sporo miejsca na improwizację. Trzeba wczuć się w charakter muzyki, tak żeby taniec stał się upojną podróżą dla dwojga. Tango wymaga improwizacji w każdym kroku zgodnie z brzmieniem muzyki i dlatego tak ważna jest komunikacja z partnerem lub partnerką. Tango nie tańczy się stopami, lecz sercem. I Preben Pramm miał to, co potrzebne, by dobrze tańczyć, chociaż dokuczał mu reumatyzm. Sądzę jednak, że zapisując się do klubu, kierował się zupełnie innymi pobudkami.

Wisting ocknął się ze zdumienia nad tym poetyckim wykładem i przyjrzał z uwagą grubemu mężczyźnie, który przechylił się w jego stronę i zniżył głos. Odniósł wrażenie, że to była jedna z niewielu sytuacji, gdy Jean-Mikael Larsen został potraktowany poważnie, i że bardzo chciał wydać się bardziej

interesujący, niż był w rzeczywistości i on sam, i jego informacje.

– Inne pobudki? – powtórzył komisarz.

– Cóż, tańczy pan?

Wisting potrząsnął głową. Nie miał drygu do tańca, ku ogromnej rozpaczy Ingrid. Dwadzieścia lat temu przeżył jakoś pierwszy taniec nowożeńców i od tamtej pory na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy jego żonie udało się wyciągnąć go na parkiet. Zawsze czuł się jak ostatnia niezdara.

– To znaczy, że nie zna się pan na tangu?

Wisting znowu pokręcił głową i przygotował wewnątrz na kolejny wykład.

– Tango narodziło się wśród biednych imigrantów, prostytutek i bezrobotnych w Buenos Aires pod koniec dziewiętnastego wieku. W naturalny sposób było silnie nasycone erotyzmem i buntem. Doprowadziło to do tego, że tańczenie tanga zostało w Argentynie zabronione. Około 1910 roku tango zyskało ogromną popularność w Europie i z czasem wróciło do łask także w swojej ojczyźnie. Złoty okres tego tańca przypadł na lata trzydzieste, czterdzieste i pięćdziesiąte. Ostatnio tango argentyńskie przeżywa renesans, zainteresowanie nim jest wprost gigantyczne. Wydaje mi się, że jest to spowodowane tęsknotą za intymnością, i właśnie to był powód, z którego Pramm wstąpił do klubu.

– Wspomniał pan przez telefon, że Pramm musiał go opuścić.

– Zgadza się.

Larsen zerknął w stronę otwartych drzwi i po raz kolejny ściszył głos.

– Słyszał pan powiedzenie, że do tanga trzeba dwojga?

Wisting przytaknął i pozwolił przewodniczącemu klubu mówić dalej.

– Większość członków klubu stanowią pary. Są tam również samotni mężczyźni i kobiety, ale większość to małżeństwa. Tango wymaga dotyku. Właśnie tego wielu ludziom brakuje w innych tańcach. Preben Pramm potrafił stworzyć intymną atmosferę. Intymność i tango idą w parze i tak jak w wypadku innych dziedzin sztuki i erotyki trzeba mieć odwagę, by się w tańcu obnażyć. Niektórym panom z naszego klubu nie podobało się to, w jaki sposób Pramm tańczył z ich żonami.

– Dochodziło do konfliktów?

– Pozornie nie – odparł Larsen i jeszcze bardziej zniżył głos. – Ale widziałem to po nich. Gdyby spojrzenie mogło zabić... Rozumie pan?

– I dlatego musiał odejść?

– Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że tak. Oficjalna wersja brzmiała, że ma problemy z biodrem i ból za bardzo mu dokucza, by mógł nadal uczestniczyć w zajęciach.

– Czy od tamtej pory utrzymywał kontakt z innymi członkami klubu?

– Z tego, co wiem, nie. Dopóki był członkiem klubu, najlepsze relacje łączyły go z Åsne Berg z Langestrand i to z nią tańczył najczęściej. Kilka lat temu jej mąż doznał skomplikowanego złamania nogi. Ciągłe trafiał do szpitala, w ranę wdało się zakażenie. Nigdy się z tego nie wykaraskał, a w tym roku gdzieś na Wielkanoc zmarł. Na serce.

Gruby mężczyzna cmokał tak, jakby ten potok słów sprawił, że zaschło mu w ustach, i zanim wrócił do rozmowy, wypił pierwszy łyk kawy, która stała przed nim na stole.

– Ale dość o tym. Z tego powodu pani Berg i Pramm tworzyli przez jakiś czas parę taneczną, ale nie wyobrażam sobie, żeby Pramm mógł utrzymywać kontakty towarzyskie z nią lub innymi członkami, nie licząc imprez klubowych. On nie miałby z pewnością nic przeciwko temu, ale pani Berg raczej by to nie odpowiadało.

– Nie?

– Nie. Jak już mówiłem, odnosiłem wrażenie, że Pramm szukał intymności i znajomości z kobietami. Pani Berg również musiała to wyczuwać, ale z oczywistych względów nie była tym zainteresowana. Miała męża, a poza tym należy do zupełnie innej klasy społecznej. Jest kobietą zamożną, zawsze elegancko ubraną i o nienagannych manierach. Natomiast Pramm przychodził w starym garniturze, który najprawdopodobniej kupił na czyjś pogrzeb dwadzieścia lat temu. Ale był dobrym tancerzem. To trzeba mu oddać!

Rozmowa z Larsenem pozwoliła Wistingowi doprecyzować i uzupełnić obraz Prebena Pramma, ale zdawała się mieć niewiele wspólnego ze sprawą. Komisarz wypił porządny łyk kawy i przez chwilę wpatrywał się w pustą stronę w notesie, marszcząc czoło.

– Pewnie zastanawia się pan, czy ktoś z naszego klubu miał powód, żeby go zabić – odezwał się mężczyzna.

Wisting w ogóle o tym nie pomyślał, ale z uniesionymi ze zdziwienia brwiami zerknął znad notatnika.

– I co: miał?

– Nie wiem – odparł Larsen niemal szeptem. – Ale tego nie wykluczam.

Absolutnie nie wykluczam takiej możliwości. Musi pan pamiętać, że tango to taniec, który trafia do serca. Jest w nim dramatyzm i pożądanie, niezobowiązujące poddanie się partnerowi i bliskość, która trwa tylko przez chwilę, ale którą długo się pamięta. Wszystko zależy od tego, z kim się tańczy.

Komisarz zamyślił się i zanotował kolejne nazwisko: „Åsne Berg”.

6

Zanim Wisting i Angell opuścili budynek komendy, zrobiło się późno. Do północy dyskutowali na temat sprawy i planowali dalsze czynności dochodzeniowe. Z czasem przeszli od kwestii ściśle zawodowych do anegdot ze szkoły policyjnej i luźnej rozmowy o starych sprawach, nad którymi razem pracowali. Wisting tęsknił za tamtymi czasami i takim przyjacielem jak Angell. Nie miał nikogo, z kim mógłby rozmawiać tak otwarcie i kto rozumiałby go tak dobrze. Nikogo, kto tak jak on potrafiłby dokończyć rozpoczęte zdanie lub wyjąć mu słowa z ust. Ciężko zniósł dzień, gdy Angell wszedł do jego gabinetu z szerokim uśmiechem i pismem od policji w Bergen, która proponowała mu etat w tamtejszej komendzie. Mimo to cieszył się razem z nim. Nie wiedział, w jaki sposób udało im się aż tak zaprzyjaźnić, bo w gruncie rzeczy bardzo się od siebie różnili. Angell był niespokojnym duchem, który zawsze chciał czegoś nowego. Dalej, wyżej, mocniej. To dlatego stosunkowo krótko pozostał w swoim rodzinnym mieście. Prawdopodobnie z tego samego powodu Angell miał za sobą dwa nieudane małżeństwa. Zawsze szukał większych wyzwań i ambitniejszych zadań. W drodze do celu, który zawsze leżał daleko przed nim, zrobił sobie krótki postój w Centrali Policji Kryminalnej. Natomiast Wisting wrósł w to małe miasto w Vestfold i dobrze mu z tym było.

Gdy wrócił do domu, Ingrid czekała na niego. Znajdowała się w połowie nowego romansu i niemal równie daleko w butelce wina Jacob's Creek.

– Napijesz się ze mną? – spytała. Uśmiechnęła się i nie skomentowała późnej pory, ale Wisting wyczuł w jej głosie coś, co sprawiło, że zaproszenie zabrzmiało jak krytyka.

– Chętnie.

– Musiałam wstawić obiad do lodówki. – Rozdrażnienie stało się

wyraźniejsze. – Odgrzać ci trochę?

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny, i uświadomił sobie, że od lunchu nic nie jadł. Wiele razy wmawiał sobie, że długie i ciężkie śledztwa pomogą mu zrzucić kilka zbędnych kilogramów. Kiedy całą uwagę skupiał na znalezieniu sprawcy, uczucie głodu było wypierane i zwyczajnie przestawał jeść. A mimo to za każdym razem waga łazienkowa mówiła coś zupełnie innego. Praca sprawiała, że jadł szybkie i niezdrowe posiłki o złych porach dnia. Odgrzewane w mikrofalówce i spożywane w nocy kotlety mielone w brązowym sosie z ziemniakami, kapustą i czerwonym winem nie stanowiły składników żadnej diety odchudzającej, chociaż smakowały wyśmienicie, zwłaszcza jeśli od poprzedniego posiłku minęło więcej niż dwanaście godzin.

– Trudna jest... ta nowa sprawa?

Ingrid wlała resztkę wina do swojego kieliszka.

– Na razie wygląda na bardzo trudną – odparł i posmakował wina. – Ale nie na beznadziejną.

– Znajdziesz czas, żeby zrobić coś latem w domu? W tym roku należałoby go wybejcować. Poza tym wydaje mi się, że pod kalenicą dachu nad tarasem mamy gniazdo os. Byłoby wspaniale, gdybyś wziął drabinę i spróbował się go pozbyć. W każdym razie trzeba to zrobić, zanim zaczniesz bejcować.

Wisting odetchnął głęboko przez nos, zanim przełknął pierwszy kęs. Wiedział aż nadto dobrze, że Ingrid ma rację. Czekają na niego mnóstwo prac konserwatorskich. Mieli z Ingrid niepisaną umowę, że ona bierze na siebie wszystkie obowiązki wewnątrz domu, natomiast on jest odpowiedzialny za to, co na zewnątrz. Jednak mając do dyspozycji ponad dwa miesiące wakacji, sama mogła zająć się bejcowaniem i gniazdem os, zamiast leżeć nad morzem i się opalać. Czuł, że zaczyna go ogarniać irytacja. Wpakował do ust połowę kotleta, żeby nie wszczynać kłótni.

– Chwilowo mam ważniejsze rzeczy na głowie od malowania i gniazda os – odparł, gdy skończył przeżuwać mięso. – Może uda mi się wziąć dzień wolnego w następny weekend, jeśli śledztwo wejdzie na właściwe tory.

Uniknął sprzeczki, ale jego odpowiedź sprawiła, że Ingrid posprzątała po sobie i zostawiła go samego przy stole z resztą obiadu.

Po pięciu godzinach snu był z powrotem w komendzie. Brakowało mu co najmniej dwóch godzin nocnego odpoczynku, a poza tym spał niespokojnie, dręczony wyrzutami sumienia z powodu niemiło zakończonej rozmowy z Ingrid. Nie chciał obwiniać pracy o to, że ich związek notował wyraźny

spadek, ale musiał przyznać, że po raz kolejny stawiał obowiązki zawodowe przed rodziną. Miał nadzieję, że zbyt krótki sen i spieczęcie z Ingrid nie wpłyną na jego pracę. Musiał skupić się na tym, co ważne. Na tym, co ekscytujące.

Nils Hammer siedział już za swoim biurkiem. Ściany jego gabinetu o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych były ozdobione najróżniejszymi plakatami o tematyce antynarkotykowej, a na wielu półkach leżały fajki do palenia haszyszu, we wszystkich kolorach i fasonach – pamiątki po służbie w grupie narkotykowej. Od czasu, gdy Hammer przeniósł się z Oslo i zajął mały gabinet, minęło dwanaście lat. Pół roku trwało, zanim dopadły go plotki na temat tego, w jaki sposób został zmuszony do opuszczenia stolicy. Rzekomo miał romans z młodą narkomanką i przez nią znalazł się między młotem a kowadłem. Krążyły słuchy, że ich związek zakończył się w jedyny możliwy sposób: dziewczyna została znaleziona martwa ze strzykawką w ramieniu gdzieś w Grønland. Wisting nigdy nie rozmawiał z Hammerem o wydarzeniach sprzed dwunastu lat, ale domyślał się, że to właśnie przeżycia z okresu służby w Oslo sprawiły, że Hammer otoczył się twardą skorupą. Komisarz wiedział jednak, że pod tą fasadą kryje się troskliwy, empatyczny człowiek.

Z powodu szorstkiego stylu Hammera jego gabinet nazywany był w środowisku przestępczym „Piekiełkiem”. Koledzy z komendy szybko to podchwycili i nazwa weszła również do ich języka potocznego.

Gabinet był kolorowo urządzony, ale jeśli chodziło o widok z okna, nie mógł się równać z gabinetem Wistinga. Okno w pokoju Hammera wychodziło prosto na ulicę i murowany budynek, w którym mieścił się urząd gminy Larvik. Pewnego ranka, gdy Hammer przyszedł do pracy, zobaczył na murze napis wymalowany dużymi czerwonymi literami: „Hammer jest już martwy!”. Dozorca budynku postarał się, żeby napis został usunięty jeszcze przed lunchem, ale choć słowa przestały być czytelne, to zdarzenie odcisnęło piętno na Hammerze. Wisting nie przypominał sobie, by od tamtej pory widział tego silnego policjanta bez kamizelki kuloodpornej pod ubraniem. Była to cena, jaką musiał zapłacić za swoje nieco brutalne metody działania.

– Niezły materiał – powiedział Hammer, podnosząc pierwszą stronę lokalnej gazety.

„Zabójstwo w Stavern”, głosił wypisany tłustym drukiem tytuł artykułu. A pod nim, nieco mniejszymi literami: „Preben Pramm (69) znaleziony martwy we własnym domu na Auserød”. Nagłówek na pierwszej stronie

opatrzone był kolorowym zdjęciem, przedstawiającym Wistinga podczas rozmowy z dziennikarzami przed posiadłością Pramma. Komisarz zmarszczył nos. Nigdy nie lubił oglądać siebie na zdjęciach w gazetach. Po pierwsze, nigdy nie był do końca zadowolony ze swojego wyglądu, a po drugie, nie podobała mu się myśl, że jest rozpoznawany. Po wielu latach w zawodzie przywykł do tego, że zainteresowanie mediów jest wpisane w pracę głównego śledczego, ale zawsze trzymał się z dala od punktów sprzedaży prasy, jeśli wiedział, że zobaczy swoją podobiznę na stojakach z gazetami. Mimo to fotograf z „Østlandsposten” wykonał dobrą robotę. Na tym samym zdjęciu udało mu się uchwycić policyjny radiowóz, dwóch młodych policjantów i taśmy policyjne przed podjazdem na Auserødsvingen 11. Podpis pod fotografią brzmiał: „Komisarz William Wisting poszukuje świadków i prosi wszystkich, którzy w ostatni weekend przebywali w okolicy Auserød, by zgłaszali się na policję”.

– Były jakieś telefony? – spytał, siadając naprzeciwko Hammera.

– Zanim przyszedłem, dyżurny przyjął kilka zgłoszeń. Dzwonił ktoś, kto był na Auserød w sobotnie przedpołudnie, a ktoś inny w niedzielne popołudnie. Niczego nie widzieli ani nie słyszeli, ale zgłosili się na policję, bo ich o to prosiłeś. Od tej pory wszystkie zgłoszenia są przekierowywane do mnie.

– A co poza tym?

– Taak... „Dagbladet” przoduje. Jak zwykle wiedzą dużo więcej od lokalnej prasy. Ale to akurat nic nowego.

Wyciągnął w stronę Wistinga pierwszą stronę „Dagbladet”. Stołeczna gazeta poświęciła zabójstwu w Stavern zaskakująco dużo miejsca. Pod nagłówkiem: „ZWIĄZANY i NAGI” mniejszą czcionką wydrukowano: „Znaleziony martwy we własnym salonie”.

– Audun Vetti potwierdza to wszystko na stronie siódmej – ciągnął Hammer. – Nie chce za to komentować, czy doszło do przemocy seksualnej.

Wisting potrząsnął głową.

– Jeśli sprawa dotyczy seksu, to natychmiast trafia na pierwsze strony. Mogę się założyć, że „Dagbladet” sprzedało kilka tysięcy dodatkowych egzemplarzy dzięki wyrażeniu „związany i nagi”. Miejmy nadzieję, że zainteresowanie mediów przełoży się na więcej zgłoszeń.

– Tak, nikt nie myśli o krewnych ofiary.

– Wiemy coś więcej o jego najbliższej rodzinie?

– Właściwie nie – odparł Hammer. Czubkiem buta otworzył najniższą

szufladę biurka i oparł o nią nogi, odchylając się jednocześnie do tyłu i zakładając ręce za głowę. – Rodzice oczywiście nie żyją. Miał starszą siostrę, ale ona też już nie żyje. Syn Nickolay urodził się w 1954 roku. Jest nauczycielem, żonaty, dwoje dzieci. Wszyscy mieszkają w Hamar.

– Kim jest jego matka?

– Nazywa się Dagmar Lysander, to znaczy, kiedy Pramm ją poznał, nosiła nazwisko Erlandsen. Jej mężem jest niejaki Arne Lysander. Wyszła za niego, gdy Nick miał trzy lata. Chłopak mieszkał z matką i ojczymem i przyjął jego nazwisko.

– Czy coś wskazuje na to, że Pramm kontaktował się ostatnio z rodziną?

– Nie. Muszę w tym jeszcze pogrzebać, ale jeśli wierzyć tamtejszej policji, od dawna nie mieli ze sobą kontaktu.

– Trochę to dziwne.

– Tak. Przyjrzę się temu bliżej.

Z pewnym trudem Hammer wyłowił z kieszeni spodni pudełko snusu, nie zdejmując nóg z szuflady. Mówiąc dalej, postukał okrągłym pojemnikiem w blat biurka.

– Pramm był karany. W 1979 dostał trzydzieści dni w zawiasach i pięćset koron grzywny za podglądactwo.

– Podglądactwo?

Wisting uniósł brwi i przyjrzał się policjantowi, który wygrzebał właśnie odpowiedni kawałek snusu, wciąż z nogami na krawędzi szuflady. Wyglądało na to, że bardziej się męczył, niż relaksował.

– Tak. Mieszkał wtedy w Bamble – wyjaśnił Hammer i wsunął pod górną wargę pierwszą tego dnia porcję snusu. – Przyłapano go na gorącym uczynku, z nosem przyklejonym do szyby sypialni sąsiadów. Po wyroku kupił dom w Stavern i tam się przeniósł.

– Czy to był jednorazowy wybryk?

– Został skazany za pojedynczy czyn, ale sąsiedzi podejrzewali go o to od dłuższego czasu i zastawili na niego pułapkę. Sąsiad zaczął się wieczorem w ogrodzie, a jego żona paradowała półnaga po domu.

Hammer tak szeroko roześmiał się z powodu prywatnego śledztwa sąsiadów Pramma, że wierzchem dłoni musiał przytrzymać nikotynę pod wargą.

– Sprawdzisz, czy w okolicy Auserød mieliśmy podobne zgłoszenia albo skargi mieszkańców? Nie mamy pewności, czy po przeprowadzce skończył ze

swoim hobby. Może nie tylko ptaki obserwował przez lornetkę?

Słońce rzucało pierwsze tego dnia promienie przez metalowe rolety w oknie sali posiedzeń. Plamy światła tańczyły po twarzach policjantów zebranych wokół stołu konferencyjnego. Śmiech i luźne rozmowy ucichły, gdy William Wisting wszedł do pokoju i zajął miejsce u szczytu długiego stołu. Zastanawiał się, w jaki sposób udało mu się zdobyć taki autorytet, że skupiał na sobie całą uwagę, gdy tylko pojawiał się w drzwiach. Ciężąca na nim odpowiedzialność i myśl, że wszyscy oczekują od niego wyjaśnienia sprawy zabójstwa, przerażały go, ale pocieszał się myślą, że nikt nie jest tego świadomy. Rozejrzał się dookoła i napotkał wzrok każdego ze śledczych.

Komendant, który przybył z siedziby okręgu w Tønsberg, żeby uzyskać informacje z pierwszej ręki, został z grzeczności pozdrowiony skinieniem głowy. Sverre Lysnes stał na czele okręgu policyjnego Vestfold od pierwszego stycznia, kiedy to wszystkie komendy w okręgu zostały połączone. Komendant twierdził, że dzięki reformie policja bardziej otworzy się na społeczeństwo, będzie lepiej zarządzać środkami finansowymi i stanie się efektywniejsza w zwalczaniu przestępczości. Tymczasem jedynymi rezultatami reformy, jakie Wisting zdążył zaobserwować, były nieczynne w nocy komisariaty, sfrustrowani policjanci i zrozpaczeni ludzie, którzy padli ofiarą różnych przestępstw i nie otrzymali na czas takiej pomocy, jakiej oczekiwali.

Wisting był z założenia sceptyczny wobec wszystkiego, co nowe i co wiązało się ze zmianami. Był nieufny, gdy do komendy trafiły pierwsze komputery i później, gdy otrzymali własne rozwiązania informatyczne i elektroniczne dzienniki operacyjne. Z niechęcią odnosił się nawet do używania telefonu komórkowego, ale z czasem musiał przyznać, że nowe technologie znacznie ułatwiały pracę i podnosiły jej standard. Nie miał też żadnych problemów

z ich opanowaniem. Teraz jednak, choć reorganizacja nie uderzyła jeszcze w wydział kryminalny z całą siłą, miał pewność, że zmiany nie wyjdą na dobre nikomu: ani społeczeństwu, ani pracownikom.

Wokół stołu zebrało się w sumie trzynaście osób. Naprzeciwko Wistinga siedział Finn Haber i dwóch techników z Kripos razem z Nilsem Hammerem i Torunn Borg. Wisting cieszył się, że w ten weekend nie musiała zajmować się dziećmi i mogła wziąć udział w początkowej fazie śledztwa. Wiedział dobrze, że wielu śledczych postrzega ją jako osobę o wysokim morale i nie lubi bądź nie potrafi z nią współpracować. On sam niejednokrotnie doświadczył tego, że Torunn ze swoimi krótkimi komentarzami i nawiązywaniem do przepisów kodeksu postępowania karnego była niczym kubek zimnej wody na głowy zapalczywych śledczych. Ale właśnie dzięki temu, że Borg nie była zwolenniczką dróg na skróty, Wisting uważał ją za jeden z filarów wydziału, bez których ten by sobie nie poradził. Ale było w niej coś jeszcze, coś trudnego do zdefiniowania, co sprawiało, że komisarz dobrze się czuł w jej towarzystwie. Zresztą, może chodziło po prostu o to, że udzielał mu się jej spokój i logiczne myślenie, dzięki czemu on sam lepiej pracował.

Oprócz nich komendant miejski zebrał wszystkich pracowników wydziału kryminalnego, którzy nie byli na urlopie. Poza tym ściągnął śledczego z komisariatu w Lardal i dwóch z komendy w Sandefjord.

Stanowili liczną grupę i to działało na ich korzyść. W początkowej fazie decydujące było to, by iść szeroką ławą i wyłapać wszystkie luźne wątki. Strategia na dziś była prosta. Zamierzał podzielić grupę na dwa zespoły. Większy chciał wysłać do Stavern na rozpoznanie posesyjne. Planował im również zlecić rozpytanie klientów pubu, jak tylko kurki z piwem zostaną odkręcone. Drugi zespół miał zostać na miejscu i zbierać wyjaśnienia od świadków, którzy sami się zgłoszą lub zostaną wytypowani w trakcie rozpoznania posesyjnego. Ta grupa musiała również rozpocząć rutynowe przesłuchanie członków Klubu Tanga z Larviku. Hammer miał przeprowadzić rozeznanie w środowisku narkomanów i odszukać tych, którzy znali Prebena Pramma. Natomiast Haber i technicy z Kripos mieli kontynuować czynności na Auserødsvingen 11.

Wisting pozwolił Angellowi i dwóm technikom z Kripos przedstawić się, po czym rozpoczął odprawę od streszczenia sprawy.

– Wygląda na to, że mamy do czynienia z zabójstwem na tle rabunkowym – skomentował jeden ze śledczych ściągniętych z Sandefjord.

– To oczywiście jedna z możliwych hipotez – odparł Wisting. – Jeśli tajemnicą poliszynela było to, że Pramm dorobił się majątku, to niewykluczone, że sprawcy zaatakowali go w domu i zażądali pieniędzy.

Zamilkł na chwilę, wracając myślami do obrazu tego, co mogło się wydarzyć.

– A jednak wiele faktów przeczy tej teorii. Pramm nie miał żadnych lub prawie żadnych oszczędności. W tygodniu, podczas którego leżał martwy we własnym mieszkaniu, zdążył otrzymać aż dwa wezwania do zapłaty. Według mnie tajemnica Pramma dotyczyła czegoś zupełnie innego i wcale nie jestem pewny, czy sprawcy udało się ją z niego wydobyć. Naszym zadaniem jest odnaleźć zabójcę i dowiedzieć się, za co Preben Pramm był gotowy umrzeć.

Policjanci zebrani wokół stołu pokiwali głowami. Wisting oddał głos Haberowi.

– Zarówno czas zabójstwa, jak i przyczynę zgonu trudno na razie ustalić – zaczął i puścił w obieg plik zdjęć poglądowych z miejsca zdarzenia. – Jak wspomniał Wisting, mężczyzna prawdopodobnie leżał martwy przez wiele dni, zanim został odnaleziony. Pewną odpowiedź na te pytania poznamy dopiero w poniedziałek, kiedy otrzymamy wstępny protokół z sekcji.

Przełożył kartki w stosie leżącym na stole, po czym spojrzał na zebranych znad okularów i mówił dalej:

– Wszystkie pomieszczenia w domu zostały przetrząśnięte. Podobnie samochód, garaż i szopa. A to daje podstawy, by sądzić, że sprawca nie znalazł tego, czego szukał. Gdyby to znalazł, na przykład w sypialni, przerwałby przeszukiwanie i jakieś pokoje pozostałyby nietknięte. Naturalne wydaje się również to, że skoro sprawca przetrzepał samochód i szopę, to nie znalazł niczego w domu.

– Zabezpieczyliście jakieś ślady?

– Tak – odparł Haber i od nowa uporządkował dokumenty. – Najwięcej nadziei wiąże z kilkoma niedopałkami, które znaleźliśmy na kanapie obok denata. Papierosy najprawdopodobniej gaszono na ciele ofiary. Być może uda się wyizolować DNA ze śliny pozostawionej na filtrze. Poza tym zabezpieczyliśmy dwa odciski obuwia, które nie odpowiadają żadnym butom używanym przez zmarłego, oraz dwa różne odciski palców. Jedne należą zapewne do Pramma, chociaż trudno będzie to stwierdzić, ponieważ sprawca odciął ofierze opuszki palców. Znaleźliśmy także włosy, które z całą pewnością nie należą do denata.

– Skąd ta pewność? – spytał jeden ze śledczych.

– Pramm był siwy. Oprócz jego włosów zabezpieczyliśmy kilka innych, czarnych i krótkich oraz jasnych i długich. Te jasne znaleźliśmy w łóżku razem z resztkami nasienia.

Wisting i Hammer wymienili spojrzenie, po czym głos zabrał komisarz.

– Mamy informacje, że Pramma od czasu do czasu odwiedzała młoda jasnowłosa kobieta wywodząca się ze środowiska narkomanów. Prawdopodobnie chodziło o sprzedaż usług seksualnych. Hammer zajmie się tym dzisiaj, ale jestem otwarty na wszelkie propozycje dotyczące tożsamości tej osoby. Coś więcej na temat miejsca zdarzenia? – zwrócił się do Habera.

– Liczymy na to, że do wieczora zakończymy czynności w domu ofiary. W weekend prześlemy odciski palców do Kripos, a więc sprawdzanie baz danych może się rozpocząć w poniedziałek rano.

– Pramm był notowany – odezwał się Hammer. – W latach siedemdziesiątych został skazany za podglądactwo. Jego odciski palców powinny być w bazie.

– To nam bardzo pomoże – skomentował Haber.

– Co to były za węzły?

Pytanie padło z ust Mortensena, najmłodszego i najpóźniej zatrudnionego w wydziale kryminalnym. Koledzy spojrzeli na niego nierozumiejącym wzrokiem, więc zaczerwienił się i doprecyzował pytanie:

– Chodzi mi o sznury, którymi był skrepowany.

– Chyba oglądasz za dużo filmów – padła szybka odpowiedź Hammera. – Nie tak rozwiązujemy sprawy w naszym wydziale.

Gdy rozpoczynała się odprawa, Mortensen miał najpoważniejszy wyraz twarzy z nich wszystkich, a jednocześnie wydawał się najbardziej zaangażowany i pełen zapału. Wisting zastanawiał się, czy sarkastyczna uwaga Hammera była konieczna, i szukał sposobu, by wziąć młodego policjanta w obronę, ale uprzedził go Haber.

– To pytanie wbrew pozorom nie jest takie głupie. Obie ręce i lewa stopa były związane podwójnym półsztykiem i węzłem ratowniczym, natomiast prawa stopa czymś w rodzaju węzła babskiego. A to przemawia za tym, że zabójstwa nie dokonano w pojedynkę. Że szukamy dwóch zabójców.

Wisting już miał kontynuować swój wywód, ale Haber znowu wszedł mu w słowo.

– Jest jeszcze jedno. W piwnicy, u stóp schodów leżał martwy kot.

– Kot? – powtórzył Hammer.

– Tak, a dokładniej kocur. Miał rozcięty brzuch i wszystkie wnętrzności na wierzchu. Najprawdopodobniej żył, gdy go rozplątano i zrzucono ze schodów, a potem przeżył jeszcze kilka minut, bo przeczołgał się parę metrów po podłodze, zanim uszło z niego dziewiąte życie.

Wokół stołu zapadła cisza. Wisting myślał o tych wszystkich potwornościach, które rozegrały się w domu Prebena Pramma w noc świętojańską. O walce na śmierć i życie stoczonej przez Pramma. Kiedy przesłuchiwał świadków i prosił, żeby opowiedzieli, co robili w czasie, gdy doszło do konkretnego zdarzenia, często próbował przypomnieć sobie, co sam robił w danym momencie. Najczęściej okazywał się słabym świadkiem, ponieważ nie potrafił udzielić żadnej odpowiedzi, chociaż po namyśle dochodził zwykle do wniosku, że był w pracy. Za to noc świętojańską pamiętał nad wyraz dobrze. Spędził ją na morzu razem z Ingrid i sąsiadami i doświadczył wszystkiego, co powinno się składać na tradycyjne świętowanie letniego przesilenia. Był więc grill, kąpiel, ognisko i dobry alkohol. Musiał znosić przyjacielski mobbing ze strony Willy’ego Jonassena, który trzymał ster. Szyper nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że chłopak ze Stavern nigdy nie miał własnej łodzi. Prawda była taka, że i na wodzie, i na parkiecie Wisting czuł się równie niezdarnie. Sprawność fizyczna nigdy nie była jego najmocniejszą stroną i tę część testów do Wyższej Szkoły Policji zdał z niewielkim, wręcz minimalnym marginesem.

W końcu ciszę przerwał komendant Eskild Anvik, zadając pytanie, które nurtowało wszystkich zebranych:

– Na litość boską, co się wydarzyło w tamtym domu?

– Naszym zadaniem jest znaleźć odpowiedź na to pytanie – odparł wyrwany z zamyślenia Wisting. – Zdobyliśmy kilka interesujących informacji, nad którymi możemy dalej pracować. Ostatni raz Pramm był widziany w sobotę o godzinie piętnastej. I to jest pewna wiadomość. Pramm był wtedy w ogrodzie, robił coś przy budce dla ptaków i rozmawiał z sąsiadem, Knutem Seljesæterem. Ptaki były wielką pasją i namiętnością Pramma, ptaki i fotografowanie. Mamy też inną ciekawą obserwację – ciągnął, przerzucając kartki w notatniku. – Nina Omholt z Auserødsvingen 13 twierdzi, że w noc świętojańską wróciła do domu około północy i że widziała czarne bmw 318i zaparkowane na ulicy przed posesją Pramma.

– Czy to był model z nową czy starą karoserią? – spytał śledczy z Lardal.

– Nie bardzo się orientuję, ale zdaniem świadka chodzi o rocznik 1994.

– To znaczy, że ze starą.

– Nina Omholt powinna wiedzieć, o czym mówi, ponieważ jest siostrą Jonathana Ravna i pracuje w warsztacie samochodowym należącym do rodziny Ravnów.

Wisting zauważył, że wielu śledczych zareagowało na dźwięk tego nazwiska, a niektórzy zrobili krótkie notatki.

– Nie powinniśmy przywiązywać zbyt dużej wagi do tej okoliczności, ale faktem jest, że w rodzinie Omholtów nie dzieje się najlepiej. Nina Ravn jest żoną Franka Omholta. Dopiero co z nimi rozmawiałem. Frank Omholt ma zadrapania na twarzy mniej więcej sprzed tygodnia, na moje oko są to ślady po paznokciach. On sam twierdzi, że w noc świętojańską przewrócił się po pijaku i wpadł w jakieś krzaki.

– Gdy w zeszłym roku zaczynałem tutaj pracę, prowadziłem sprawę dotyczącą przemocy – wszedł mu w słowo Mortensen. – Zresztą dość paskudną. Frank Omholt był zamieszany w bójkę przed pubem „Tordenskiold”. Ktoś rozbił półlitrową butelkę i dźgnął nią w plecy gościa z Trøndelag. Podejrzewaliśmy Omholta, ale doszło tam wtedy do niemal masowej bójki i sprawa została umorzona z powodu niewykrycia sprawcy. Wszyscy, którzy tam byli, zarówno ci, którzy się bili, jak i świadkowie, byli tak pijani, że w sądzie i tak byśmy przegrali.

Wisting zanotował informacje uzyskane od Mortensena. Zauważył, że Angell zrobił to samo.

– Musimy sprawdzić dokładnie alibi Omholta. Ty się tym zajmiesz – zwrócił się do Mortensena – skoro już go znasz. Zacznij od rozmowy z Gerhardtem i Mariną Schultzami z Oddaneveien.

Puszczony w obieg plik zdjęć z miejsca zdarzenia trafił do rąk Torunn Borg.

– Biedny człowiek – wyrwało jej się.

Wisting był zaskoczony. Rzadko zdarzało mu się słyszeć podobne komentarze z ust śledczych.

– Śmierć jednego to chleb dla drugiego – skomentował Hammer i pomachał notesem z zadaniami do wykonania. Torunn zignorowała jego uwagę i mówiła dalej:

– Wyobraźcie sobie, że jesteście aż tak samotni, że leżycie martwi przez tydzień, zanim ktoś was znajdzie.

Gdy Wisting usiadł przy biurku w swoim gabinecie i zamknął oczy, żeby się

zastanowić, jego myśli krążyły wokół słów Borg. Do tej pory bardziej niż pytanie „kto?” interesowało go pytanie „dlaczego?”. Dlaczego ktoś miałby pozbawiać życia biednego starego człowieka?

Ponieważ nie znalazł żadnej odpowiedzi, wziął do ręki „Dagbladet”, którą Hammer zostawił mu do przejrzenia. Pod gazetą leżała kartka papieru z nagłówkiem „Dziennik operacyjny”, do której była przyczepiona żółta karteczka samoprzylepna. Wisting zrozumiał, że wiadomość pochodziła od Torunn Borg. „Znalazłam to w dzienniku operacyjnym – może mieć znaczenie dla naszej sprawy”, napisała na niej. Na dole narysowała małą okrągłą buźkę z dużym uśmiechem i dodała: „Miłego dnia!”.

Wisting chwycił kartkę i odchylił się do tyłu. Zgłoszenie zostało przyjęte w sobotę 25 maja o godzinie 22:27.

„Zgłoszenie od Greta Lutnes, Auserødsvingen 10, Stavern, tel. 33 13 20 53, dotyczące nieprzytomnej osoby leżącej na chodniku przed jej posesją. Na miejsce wysłano F-30. Wezwano karetkę pogotowia. O godz. 22:43 F-30 melduje, że osoba odzyskała przytomność. Informuje, że nazywa się Preben Pramm, ur. 11.03.1933. Wyjaśnia, że bez powodu został zaatakowany i uderzony przez nieznanego mu mężczyznę, gdy był na wieczornym spacerze. Sprawca był ubrany w ciemne spodnie i jasny T-shirt. Wyraźna rana cięta i obrzęk nad lewym okiem. Przewieziony na SOR do kontroli. Rozważa zgłoszenie się na policję w ciągu weekendu w celu złożenia zawiadomienia o popełnionym przestępstwie. Patrol przeszukał okolicę. Sprawcy nie zatrzymano. Sprawa do obserw. w oczekiwaniu na ewentualne zgłoszenie”.

Wisting jeszcze raz przeczytał notatkę służbową, zacierając z entuzjazmem ręce, jakby wpadł na jakiś trop. Miesiąc przed zabójstwem Preben Pramm został pobity przed własnym domem. Komisarz nie mógł sobie przypomnieć, by w ciągu dwudziestu lat służby w policji słyszał o sprawie, w której dorosły, trzeźwy mężczyzna bez żadnej przyczyny został zaatakowany na ulicy w spokojnej części miasta przez nieznaną mu osobę. Hammer zdążył sprawdzić policyjne rejestry. Preben Pramm nigdy nie zgłosił pobicia.

Komisarz zabrał notatkę i zszedł dwa piętra niżej do dyżurki, żeby się dowiedzieć, kto był tamtego wieczoru w pracy i kto kontaktował się z Prammem. Czuł narastającą złość. Najwyraźniej sprawa została źle poprowadzona. Powinni przeprowadzić rozpoznanie posesyjne w okolicy miejsca zamieszkania Pramma i zdobyć rysopis sprawcy od Greta Lutnes

i ewentualnych innych świadków. Zamiast tego funkcjonariusze, którzy mieli tamtego dnia służbę, umyli ręce, zrzucając na Pramma odpowiedzialność za finał sprawy.

Oficer dyżurny David Enge stał przy okienku i próbował uspokoić cudzoziemkę z dzieckiem na ręku. Zniecierpliwiony Wisting stanął z tyłu i czekał, aż dziewczyna odejdzie. Prawdopodobnie pochodziła z byłej Jugosławii i słabo mówiła po norwesku. Miała trudności z wysłowieniem się, ale chyba jeszcze większe ze zrozumieniem policjanta. Chociaż minęło prawie czterdzieści lat, odkąd David Enge opuścił Sulę w Sunnmøre, wciąż mówił dialektem.

Z tego, co Wisting rozumiał, chodziło o zaginięcie chłopaka dziewczyny i ojca dziecka. To musiała być dla niej wyjątkowo frustrująca i przerażająca sytuacja, tym bardziej że dziewczyna nie znała dobrze języka.

– Proszę poczekać dzień lub dwa. Może pani chłopak się znajdzie. To się często zdarza.

Enge przecesał palcami siwe włosy, odsłaniając jednocześnie dużą plamę potu pod pachą.

– Agimowi nigdy się to wcześniej nie zdarzało – upierała się dziewczyna z dzieckiem.

– Nasze doświadczenie jest takie, że czasem wystarczy poczekać dzień lub dwa, a zguba się znajduje. Nie mam tu teraz nikogo, kto mógłby przyjąć od pani zgłoszenie zaginięcia. Okropny mamy tu dzisiaj młyn. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

Najwyraźniej więcej osób robiło, co mogło, żeby przerzucić swoje obowiązki na innych. Tym razem Wistingowi było to nawet na rękę.

– A pan nie może tego zrobić? – nalegała cudzoziemka.

– Sporządzę notatkę, złożę ją jako tymczasowe zgłoszenie zaginięcia i poszukam go we własnym zakresie.

Wyjął notatnik i długopis.

– Może pani przeliterować jego nazwisko?

Wisting dał mu znać, jak bardzo jest zniecierpliwiony, chrząkając dwa razy. Oficer zrozumiał to i zmienił taktykę.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli pani to zrobi – powiedział i podsunął jej notes.

– Proszę zanotować wasze nazwiska, jego datę urodzenia oraz to, gdzie i kiedy widziała go pani po raz ostatni. Proszę użyć dużych liter.

Enge odwrócił się do Wistinga i zaprowadził go za szklaną ścianę, gdzie

mogli swobodnie porozmawiać.

– Jak wasze śledztwo? – spytał, głównie z uprzejmości.

– Cóż, na razie jest za wcześnie, by powiedzieć coś konkretnego, ale mamy nad czym pracować. W noc zabójstwa na miejscu zdarzenia widziano zaparkowany samochód.

– Jaki?

– Czarne bmw, trzecia seria.

– Wszystkie łobuzy jeżdżą teraz beemkami – skomentował Enge i skinął na dziewczynę o ciemnej karnacji stojącą po drugiej stronie szklanej ściany. – Ale przynajmniej macie jakiś punkt zaczepienia.

– Mam też notatkę służbową, z którą, mam nadzieję, mi pomożesz.

Podał kartkę oficerowi, który zsunął okulary z czoła i założył je na nos.

– Miesiąc przed śmiercią Preben Pramm został pobity. To nie musi mieć żadnego związku, ale trochę mnie to zastanawia. Możesz sprawdzić w dzienniku, kto został wysłany na miejsce zdarzenia?

– Już się robi – odparł Enge i usiadł przed komputerem. – Fox 30, Johnsen i Rødberg. Wiem, że Johnsen jest teraz na hiszpańskiej riwierze, ale Rødberg idzie na urlop dopiero w sierpniu. Dam ci numer jego komórki.

Enge zanotował numer telefonu funkcjonariusza na kartce z dziennika dyżurów i podał ją Wistingowi.

– To było dość zaskakujące zdarzenie – powiedział.

– Dlaczego?

– Auserød to bardzo spokojna dzielnica. Rzadko dochodzi tam do awantur czy naruszenia nietykalności cielesnej.

Po powrocie do gabinetu komisarz wybrał numer sierżanta Jonasa Rødberga.

– Jonas Rødberg, słucham – odezwał się głos po drugiej stronie słuchawki.

– Cześć, tu William Wisting.

– O, cześć! Jak sprawa zabójstwa? Potrzebujecie pomocy?

– Tak, trochę tak. Ale chwilowo mam do ciebie tylko kilka pytań.

– Okej, wal śmiało.

– W sobotę 25 maja Preben Pramm został pobity przed swoim domem – zaczął Wisting.

– Zgadza się. Byłem tam z Geirem Johnsenem. Ktoś mu nieźle przywalił. Facet na chwilę odleciał, ale kiedy przybyliśmy na miejsce, był już przytomny.

– Mówił, kto mu to zrobił albo dlaczego?

– Nie. Staruszek nie był zbyt rozmowny. Powiedział, że nie wie, kto to był, i nie potrafi tej osoby opisać. To wszystko musiało się dziać bardzo szybko i z zaskoczenia.

– Co zrobiliście ze sprawą? – spytał komisarz. Domyślał się, że sierżant wyczuje w jego głosie krytyczny ton.

– Zachęcaliśmy go, żeby zgłosił sprawę, ale nie był tym zbytnio zainteresowany.

Odpowiedź była wyraźnie ostrzejsza i bardziej formalna.

– Byli jacyś świadkowie?

– Nikt nie zdradził się z tym, że coś widział. Na miejscu rozmawialiśmy tylko z Prammem. Gdy karetka odwiozła go na SOR, pojechaliśmy prosto do komendy, żeby zdążyć na koniec zmiany o dwudziestej trzeciej. Obawiam się, że nie mam nic więcej do dodania.

– Jasne. Zadzwoń, jeśli coś ci się przypomni.

– Oczywiście. A ty daj znać, jak tylko będziecie potrzebować więcej ludzi. Przyda mi się trochę dodatkowych koron na wakacje.

Wisting już miał powiedzieć, że gdyby policjant po drugiej stronie linii kierował się innymi kryteriami niż koniec zmiany lub możliwość dorobienia sobie do pensji, to być może miałby z niego jakiś pożytek. Zamiast tego ugryzł się w język i zakończył rozmowę. Poza tym Jonas Rødberg był z pewnością doskonałym policjantem, który wykonywał świetną robotę na ulicy. Bardziej interesowało go, co Greta Lutnes wie na temat pobicia, i dlatego odszukał numer telefonu na Auserødsvingen 10. Nie spodziewał się, że odbiorą, ale pozwolił, żeby dźwięk dzwonka przeszedł w sygnał zajętości, zanim odłożył słuchawkę. Potem wybrał 1881 i dodzwonił się do ogólnokrajowego biura numerów. Irytowało go to, że powitanie trwało tak długo i że stracił koronę, zanim w ogóle został dopuszczony do głosu. Spytał o Gretę Lutnes i przeżył miłą niespodziankę, słysząc, że kobieta ma zarejestrowany numer telefonu komórkowego.

Greta Lutnes komórki również nie odebrała, ale przyjazny kobiecy głos zachęcił go do pozostawienia wiadomości. Wisting przedstawił się krótko i poprosił, żeby oddzwoniła do niego, jak tylko będzie mogła.

8

Wisting wstał zza biurka i podszedł do okna. Nad samym morzem maszyny do robót ziemnych przygotowywały fundamenty pod nowy hotel. Hammer ciągle powtarzał, że zazdrości robotnikom tego, że o szesnastej idą do domu i nie myślą więcej o pracy. Tuż przed dwudziestymi urodzinami Wisting pracował przez dwa lata w Grand Hotell. Najpierw na nocnej zmianie w recepcji, ale szybko piął się po szczeblach kariery i kiedy opuszczał hotel, by rozpocząć studia w Wyższej Szkole Policji, pełnił już funkcję osoby odpowiedzialnej za organizację kursów i konferencji. Praca w hotelu znacznie się różniła od pracy w wydziale dochodzeniowym. I tu, i tu miał mnóstwo obowiązków, które wymagały od niego sporego zaangażowania, ale problemy z gośćmi hotelowymi zawsze udawało się rozwiązać tacką ciastek duńskich i dzbankiem kawy lub dziesięcioprocentowym rabatem za pobyt w hotelu. Nie było stosów nierozwiązanych spraw, zabójców ani gwałcicieli, przez których nie można było w nocy zmrużyć oka. Rozumiał kolegów, którzy myśleli podobnie jak Hammer, ale nie wyobrażał sobie, by mógł wykonywać jakąkolwiek inną pracę.

Na północnym zachodzie rozciągała się zielona ściana lasu. Obszar ten należał do rodziny Treschowów, która obecnie odpowiadała za działanie Treschow-Fritzøe, spółki przemysłowej z długimi tradycjami. Nieopodal lasu, wokół założonego w połowie szesnastego wieku przedsiębiorstwa, powstało całe osiedle. Na Langestrand nadal były widoczne pozostałości po przemysłowej przygodzie, natomiast lokale po tartaku, stolarni i heblowni były wykorzystywane w zupełnie inny sposób. Obecnie mieściły się w nich siłownia, centrum squasha i nowo powstałe firmy informatyczne.

Wisting spojrzął na zegarek. Do konferencji prasowej zostało półtorej godziny. Na dole, w starej dzielnicy mieszkała wdowa, z którą Pramm

zamierzał nawiązać intymną relację. Komisarz uznał, że zdąży złożyć jej wizytę przed spotkaniem z mediami o godzinie dwunastej. Miał nadzieję, że kobieta będzie w stanie rzucić na sprawę nowe światło.

Ulice w Langestrand były ciasne i nieprzystosowane do nowoczesnych gospodarstw domowych, w których tylko nieliczne rodziny dawały sobie radę z jednym samochodem. Stara dzielnica powstała na długo przed pojawieniem się pierwszych aut. Domy nie miały garaży, wiat ani podwórzy, na których można by było parkować. Gdy Wisting skręcił we Fritzøes gate, biały samochód dostawczy sieci sklepów Meny włączył się do ruchu, zostawiając wolne miejsce parkingowe przed ogrodzeniem z białych sztachet należącym do posesji numer siedem.

„Na świecie jest za mało miłości”, brzmiał napis po bokach samochodu dostawczego. Wisting nigdy nie rozumiał, co ten slogan miał wspólnego z branżą spożywczą i sprzedażą ziemniaków i chleba, ale zawsze, gdy go widział, ogarniały go wyrzuty sumienia. Myślał o Ingrid, której poświęcał zbyt mało czasu. Wiedział, że jeśli sprawa zabójstwa Pramma szybko się nie wyjaśni – a na to właśnie się zanosilo – ich relacje małżeńskie nieprędko się poprawią.

Wzdrygnął się, ponieważ drzwi otworzyły się niemal w tej samej chwili, w której zdjął palec z przycisku dzwonka. Stała przed nim kobieta o drobnej budowie ciała, ubrana w żółty płaszcz kąpielowy. Trzymała w dłoni telefon i wyglądała na bardziej zaskoczoną niż Wisting. Oblała się rumieńcem i cofnęła w głąb mieszkania, wolną ręką otulając się szczelniej szlafrokiem.

– Jestem z policji – wyjaśnił i pokazał odznakę, którą trzymał w tylnej kieszeni.

– Tak?

– Pani Åsne Berg?

– Tak?

– Chodzi o Prebena Pramma.

– Ach tak, oczywiście – odezwała się po chwili.

– Mogę zająć pani minutę? Mam kilka pytań.

Kobieta stała nieruchomo w małym hallu. Uśmiechnęła się niewyraźnie, ale wydawała się lekko skołowana i niepewna. Jej wzrok błędził nad Wistingiem i obok.

– Przyszedłem nie w porę?

– Co?

– Chciałbym pani zadać kilka pytań związanych ze śmiercią Prebena Prammasa – powtórzył – ale może nie ma pani teraz czasu?

– Ależ tak, oczywiście! Proszę wejść!

Wyglądało na to, że wzięła się w garść. Nagle stała się wyjątkowo serdeczna i ruchem ręki zaprosiła komisarza do środka.

– Na chwilę pana przeproszę i pójdę się ubrać.

Wisting stał w salonie i czekał na jej powrót. Z dwóch głośników zamontowanych na krótszej ścianie płynęły dźwięki muzyki klasycznej. Nigdy wcześniej nie słyszał tego utworu, ale czuł, że instrumenty smyczkowe rozdierają mu uszy. Im bliżej punktu kulminacyjnego symfonii, tym stawały się dokuczliwsze. Odszukał pokrętkę głośności i ściszył muzykę. Dopiero wtedy był w stanie skupić się na wystroju wnętrza.

W ogromnym salonie dominowały dwa portrety. Chociaż najprawdopodobniej obrazy zostały namalowane kilkadziesiąt lat temu, na jednym z nich z łatwością rozpoznał Åsne Berg i domyślił się, że mężczyzna w smokingu na drugim obrazie to jej zmarły mąż. Obok obrazów olejnych stała szklana witryna, w której trzymano kryształowe kieliszki i biały serwis obiadowy. Mała nalepka z czarnym napisem na złotym tle na dole sosjerki mówiła niewtajemniczonym, że są to wyroby Duńskiej Królewskiej Fabryki Porcelany. Poza tym ściany zdobiły fotografie, na których państwo Bergowie zostali uwiecznieni w towarzystwie najbardziej prominentnych mieszkańców miasta. Wisting rozpoznał między innymi kilku byłych burmistrzów. Na jednym ze zdjęć stali również z Thorem Heyerdahlem przed jego pomnikiem wzniesionym na Tollerodden. Wzrok komisarza padł w końcu na zdjęcie ślubne stojące na fortepianie. Wziął je do ręki, żeby przyjrzeć się z bliska pięknej parze, gdy Åsne Berg weszła do pokoju ubrana w jedwabne spodnie i takiż żakiet. Włosy miała związane w niedbały kok nisko na karku, a małe usta zostały pokryte nową warstwą ciemnoczerwonej pomadki. Spojrzał na starzejącą się twarz, na której prawie nie było widać zmarszczek, ale nie był w stanie niczego z niej wyczytać. Najwyraźniej zaskoczył ją swoją wizytą, ale kobieta zdążyła ochłonąć i odzyskać pewność siebie.

– Przykro mi z powodu pani męża – powiedział i odstawił zdjęcie na miejsce.

– Tak, był dobrym mężem – odparła szybko. Nawet jeśli zdziwił ją fakt, że policjant wiedział o tym, że owdowiała, nie dała tego po sobie poznać. – Bardzo proszę, niech pan siada!

Gdy wskazywała głęboką kanapę, zabrzączały złote bransolety zawieszona wokół jej chudego nadgarstka. Wisting domyślił się, że to był wyuczony ruch, i sklasyfikował starszą panią jako osobę zamożną, zastanawiając się, czy należy ona również do świętoszkowatych dam z wyższych sfer o wielkopańskich manierach. Jego zdaniem bogaci ludzie dzielili się na dwie grupy. Na tych, którzy byli świadomi tego, jak wysokie miejsce zajmują na drabinie społecznej, i chcieli, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. I na tych, którzy mimo swojego wysokiego statusu twardo stąpali po ziemi i nie epatowali bogactwem. Często zależało to również od tego, w jaki sposób dana osoba się wzbogaciła. Coś mu mówiło, że pani Berg należała do tej pierwszej kategorii.

– O co właściwie chodzi? – spytała.

– Wie pani, że Preben Pramm nie żyje? – zaczął i odchrząknął.

– Tak. Przyjaciółka zadzwoniła do mnie wczoraj późnym wieczorem, a dzisiaj przeczytałam o tym w gazecie. To straszne!

– Mam do pani kilka rutynowych pytań. Staramy się dotrzeć do wszystkich znajomych Pramma, również tych związanych z Klubem Tanga, którego oboje byliście członkami.

– Tak, ale on od dawna do niego nie należał.

– Jakie wrażenie zrobił na pani Preben Pramm?

Wyjął z kieszeni koszuli mały notes.

– Był fantastycznym partnerem do tańca. Reumatyzm uczynił go z czasem odrobinę nieporadnym, a pod koniec jego ruchy stały się niezdarne. Biedaczysko. Ale gdy był w szczytowej formie, nikt nie mógł się z nim równać. Mój mąż także uwielbiał tańczyć, ale bardzo poważnie zachorował, więc zaczęłam tańczyć z Prammem.

– Czy poza klubem utrzymywała pani z nim relacje towarzyskie?

– Boże uchronaj! – odparła natychmiast i potrząsnęła energicznie głową. – Znałam go tylko z klubu i właściwie nie mam na jego temat wyrobionego zdania.

– Niektórzy uważają, że wpadła mu pani w oko – ciągnął ostrożnie, widząc, że kobieta po drugiej stronie małego stolika kawowego oblała się rumieńcem. Przez chwilę bawiła się zegarkiem, jakby chciała zyskać czas do namysłu.

– Nie wiem, co powiedzieli panu inni – odparła w końcu. – Być może rzeczywiście sprawiał takie wrażenie. Zwłaszcza kiedy wypił, prawili mi komplementy.

- Kiedy rozmawiała z nim pani ostatni raz?
- W wieczór świętojański.
- W wieczór świętojański? Jest pani pewna?
- Tak.
- To znaczy w niedzielę 23 czerwca? Tego roku?
- Tak. Wróciłam z cmentarza i właśnie przygotowywałam kolację, gdy do mnie zadzwonił.
- O której to było?
- Między siódmą a ósmą wieczorem.
- Czego chciał?
- Właściwie nie wiem.
- W takim razie jak przebiegała rozmowa?
- Najpierw byłam bardzo zaskoczona. Nie widziałam go ani nie myślałam o nim od dawna. A potem spytał, czy mógłby mnie odwiedzić. Wtedy jeszcze bardziej się zdziwiłam.
- Złożył pani wizytę?
- Nie. Odpowiedziałam mu, że bardzo mnie tym zaskoczył, i spytałam, czy chciałby przyjść jeszcze tego samego wieczoru. Powiedział, że nie może, ale chętnie przyjdzie na kawę następnego dnia. Chciał mi o czymś opowiedzieć albo coś pokazać, nie wiem dokładnie.
- No i?
- Umówiliśmy się na szesnastą, ale on się nie zjawił. Kupiłam ciasto, ale szczerze mówiąc, ulżyło mi, kiedy nie przyszedł. Uważałam, że jest trochę za wcześnie na wizyty mężczyzn. Od śmierci Arnego minęło zaledwie kilka miesięcy. Teraz rozumiem, dlaczego się nie zjawił. Biedny człowiek. To naprawdę przerażające!
- Rozmawiali państwo o czymś jeszcze?
- Nie. To była krótka rozmowa.
- Jaki wydawał się przez telefon?
- Wesoły i zadowolony. Miał dobry humor, chociaż pamiętam, że wydał mi się lekko zdenerwowany. Głos mu drżał. Trochę mnie to rozbawiło. Brzmiał jak młody chłopak, który po raz pierwszy zaprasza dziewczynę na randkę. Zrobiło mi się go żal i chyba dlatego zgodziłam się na to spotkanie.
- Mówił, co chce pani pokazać?
- Nie, właściwie wydaje mi się, że chciał mi o czymś opowiedzieć, ale gdy nie przyszedł na spotkanie, zaczęłam się zastanawiać nad tym, co powiedział.

Nie pamiętam dokładnie, jakich użył słów: że ma coś dla mnie czy że jest coś, co chciałby mi pokazać.

– Domyśla się pani, co to mogło być?

Zanim otrzymał odpowiedź, do salonu wszedł starszy siwy mężczyzna.

– Wiesz, Åsne, chyba zapomniałem...

Mężczyzna zaczął mówić w hallu, ale urwał w pół zdania, gdy zobaczył Wistinga. Kobieta podniosła się i po raz kolejny oblała rumieńcem.

Komisarz rozpoznał mężczyznę, którego widział zaledwie parę razy, towarzysząc Ingrid w robieniu zakupów. Ivar Bakker prowadził nowy sklep sieci Meny na Stavernsveien i Wisting skreślił go z listy Høyre^[9] w ostatnich wyborach samorządowych. Osobiście nie miał nic przeciwko Bakkerowi, ale nie chciał, żeby człowiek, który na co dzień układał na półkach paczki pod pasek i worki z ziemniakami, rządził miastem. Kumulacja głosów Wistinga nie wystarczyła jednak do tego, by udaremnić kupcowi wejście w skład rady miasta.

Gdy Åsne Berg przedstawiła ich sobie, podał mu rękę i obaj skinęli głową.

– Chodzi o Prebena Prammas – wyjaśniła. – Policja ma kilka rutynowych pytań do wszystkich członków Klubu Tanga.

– Tak, okropna sprawa. Macie kogoś na oku?

– Na razie ustalamy grono jego znajomych. Znał pan Prammas?

– Tylko przez taniec.

– Czy pan też należy do Klubu Tanga?

– Tak, ja i moja żona – odparł Bakker i powiódł wzrokiem za panią Berg, która wyszła do kuchni. – Ale rzadko z nim rozmawialiśmy. Właściwie tylko się sobie kłanialiśmy.

– Ivar i Edith bardzo mi pomogli po śmierci Arnego.

Åsne Berg wróciła do salonu i próbowała w sposób niezauważalny wsunąć mężczyźnie telefon komórkowy do rąk, klepiąc go po ramieniu.

– To ja już lecę. Zająłem dwa miejsca parkingowe – powiedział Bakker i odwrócił się. – Wpadnę znowu za kilka dni!

Wisting również się pożegnał. Gdy wsiadał do samochodu, pierwsza strona w notesie była prawie cała zapisana. Obok wykrzyknika napisał: „Berg; tel. z Prammas 23.06 godz. 19:00-20:00”. A poniżej postawił znak zapytania i zanotował słowa klucze: „opowiedzieć/pokazać/dać”.

Siedział z długopisem w dłoni i bębnił w notatnik. Zwykle nie zwracał

uwagi na zakazaną miłość. Sam był tak bardzo zadowolony z wyboru partnerki życiowej, że sama myśl o tym wydawała mu się wyjątkowo odległa. Jednak tym razem wszystko było widoczne jak na dłoni, pomyślał i narysował małą buźkę w kształcie serca, z małymi oczami, krzywym nosem i wygiętymi w łuk ustami o opuszczonych kącikach. Poniżej napisał: „zbyt dużo miłości na Fritzøes gate”. Nie lubił ludzi, którzy mieli sekrety. Nie w sprawie o zabójstwo.

^[9] Norweska Partia Konserwatywna (Prawica), założona w 1884 roku.

9

Konferencję prasową o godzinie dwunastej poprowadził adwokat policyjny. Wisting siedział między nim a komendantem miejskim i patrzył na Larviksfjorden, gdzie holownik ciągnął duży kontenerowiec w stronę portu na Revet. Zawsze fascynowało go to, w jaki sposób te małe łodzie holownicze wykonują zadania, które na pozór znacznie przekraczają ich możliwości. Miał nadzieję, że równie łatwo jego zespół poradzi sobie z tym skomplikowanym śledztwem.

Wykorzystał okazję, by podziękować mieszkańcom miasta za wiele ciekawych informacji. Przemilczał fakt, że te informacje nic im nie dały, a jedynie przysporzyły dodatkowej pracy.

Wśród informatorów znalazły się również obowiązkowo dwie jasnowidzki, które zgłosiły się ze swoimi rozwiązaniami zagadki śmierci Pramma. Jedna utrzymywała, że sprawcą jest najbliższy członek rodziny, a druga poszła jeszcze dalej, twierdząc, że zabójstwa dokonał szwagier ofiary. Oczywiście było, że przynajmniej druga wizja była całkowicie chybiona.

Po konferencji Wistinga ogarnęło przygnębienie. Jego zapał i entuzjazm uleciały wraz z pojawieniem się przykrej konstatacji, że nie mieli żadnych kluczowych ani obiecujących informacji. Zwykle strumień zgłoszeń od ewentualnych świadków był dużo szerszy niż w tej sprawie. Czuł, że wali głową w mur.

Odwrócił się w fotelu o sto osiemdziesiąt stopni i utkwiał wzrok w półce, na której zgromadził proste, drobne pamiątki z wielu prowadzonych przez siebie spraw. Hammer zwykł ją nazywać „półką trofeów”. Wisting założył kolekcję zupełnie przypadkowo, zaczynając od jakiejś konfiskaty, ale z czasem zaczął zbierać małe maskotki ze spraw, które zrobiły na nim duże wrażenie lub które czegoś go nauczyły. Najbardziej pożyteczna w tym wszystkim była

jednak świadomość, że każda sprawa miała niemal beznadziejny punkt wyjścia, a mimo to znajdowała swoje rozwiązanie.

Na lewym końcu półki leżał breloczek do kluczy, pamiątka po jednej z pierwszych spraw. Do kółka była przyczepiona mała figurka kota z twardego plastiku, przedstawiająca Toma albo Jerry'ego. Nigdy nie mógł zapamiętać, która postać z kreskówki była kotem, a która myszą. Pomarańczowa figurka pokryta była drobnymi ciemnymi plamami – śladami krwi małego dziecka. Breloczek był przyczepiony do suwaka puchowego kombinezonu znalezionego na E18 w zimową noc 1985 roku. Kombinezon był cały we krwi. Wisting zaangażował się w śledztwo bez opamiętania, być może głównie z tego względu, że sam miał córeczkę, na którą pasowałby zakrwawiony kombinezon. Poruszył niebo i ziemię, by się dowiedzieć, co się stało z dzieckiem. Również tym razem dużą rolę odegrali dziennikarze. Gdzieś leżał jeszcze wycinek z „VG” ze zdjęciem, na którym komisarz trzymał kombinezon i z wyrazem twarzy pełnym rozpaczony zwracał się do rodziców dziecka, by zgłosili się na policję. Miesiącami badał ruch na głównej trasie biegnącej przez Sørlandet i skontaktował się ze wszystkimi sprzedawcami kombinezonów dziecięcych, ale nic to nie dało. W końcu apel policji zamieszczony w „Se og Hør” doprowadził do przełomu w sprawie. Redaktor naczelny Knut Haavik nadal interesował się przestępczością w Larviku, chociaż od dawna nie pracował już jako dziennikarz w „Larvik Morgenavis”. Po wielu namowach Wisting zgodził się wystąpić w gazecie z tym samym nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Tego samego dnia, w którym gazeta trafiła do sprzedaży, odebrał telefon od kobiety narodowości romskiej z Trøndelag. Ona i jej rodzina byli z taborem w Vestfold. Ich trzyletnia córeczka dostała gwałtownego krwotoku z nosa i zabrudziła ubranie. Kombinezon posłużył im do zatamowania krwawienia. Gdy w końcu im się to udało, ojciec dziecka wyrzucił poplamione ubranko przez okno samochodu.

Ta sprawa chyba nauczyła Wistinga najwięcej. Breloczek stale przypominał mu o tym, że nie wszystko jest tym, na co wygląda.

Po drugiej stronie półki leżała łuska po naboju z napadu na konwój bankowy. Pocisk trafił w kolano jednego z konwojentów. Wisting nie był pewien, czy łuska zasługuje na miejsce na półce trofeów, skoro sprawa nie została jeszcze rozwiązana.

Komisarz westchnął z rezygnacją. Chwilę później do gabinetu wszedł Hammer z kubkiem kawy w jednej ręce i kuponem zakładów bukmacherskich

w drugiej. Być może był twardzielem nieszanującym zbytnio legalnych metod śledczych, ale nigdy nie opuszczał go dobry humor. Jego pozytywny nastrój natychmiast udzielił się Wistingowi. Był wdzięczny koledze za to, że wyrwał go z ponurych rozmyślań.

– Dolejesz mi? – spytał Hammer, podając mu kubek.

– Jasne – odparł komisarz, napełniając kawą także swój kubek. – Wygrałeś coś?

– Parę razy, ale zwykle kończę z dziewięcioma poprawnymi lub dziesięcioma, jeśli nie ma żadnej wypłaty. A ty?

– Nie pamiętam już, kiedy grałem. Ingrid od lat obstawia w Lotto te same liczby, ale o ile wiem, ona również się nie wzbogaciła.

– Widziałem taką stronę w Internecie, na której kilku studentów matematyki wprowadziło wszystkie zwycięskie ciągi liczb. Można tam sprawdzić, ile by się wygrało, gdyby co tydzień zgłaszało się ten sam kupon. Dla zabawy ułożyłem sobie kilka takich ciągów, moja data urodzenia i takie tam, i dowiedziałem się, że wygrałbym siedemset sześćdziesiąt koron.

– No wiesz, siedemset sześćdziesiąt koron piechotą nie chodzi.

– Ja też tak sobie pomyślałem, ale potem sprawdziłem, że najpierw musiałbym wydać ponad trzydzieści tysięcy!

– A widzisz! – zaśmiał się Wisting. – A mimo to co tydzień ktoś zostaje milionerem. Moim zdaniem szansa na wygraną wynosi pięćdziesiąt procent.

– Pięćdziesiąt procent?

– Albo wygrasz, albo nie.

Hammer wybuchnął przesadnym śmiechem, tak jak tylko on potrafił, aż w końcu uspokoił się, wpychając kawałek snusu pod górną wargę.

– Jakies wieści z narkotykowego półświatka?

– Niestety nie – odparł Hammer i otrzepał dłonie nad leżącym mu na kolanach otwartym pudełkiem snusu, żeby pozbyć się z palców resztek lepkiej nikotyny. – Nikt go tam nie zna. To dziwne, ale mam wrażenie, że powiedzieliby mi, gdyby coś wiedzieli.

– Czyli pudło?

– Niekoniecznie. Nie rozmawiałem jeszcze ze wszystkimi – odrzekł, podnosząc się lekko, żeby wsunąć pudełko do tylnej kieszeni spodni. – Jeśli ktoś coś wie, to ja też się o tym dowiem. Ci ludzie znają wartość powiedzenia przysługa za przysługę.

Wisting dobrze o tym wiedział. Ten, kto udzielał informacji policjantom

z wydziału narkotykowego, łatwiej mógł się wywinąć, gdy ich drogi znowu się przecinały. Dla nich oznaczało to różnicę między utratą działki heroiny a trafieniem na głodzie do izolatki przed przesłuchaniem i nałożeniem kary grzywny. O tak, Wisting wiedział, że jeśli w narkotykowym półświatku krążą jakieś informacje, to na pewno trafią one do Hammera.

– Przepraszam za mój sceptycyzm. Jestem lekko sfrustrowany, bo na razie idzie nam jak po grudzie.

– Znalazłeś coś ciekawego w jego kalendarzu?

– Sam nie wiem. Zrobiłem trochę notatek, ale nic z tego nie rozumiem.

Wziął do ręki torebkę z kalendarzem Pramma, która leżała obok akt dotyczących napadu na konwój bankowy, i rzucił ją Hammerowi na kolana.

– *Milvus milvus*.

– Że co?

– No właśnie. Co to oznacza? W kalendarzu jest mnóstwo takich słów. Dla mnie brzmi to jak chińszczyzna, a raczej greka, i to dosłownie.

– To mi przypomina bardziej łacinę.

– Możliwe. Poza tym roi się tam od jakichś cyfr, liter i krzyżyków. Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

– Nie bardzo, ale widziałem już wcześniej takie krzyżyki – skomentował Hammer, przerzucając kartki.

– Tak?

– W moim zeszycie z klasy maturalnej było trochę takich krzyżyków. W twoim nie?

– Od mojej matury minęło sporo czasu, ale nie przypominam sobie, żebym zapisywał zadania domowe, stosując jakiś specjalny kod.

– Może to wyznanie jest zbyt osobiste i trochę nie na temat, ale ja stawiałem krzyżyk za każdym razem, gdy zaliczyłem numer.

Wisting zamyślił się. Zanim skomentował intymne zwierzenia Hammera, wypił łyk kawy.

– Kupuję to. Nawet jeśli nie chodzi o seks, krzyżyki oznaczają jakieś ważne wydarzenia. Moja matka zawsze mówiła, żeby zapisać coś kredą w kominie^[10], kiedy wydarzyło się coś sensacyjnego albo przynajmniej niezwykłego. Może Pramm stawiał krzyżyk w podobnych sytuacjach? Kiedy zdarzyło się coś tak wyjątkowego, że nie mógł tego wyrazić słowami. Myślę, że w tym miejscu dotykamy jednej z tajemnic Pramma.

– Mogę go pożyczyć na trochę?

Hammer zamachał kalendarzem.

– Oczywiście. Sprawdź w Internecie, może tam coś znajdziesz.

– Yes. I przy okazji zobaczę, czy nie ma tam jakichś porad dotyczących typowania zakładów.

W chwili, gdy śledczy zniknął za drzwiami z kubkiem kawy, kuponem i kalendarzem Prebena Pramma, na biurku Wistinga rozdzwonił się telefon. To był Finn Haber z miejsca zbrodni.

– Wygląda na to, że do wieczora uwiniemy się z robotą. Jutro możesz przewrócić dom do góry nogami.

Wisting słyszał w jego głosie dziwne podekscytowanie. Domyślił się, że coś musiało się wydarzyć.

– I dlatego do mnie dzwonisz? Żeby mi powiedzieć, że wszystko idzie zgodnie z planem?

– Gdy wy piliście kawę z dziennikarzami, my wynieśliśmy ciało. Zanim odwieźli je do Zakładu Medycyny Sądowej, zdjąłem taśmę z jego ust.

– Tak?

Haber jak zwykle budował napięcie, trzymając Wistinga w niepewności, zanim wreszcie doszedł do sedna sprawy.

– Miał coś w ustach.

– Zdążyłem się już domyślić. – Komisarz udawał, że jest rozdrażniony. – Możesz przejść do rzeczy?

– Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt pięć koron.

– Co ty gadasz?

– To, co słyszysz. Miał w gębie ponad trzy tysiące koron. Jeden banknot tysiackoronowy, dwie pięćsetki, cztery dwusetki, osiem setek, jedną pięćdziesiątkę i pięciokoronówkę. Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt pięć koron.

Wisting milczał.

– Jesteś tam?

– Tak. Masz jakieś propozycje? Domyślasz się, dlaczego?

– Moje propozycje są tak samo dobre jak twoje. W ujęciu symbolicznym taśma na ustach mogłaby oznaczać, że ktoś chciał, żeby Pramm milczał na jakiś temat. Z drugiej strony takie zachowanie wydaje się trochę dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że sprawca czegoś szukał i na pewno zależało mu na

tym, żeby Pramm powiedział, gdzie to coś jest ukryte.

– Ale dlaczego pieniądze?

– Może Pramm dostał kasę, żeby powiedzieć komuś o czymś, co miało związek ze sprawcą, a sprawca dał mu w ten sposób ostrzeżenie, żeby siedział cicho.

– Ale przecież zatroszczył się o to innymi, znacznie skuteczniejszymi metodami.

– Nie mamy pewności, czy Pramm był martwy, gdy zalepiano mu usta taśmą. Nie wiemy również, czy miał umrzeć.

– Wtedy pieniądze nabrałyby bardziej symbolicznego znaczenia?

– Tak. Oznaczałyby judaszowe srebrniki czy coś w tym stylu.

– Długo moglibyśmy filozofować na ten temat – skwitował Wisting i przeszedł do konkretów. – Czy na pieniądzach mogły zachować się odciski palców?

– Całkiem możliwe. Wyślemy je do Kripos jeszcze dziś wieczorem lub jutro rano razem z odciskami palców, które zebraliśmy w domu ofiary. Ale nie miej zbyt dużych oczekiwań. Chociaż to zabójca umieścił pieniądze w ustach Pramma i mogą być na nich jego odciski, pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Na banknotach nierzadko ujawnia się trzy lub cztery różne odciski palców.

– Oczywiście, ale i tak dobrze byłoby wiedzieć, kto dotykał banknotów przed zabójcą. Ten ktoś mógłby być cennym świadkiem.

^[10] W języku norweskim to wyrażenie brzmi: „postawić krzyżyk w kominie”.

10

Wisting wziął filiżankę kawy i część akt i ruszył w dół korytarza. Usiadł na krześle dla petentów w gabinecie, który przydzielono Angellowi, i streścił mu rozmowę telefoniczną z Haberem oraz intymne zwierzenia Hammera.

– Wyrobiłeś już sobie zdanie na temat tego, co tam się wydarzyło?

– Sprawa wciąż jest niejasna – odparł Angell. – Obawiam się, że myślę w dość tradycyjny sposób. Motywem zbrodni są zwykle pieniądze, władza, zemsta lub pożądanie.

– Albo chęć ukrycia innego przestępstwa – dodał Wisting.

– Zastanawia mnie, dlaczego on po prostu tego nie powiedział.

– Czego?

– Przyjmijmy, że Preben Pramm ma coś, czego szukają sprawcy. Nachodzą go w domu, ale on odmawia im wydania tego czegoś. Przestępcy zaczynają mu grozić, a potem go torturują. Zmuszają go, żeby rozebrał się do naga, związują go, a następnie biją, kopią, chłoszczą i przypalają papierosami. Potem rozcinają na pół jego kota, a Pramm nadal milczy. Zastanawiam się, co jest warte takiej ceny? Za co warto jest umrzeć? Dlaczego po prostu się nie poddał i nie dał sprawcom tego, na czym im zależało?

– Może nie było żadnej tajemnicy? Może nie miał pojęcia, o co im chodzi?

– To bardzo utrudniłoby nam pracę, bo oznaczałoby, że zabójcy nie mieli żadnego oczywistego motywu.

– Jeśli teoria mówiąca, że Pramm coś ukrywał, jest prawdziwa, to musiała to być jakaś straszna tajemnica.

– Tak. Coś takiego, co zrujnowałoby mu życie. Nawet wtedy, gdy odcinali mu palce, jeden po drugim, nie pisnął ani słowa.

– Myślisz, że wtedy jeszcze żył? – spytał komisarz.

– Prawdopodobnie tak, choć raczej był nieprzytomny. Na zdjęciach, które

dostałem od Habera, widać, że na podłodze przed Prammem stało wiadro. To oczywiście tylko spekulacje, ale tak sobie myślę, że być może zemdłał, gdy sprawcy zaczęli odcinać mu palce, a oni polewali go zimną wodą, żeby się ocknął.

– Ja mam inną teorię – odparł Wisting. – Pramm musiał stawiać opór. Mógł podrapać sprawcę po twarzy, a morderca pozbawił go opuszków palców, żebyśmy nie mogli znaleźć fragmentów naskórka ani śladów DNA pod jego paznokciami.

– Czy to nie jest zbyt naciągana teoria?

– W mediach bardzo często mówi się o DNA. Niemal w każdej sprawie o zabójstwo DNA stanowi decydujący dowód bez względu na to, czy chodzi o krew, włosy czy nasienie. Sprawcy, których szukamy, to coraz częściej są zawodowcy dobrze zorientowani w naszych metodach.

Nagle w drzwiach stanął Mortensen, przerywając rozmowę.

– A, więc tu jesteś, Williamie! – zwrócił się do komisarza.

Wisting nie był zachwycony faktem, że jest na ty z młodszym o piętnaście lat śledczym, ale przemilczał tę kwestię. Mortensen z trudem łapał oddech i był czymś wyraźnie podekscytowany. Było jasne, że zdobył nowe informacje.

– Byłem na Oddaneveien – powiedział młody policjant i oparł się o framugę drzwi. – Spotkałem się z Gerhardtem i Mariną Schultzami w ich domu. Nina i Frank Omholtowie obchodzili z nimi noc świętojańską. Wybuchła potężna awantura, która skończyła się tym, że około północy Nina wróciła do domu taksówką.

– O co się pokłócili? – spytał Wisting, wyciągając notes z kieszeni koszuli.

– Nie otrzymałem konkretnej odpowiedzi. Marina Schultz stwierdziła, że powinienem spytać o to Ninę, ale z rozmowy wywnioskowałem, że chodziło o jakieś związki pozamałżeńskie i to z obu stron.

– Że niby oboje mają kogoś na boku? – spytał Angell.

– Takie były sugestie – odparł Mortensen. – Nina Omholt wpadła w prawdziwą histerię i rzuciła się z pięściami na męża. Podrapała go dotkliwie po twarzy. Gerhardt Schultz musiał ją obezwładnić.

Wisting i Angell wymienili spojrzenie.

– Wygląda na to, że część twojej teorii poszła się bujać razem z głównym podejrzanym – skomentował Angell.

Komisarz nie odpowiedział.

– Zdobyłem nazwisko taksówkarza, który odwiózł Ninę Omholt do domu.

To był znajomy Gerhardta Schultz. Nazywa się Stian Ørbeck i mieszka w Kjerringvik.

– O której Frank wyszedł od Schultzów?

– Godzinę po żonie.

– Już po godzinie?

– Tak twierdzi Gerhardt Schultz.

– Czym wrócił do domu? – spytał Wisting.

– Na to pytanie również nie udzielili bezpośredniej odpowiedzi.

– A pośredniej udzielili?

– Można tak powiedzieć. Zasłaniali się tym, że nie wypada donosić na kolegę. Gerhardt i Frank pracują razem w firmie Lett-Tak w Heggdal. Ale zasugerowali, że pojechał samochodem.

– Czyli prowadził po pijaku? – spytał Angell.

– Tak i na pewno nie był jedynym pijanym kierowcą, który usiadł za kółkiem w noc świętojańską.

Wisting podsumował w myślach to, czego się dowiedzieli. Kilka fragmentów układanki znalazło się na swoim miejscu, chociaż niedokładnie tam, gdzie się tego spodziewał lub gdzie by sobie tego życzył. Przekonanie, że z wyjaśnieniami Niny i Franka Omholtów było coś nie tak, okazało się słuszne. W tym, co powiedzieli, lub w sposobie, w jaki to zrobili, coś się nie zgadzało. Teraz zrozumiał, że najprawdopodobniej chodziło im o zachowanie pozorów.

– Wezwać go do komendy? – spytał Mortensen.

– Nie – odpowiedzieli chórem Angell i Wisting.

– Dobrze byłoby mieć więcej dowodów, zanim go przyskrzynimy – wyjaśnił komisarz. – Skontaktuj się z tym Ørbeckiem. Czarne bmw staje się coraz ważniejszym tropem. Jego kierowca do tej pory nie zgłosił się na policję. Spytaj taksówkarza, czy pamięta taki samochód, i przypilnuj, żeby dał ci wydruk z taksometru. Dzięki temu ustalimy dokładnie, o której dokonano tej obserwacji.

Mortensen zanotował coś w notesie i zniknął na korytarzu.

– Elementy zaczynają się ze sobą łączyć – stwierdził Angell.

– Tak – odparł Wisting, bębniąc długopisem w notatnik. – Sądzę, że posunęliśmy śledztwo do przodu. Trochę to dziwne, że Frank Omholt nie zauważył czarnej beemki, skoro zjawił się w domu zaledwie godzinę po żonie. Jeśli samochód należał do sprawców, musiał tam stać przez jakiś czas.

Przeszukanie domu Pramma trochę im zajęło.

– Nie wiemy przecież, czy Omholt wrócił prosto do domu – zauważył Angell. – Może pojechał wypełnić swoje pozamałżeńskie obowiązki? Poza tym był pijany i chociaż udało mu się trafić do domu, nie jestem pewny, czy jego zmysł obserwacji działał bez zarzutu.

– Masz rację. A poza tym nie wiemy, jak długo auto stało tam, zanim Nina Omholt wróciła do domu.

Angell pochylił się nad laptopem, żeby wprowadzić nowe informacje do programu. Wisting wycofał się do swojego gabinetu, żeby zrobić to samo, to znaczy uzupełnić bazę danych.

Wyjął czystą kartkę papieru i położył ją przed sobą na biurku. Na środku napisał inicjały Prebena Pramma i otoczył je pętlą. Jakby na orbicie planety Pramma narysował wiele małych kółek i połączył je kreskami z dużym kołem. W kółkach napisał: „tajemnica, dziwka, Frank Omholt, Åsne Berg/Ivar Bakker, bmw”. Nad nazwiskiem Franka Omholta postawił krzyżyk, po czym narysował wiele kółek wokół bmw. Postanowił, że na następnym spotkaniu z dziennikarzami poinformują opinię publiczną o poszukiwanym samochodzie.

Siedział i przyglądał się kółkom i kreskom, sącząc kawę. Czuł, że w jego podświadomości ukrywa się coś, co wkrótce wypłynie na powierzchnię. Coś związanego z notatkami, które miał przed sobą. W głowie mu się kotłowało, ale nie mógł już dłużej wsłuchiwać się w swoją podświadomość, ponieważ do gabinetu wszedł Hammer. Opadł na krzesło. Tym razem był bez kubka po kawie. Wisting postawił filiżankę na środku kartki z zapiskami.

– Kania ruda – powiedział Hammer i wepchnął kawałek snusu pod górną wargę.

– Kto? – nie zrozumiał Wisting.

– Nie kto, tylko co. Kania ruda to ptak, duży ptak. Ma sześćdziesiąt pięć centymetrów od głowy do czubka ogona. Rdzawobrazowe upierzenie, jasna głowa. Rzadki, bywa obserwowany w południowej Norwegii.

– Acha, dzięki za informację.

– *Milvus milvus* to jego łacińska nazwa – ciągnął Hammer.

– A, więc złamałeś kod! Pomógł Internet?

– Yes, ptaki.net. Strona internetowa miłośnika ptaków i baz danych z Rogaland.

– Co z literami i cyframi?

– Istnieje coś takiego jak *Norweski atlas ptaków w okresie lęgowym*. Wszyscy, którzy interesują się ptakami, zgłaszają tam zaobserwowane rzadkie i zagrożone wyginięciem gatunki. Korzystają z siedemnastu różnych kodów, by opisać status lęgu, i przynajmniej dwa razy więcej kodów do opisywania gniazda, miotu, terytorium, płci, upierzenia i tak dalej. Na przykład A1 oznacza, że dany gatunek był obserwowany w sezonie lęgowym bez oznak lęgu, B oznacza potencjalny lęg, C – prawdopodobny lęg, a D, że lęg został potwierdzony. Litery łączy się z cyframi, żeby podać stopień w obrębie kodu literowego. Na przykład C6 oznacza zaloty i toki, C8 – pobudzone zachowanie, a C10 – budowę gniazda.

– Mamy fantastyczną robotę – odparł Wisting i pokręcił głową.

– O co ci chodzi? – spytał Hammer z uśmiechem.

– Tak wiele możemy się nauczyć.

– Yhm. I to tak potrzebnych rzeczy.

Komisarz podniósł filiżankę i zobaczył, że wokół inicjałów PP powstały dwa kolejne okrągłe ślady po kawie.

– A co może oznaczać MH i wszystkie efy?

Hammer potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale nie sędzę, żeby to miało jakiś związek z ptakami.

– Pramm był członkiem Norweskiego Towarzystwa Ornitologicznego. Zgodnie z danymi na karcie siedziba towarzystwa mieści się w Trondheim. Pociągniesz ten wątek i skontaktujesz się z nimi, żeby powiedzieli, co wiedzą o Prammie?

Hammer przytaknął, wstał i ruszył do drzwi. Wisting zawołał za nim:

– Dużo ich było?

– Czego?

– Krzyżyków w twoim zeszycie?

Hammer zarechotał i pokręcił głową.

– Nie tyle co u Pramma – odparł i opuścił gabinet.

Chociaż wszystkie okna po zachodniej stronie małej chińskiej restauracji były szeroko otwarte, w środku było parno. Wisting uznał propozycję Angella, żeby wyskoczyli z komendy na małe co nieco, za świetny pomysł. Żołądek pracował od rana na kawie i czerstwych bułkach, które zostały w policyjnej stołówce z poprzedniego dnia. Kiedy jednak usiedli przy jednym ze stolików, natychmiast tego pożałował. Nie dość, że w lokalu było duszno, to jeszcze wypełniał go dym papierosowy. Dwa szyldy wyznaczające część dla palących i niepalących zdecydowanie nie spełniały wymogów ustawy antynikotynowej.

Myśli Wistinga i jego kolegi z Kripos krążyły wokół nagiego rencisty, odciętych opuszków palców, zapachu zwłok, łacińskich nazw ptaków, narkomanek i czarnego bmw, lecz mimo to starali się skierować rozmowę na zupełnie inne tory. Wisting wspomniał o obawach swojej żony dotyczących gniazda os pod kalenicą i tego, że ich dom kolejny rok nie doczeka się bejcowania, a różana rabata zarośnie trawą i chwastami. Nie wiedział, czy opowiadając o tym, czuje ulgę czy jeszcze większe wyrzuty sumienia. Z kolei Angell rozwodził się nad urokami życia kawalera z odzysku i przedstawiał korzyści płynące z mieszkania na sześćdziesięciu siedmiu metrach kwadratowych na Bryn^[11].

Oczywiście nie dane im było zjeść w spokoju. Wspomnienia z okresu studiów wiele razy przerywał telefon komórkowy Wistinga. Najpierw dzwonili nadgorliwi dziennikarze, potem Audun Vetti, który siedział w domu i chciał wiedzieć, czy mają coś nowego. Wszyscy otrzymali podobną zwięzłą odpowiedź. Gdy rozmawiał z policyjnym adwokatem, komórka zasygnalizowała nadejście esemesa. Wiadomość pochodziła od globtroterki: „Siedzę w kafejce internetowej w Pradze. Widziałam Twoje zdjęcie na www.ostlandsposten.no. Powinieneś trochę schudnąć! Buziaki, Line. PS:

Fajnie było Cię zobaczyć – pozdrów mamę!”.

Ta krótka wiadomość z kawiarenki w Europie Wschodniej sprawiła, że Wisting podziękował za deser, chociaż pieczony banan z lodami waniliowymi i bitą śmietaną wydawał się wyjątkowo kuszący.

Gdy telefon odezwał się po raz czwarty, właśnie zdążyli zapłacić i wyjść z dusznej restauracji. Dzwonił Finn Haber. Tym razem tematem rozmowy, którą im przerwano, była pierwsza żona Angella, Linda, która ponownie wyszła za mąż za pracownika Urzędu do spraw Cudzoziemców.

– Masz dla mnie coś nowego? – spytał Wisting.

– Niedużo, ale uznałem, że i tak dam ci znać. Nie jesteś w pracy?

– Nie. Skończyłem na dzisiaj. Siedzę na Szkockim Nabrzeżu i piję piwo – zażartował komisarz.

– Racja. I tak nie mamy nic do roboty – zaśmiał się Haber do słuchawki. – Dubeltówka, która leżała w domu Pramma, została skradziona z domku letniskowego w Kjose gdzieś między 13 a 18 czerwca.

– Wiemy coś o tej kradzieży? – spytał komisarz, kierując się w stronę komendy.

– Nie. Nasi nawet tam nie byli. Właściciel domku zjawił się na policji wieczorem 18 czerwca po tym, jak odkrył włamanie, i wypełnił uproszczony formularz zgłoszenia. Sprawcy dostali się do środka, wybijając szybę w oknie. Oprócz strzelby ukradli amunicję, przenośne radio i jakieś stare, dość wartościowe ruchomości.

– Jak myślisz, dlaczego zabójca zostawił strzelbę w domu ofiary?

– Nie wiadomo, czy on to zrobił.

– Co masz na myśli?

– Może dubeltówka była w domu Pramma, zanim pojawił się w nim zabójca? Może to Pramm się w nią zaopatrzył? Możliwe, że spodziewał się wizyty swojego przyszłego zabójcy i zwyczajnie się bał.

Wisting nie brał tego wcześniej pod uwagę. Jego wizja możliwego przebiegu zdarzeń w domu ofiary zakładała, że broń przynieśli ze sobą napastnicy. Po raz kolejny dotarło do niego, że myśli utartymi schematami i że brakuje mu nowego, świeżego spojrzenia na sprawę. Bardzo potrzebował tego urlopu, który tak niespodziewanie musiał przełożyć.

– Dokąd nas to prowadzi? – spytał, gdy zasunęły się za nim drzwi budynku komendy.

– Na razie donikąd – odparł Haber. – Przynajmniej na tym etapie śledztwa.

Ale zabiorę ze sobą pędzle do Kjose i zobaczę, czy nie znajdę tam jakichś odcisków. Dzwoniłem już do właściciela domku i poprosiłem, żeby niczego nie dotykał. Od czasu włamania nocował tam tylko raz, więc całkiem możliwe, że znajdę odciski palców włamywaczy.

– To dobrze. Weź ze sobą paru chłopaków. Niech pogadają z mieszkańcami.

– Domek leży na uboczu, ale w porządku. Zawsze warto spróbować.

– Daj mi znać, jak tylko coś znajdziesz! – powiedział Wisting, otwierając drzwi gabinetu.

– Nie jestem pewien, czy ten wątek popchnie sprawę jakoś zdecydowanie do przodu. Po kradzieży strzelba mogła być w rękach wielu osób.

– Jeśli znajdziesz jakieś odciski, to i tak będziemy mieć więcej, niż mamy teraz, bo teraz nie mamy prawie żadnych...

Wisting usiadł w fotelu i przerwał w pół zdania. Przed nim na biurku stał mały plastikowy pojemnik z przykrywką. Wewnątrz unosił się na wodzie opuszek palca.

– Co jest, do cholery?! – zaklął i zerwał się z fotela.

– Jesteś u siebie w gabinecie? – zachichotał Haber.

– To twoja sprawa?

– Pomyślałem, że pokażę ci palec!

– Czy to palec Pramma? – spytał komisarz i uśmiech zachwyty pojawił się na jego zdumionej twarzy.

– Liczę na to.

– Skąd go masz?

– Znalazłem go w muszli klozetowej.

– Chcesz powiedzieć, że zabójca wrzucił jego palce do kibla?

– Na to wygląda.

– Czy jest szansa na znalezienie pozostałych dziewięciu?

– Minimalna. Ścieki trafiają do oczyszczalni w Lillevik. Kontaktowałem się już z urzędem gminy. Będą mieć oczy szeroko otwarte, ale jest bardzo mało prawdopodobne, że znajdą palce. Może jeden albo dwa, ale na pewno nie wszystkie.

– Mogą być na nim jakieś ślady biologiczne?

– Taaa, jeśli Pramm się bronił, pod paznokciem mogą być fragmenty naskórka sprawcy, ale to jest kciuk, więc wątpię. Ale oczywiście wyślę go do analizy.

Obok pojemnika z kciukiem Pramma ktoś położył dwa duże stosy

dokumentów. Do jednego była przyklejona żółta karteczka samoprzylepna, na której dużymi literami napisano „Rozpoznania posesyjne”, a nieco mniejszymi: „Formularze 47 i 53 są interesujące, poza tym żadnych sensacji. Mamy teraz przerwę obiadową, ale po godz. 18:00 zrobimy jeszcze jedną rundę. Miejmy nadzieję, że zastaniemy więcej ludzi w domach. Torunn”.

Pod podpisem Torunn Borg narysowała jak zwykle uśmiechniętą buźkę. Żółte karteczki samoprzylepne były jej znakiem rozpoznawczym. Wistingowi przypomniawszy się zorganizowana wiele lat temu impreza policyjna. Późną nocą odniósł oszałamiający sukces, robiąc sztuczki karciane, których nauczył się w młodości. Domyślił się, że Torunn jako jedyna przejrzała jego triki, ale nigdy się z tym nie zdradziła. To samo było z żółtymi karteczkami. Inni śledczy podzieliliby się ważnymi informacjami, które udało im się zdobyć, na oficjalnej naradzie, żeby zostać poklepanym po ramieniu i docenionym w obecności wszystkich innych, ale nie Borg. Nie była ofiarą Janteloven^[12], ale wiedziała, ile jest warta, i nie potrzebowała takich pochwał. Wisting cenił w niej tę cechę. W policji jest wystarczająco dużo ludzi, którzy robią karierę, bo liżą tyłki swoim przełożonym, pomyślał i starał się zapamiętać, by podziękować Torunn za to, co zrobiła do tej pory.

Poczuł, że policzki mu płoną, gdy zerknął znad wiadomości od Torunn Borg i zobaczył kobietę, która właśnie weszła do gabinetu.

– A co to takiego? – zawołała Ingrid, siadając na krześle dla petentów.

Wisting szukał odpowiedzi, zanim zrozumiał, że chodziło jej o kciuk Prebena Pramma. Cieszył się, że palec ofiary odwrócił uwagę żony od uśmiechniętej buźki, którą Torunn narysowała dla niego.

– Przepraszam – odparł. Odsunął od siebie stos formularzy i położył gazetę na żółtej karteczce. – To jest to, na co wygląda. Palec.

Chwycił pojemnik i włożył go do szuflady biurka, żeby usunąć go z widoku. Jej mina wskazywała, że ma do niego mnóstwo pytań, ale postanowiła ich nie zadawać. Wiedziała, że nie lubił rozmawiać o rzeczach, które miały związek z pracą.

– To jest palec ofiary. Odcięli mu wszystkie dziesięć – dodał, czując, że należy jej się wyjaśnienie.

– Jesteś głodny? – spytała i wykrzywiła twarz w grymasie, jakby chciała powiedzieć, że usłyszała więcej, niżby sobie życzyła.

– Właściwie nie – odparł, nie wspominając o tym, że właśnie wrócił

z restauracji.

– Doskonale cię rozumiem – skomentowała i skinęła głową na szufladę. – Przyniosłam ci trochę jedzenia.

Wisting odebrał od niej stare pudełko na kanapki i podniósł wieko, żeby skontrolować zawartość. Zanim oddano do użytku nowy budynek komendy ze stołówką, koledzy zawsze zazdrościli mu porządnych kanapek, które robiła mu Ingrid. Tym razem też się postarała – leżący na samej górze sandwich zawierał krewetki na posłaniu z majonezu ozdobione koperkiem i plastrem cytryny.

– Co ty robisz z tymi roślinami? – ciągnęła Ingrid. Zignorowała pochwały męża na temat jej umiejętności kulinarnych i podeszła do skrzydłokwiatu, żeby oberwać kilka brązowych liści.

– Nic. I może właśnie w tym problem?

– Następnym razem kupię ci chyba roślinę z plastiku.

Zanim wyszła, dostała od niego buziaka w policzek i obietnicę, że spróbuje wrócić wcześniej do domu. Wisting poczuł wewnętrzną pustkę. Oboje wiedzieli, że nie dotrzyma tej obietnicy.

Przyciągnął do siebie stos formularzy i odszukał ten oznaczony numerem 47, który zdaniem Borg zawierał interesujące informacje. Wypełniono go po rozmowie z Kjetilem Kobro zamieszkałym na Auserødsveien 27. W wieczór świętojański męczył się na rodzinnej imprezie zorganizowanej z okazji jego siedemnastych urodzin, której zasadniczym elementem był grill na werandzie i prezenty od cioć i wujków. Około godziny 23:00 urwał się z imprezy, wsiadł na rower i pojechał do Stavern. Celem był punkt widokowy przy pomniku Tordenskiolda, gdzie zebrali się inni młodzi ludzie. Na skrzyżowaniu Auserødveien z Auserødsvingen zatrzymał się i wyjął siatkę z sześciopakiem piwa, którą ukrył wcześniej w żywopłocie. Gdy znowu wsiadł na rower, przewieszona przez kierownicę siatka z piwem przeważyla, chłopak stracił równowagę i o mały włos by się przewrócił. Nagle z dużą prędkością nadjechało ciemne bmw i siedemnastolatek musiał gwałtownie odskoczyć w bok. W samochodzie siedziały dwie osoby. Na dole Auserødsvingen znowu zobaczył to samo bmw. Stało zaparkowane na ulicy. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn, weszli na teren posesji przez otwór w żywopłocie. Mężczyzna, który szedł z przodu, wyglądał na Skandynawa i miał krótkie włosy koloru ciemny blond. Niósł walizkę albo torbę. Drugi z mężczyzn był wyższy i miał czarne włosy.

Formularz numer 53 dotyczył rozmowy z Fredrikiem Bolinem z Auserødla 43. W wieczór świętojański był na spacerze ze swoim golden retrieverem. Wyprowadzał psa każdego wieczoru po wiadomościach na NRK1. Tego wieczoru ostatni serwis informacyjny skończył się o 22:55. Spacerowali w dół Auserødla i dalej przez teren przylegający do gimnazjum Brunla. Zrobili rundkę przez centrum Stavern, po czym skręcili w Minnehallveien i doszli do Auserødsvingen. Mężczyzna nieraz chodził tą drogą, ale był absolutnie pewien, że właśnie tamtego wieczoru widział czarne bmw 318i zaparkowane przed Auserødsvingen 11.

W wieczór świętojański 1994 roku wnuk Fredrika Bolina jeździł między imprezami, na których bawiła się młodzież. Prowadził samochód marki BMW 318i, który zdobył dzięki temu, że dziadek podżyrował mu pożyczkę. Na drodze krajowej 301 w pobliżu Nalum kilkoro pijanych w sztok nastolatków szło jezdnią, zataczając się. Być może chłopak jechał odrobinę za szybko i był trochę nieuważny, ale udało mu się odbić gwałtownie w bok i nie rozjechać pięciorga nastolatków. Nie uniknął jednak zderzenia czołowego z wielkim chevroletem jadącym w przeciwnym kierunku. Wnuk nie zginął na miejscu, ale zanim śmigłowiec pogotowia lotniczego wylądował w Ullevål, stwierdzono jego zgon. Nastolatka, która siedziała wówczas w fotelu pasażera, od tamtej pory przebywa w domu opieki, egzystując jak warzywo. O tak, Fredrik Bolin miał absolutną pewność, że samochód, który widział tamtego dnia, to było czarne bmw 318i.

Wisting otworzył szufladę biurka i wyjął przypadkowy długopis. Miał czerwony wkład. Trzykrotnie otoczył pętlą słowo „bmw” na poplamionej kawał kartce leżącej na biurku.

Stos formularzy z rozpoznania posesyjnego składał się łącznie z siedemdziesięciu czterech arkuszy. Wisting przejrzał pobieżnie wszystkie, by dojść do tego samego wniosku co Borg. Żaden z pozostałych nie zawierał informacji mogących mieć bezpośrednie znaczenie dla sprawy. Większość sąsiadów ledwo kojarzyła, o kogo chodzi. Ci, którym nazwisko Prebena Pramma coś mówiło, nie wiedzieli nic na temat życia, jakie wiódł, ani ludzi, którymi się otaczał.

Stos kartek piętrzących się obok formularzy stanowiły kopie zgłoszeń od potencjalnych świadków. Nie było tam żadnych żółtych karteczek samoprzylepnych, które ułatwiałyby lekturę. Zgłoszenia były ponumerowane. Wisting zaczął przeglądać je od końca, to znaczy od numeru 83. Oznaczało to,

że od czasu zakończenia konferencji prasowej, czyli od niespełna siedmiu godzin, wpłynęło zaledwie szesnaście nowych zgłoszeń. To nie był imponujący wynik.

Jednak informacja numer 83 przykuła uwagę Wistinga. Pracownik poczty kwiatowej, który miał dostarczyć bukiet na Auserødla 31, nie mógł trafić pod właściwy adres. Zapytał o drogę młodego, na oko dwudziestoletniego mężczyznę. Ten nie był w stanie mu pomóc, ponieważ nie znał okolicy. Posłaniec był pewny, że młody mężczyzna opuścił teren posesji przy Auserødsvingen 11. Rozpoznał dom i żywopłot na zdjęciu w „Østlandsposten”. Do zdarzenia doszło w poniedziałkowy wieczór, 24 czerwca, między godziną osiemnastą a dwudziestą.

Wisting kolejny raz otoczył pętlą inicjały ofiary. W kółku obok „PP” napisał: „zgłoszenie 83”. Gdy doszedł do zgłoszenia numer 81, postawił krzyżyk nad ostatnią pętlą. To zgłoszenie pochodziło od Ronny’ego Andresena, który w poniedziałek 24 czerwca po południu krążył po okolicy, próbując sprzedać *Store Norske Leksikon*. Około godziny osiemnastej zadzwonił do drzwi domu przy Auserødsvingen 11, ale nikt mu nie otworzył. Zrozumiał, dlaczego, gdy zobaczył zdjęcie w gazecie przedstawiające Wistinga przed posesją Prebena Prammasa.

Nad zgłoszeniem 77 komisarz musiał się dłużej zastanowić. We wtorek 25 czerwca Torill Lyseggen poszła pobiegać. Kobieta odłożyła jogging na późny wieczór, ponieważ niższa temperatura pozwalała na większy wysiłek fizyczny. Lyseggen mieszkała przy kościele Tanum. Wybiegła z domu o godzinie 22:00, gdy jej mąż usiadł przed telewizorem, by obejrzeć bezpośrednią relację z zawodów lekkoatletycznych. Trasa wiodła przez Auserød, obok nabrzeży w Stavern i przez Solstad do domu, a jej pokonanie zajęło kobiecie niecałą godzinę. Około 22:10 biegła Auserødsvingen. Na werandzie domu numer 11 stało dwóch mężczyzn, którzy sprawiali wrażenie, jakby się kłócili. Jeden był niskim blondynem, natomiast drugi był brunetem i wyglądał na cudzoziemca.

Wisting umieścił „zgłoszenie 77” na swojej kartce. Już miał otoczyć je pętlą, ale odłożył ołówek i zmienił narzędzie do pisania. Również to zgłoszenie otrzymało czerwoną obwódkę.

Wyciągnął rękę po dzbanek z kawą, odkrył jednak, że naczynie jest puste. Posiłek zjedzony w chińskiej restauracji w połączeniu z tabletkami

przeciwbólowymi uśmierzył na jakiś czas ból głowy, ale komisarz poczuł, że ból powraca. Wyjął z szuflady biurka dwie tabletki paracetamolu i połknął je bez popijania. Spojrzał na zegarek. Było za pięć ósma. Z czystym sumieniem mógł zakończyć dzień pracy, który rozpoczął ponad dwanaście godzin temu. To był długi dzień, pełen wrażeń. W głowie huczało mu od nadmiaru informacji. Ostatnie zgłoszenie dotyczące dwóch mężczyzn kłócących się na werandzie u Pramma dwa dni po przyjętej przez nich dacie śmierci rencisty nie dawało mu spokoju. Ale było tam coś jeszcze. Coś niezgodnego z prawdą. Czuł, że wśród tych wszystkich szczegółowych informacji jest coś, co się nie zgadza. Jakaś sprzeczność, której nie był w stanie uchwycić.

[11] Dzielnica Oslo.

[12] Prawo Jante – pojęcie stworzone przez norweskiego pisarza duńskiego pochodzenia Aksela Sandemose, który w książce *En flyktning krysser sitt spor* (Uciekinier przecina swój ślad) opisuje fikcyjne duńskie miasteczko Jante. Jego mieszkańców obowiązuje 11 „przykazań”, które można sprowadzić do jednej głównej zasady: „Nikt nie jest wyjątkowy. Nie próbuj się wyróżniać ani udawać, że jesteś pod jakimkolwiek względem lepszy od innych”.

12

Telefon komórkowy wibrował na blacie biurka, a dźwięk dzwonka brzęczał nieprzyjemnie w uszach. Wisting spojrział na wyświetlacz i poczuł rozdrażnienie. Najwyraźniej ktoś przez pomyłkę wybrał jego numer, odrywając go niepotrzebnie od pracy. Numer zaczynał się od cyfr 78, więc domyślił się, że dzwoniący musi znajdować się daleko na północy kraju. Dopiero gdy jakaś kobieta przedstawiła się w dźwięcznym dialekcie mieszkańców gminy Hammerfest, zrozumiał, że cały dzień czekał na ten telefon.

– Halo, z tej strony Greta Lutnes – zabrzmiał głos w słuchawce, gdy komisarz przedstawił się imieniem i nazwiskiem.

– Dobry wieczór, pani Lutnes – odparł Wisting i odchrząknął dwa razy, gdy upewnił się, że rozmawia z przebywającą na urlopie sąsiadką Prebena Pramma. – Bardzo się cieszę, że pani oddzwoniła.

– Co tam się stało? To naprawdę okropne! Biedny stary człowiek! Bóg jeden wie, czy odważę się wrócić do domu. Ale chyba go już złapaliście?

– Obawiam się, że nie. Liczymy na pomoc i informacje od ewentualnych świadków.

– Nie wiecie, gdzie teraz jest?

– O kim pani mówi? – spytał, pocierając podbródek.

– O Franku Omholcie spod dziewiątki.

– Co z nim? – zainteresował się Wisting i poczuł ucisk w przeponie, gdy dotarło do niego, że ta kobieta znajdująca się na drugim końcu Norwegii może mieć coś ważnego do powiedzenia.

– Czy to nie on jest sprawcą?

Przełknął ślinę. Uwielbiał takie niespodziewane zwroty akcji, gdy osoby, od których nie spodziewał się uzyskać informacji pomocnych w pchnięciu

śledztwa do przodu, zaskakiwały go sensacyjnymi wieściami.

– Czy coś wskazuje na to, że mógłby nim być? – spytał ostrożnie.

– Bałam się, że go zabije już wtedy, gdy rzucił się na niego na ulicy. Biedny stary człowiek! Muchy by nie skrzywdził. A ten cały Frank Omholt ma strasznie wybuchowy temperament. Gdyby pan słyszał, jak się wydziera na swoją żonę i te biedne dzieciaki! Wstyd. Wstyd i hańba.

– Obawiam się, że nie całkiem panią rozumiem – powiedział, przechylając się do przodu. – To są dla mnie nowe informacje. Twierdzi pani, że doszło do nieporozumienia między Prebenem Prammem a Frankiem Omholtem?

– Jak to: nic pan o tym nie wie? Co z was za policja? Nie, nie, połączenie komend w Vestfold to nie był dobry pomysł. Przecież dzwoniłam do was w tej sprawie! Cztery, może pięć tygodni temu.

Wisting odszukał dziennik operacyjny z 25 maja. Karteczka od Torunn Borg z małą uśmiechniętą buźką wciąż żółciła się na środku dokumentu. Prowadząc dalej rozmowę, napisał na marginesie „wścibska stara plotkara” i wziął te słowa w ramkę.

– Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać. Mam przed sobą notatkę służbową, z której wynika, że zadzwoniła pani na policję o godzinie 22:43, żeby powiadomić o nieprzytomnej osobie leżącej na ulicy. Nigdzie jednak nie pada nazwisko Franka Omholta.

– Właściwie to chciałam zadzwonić po karetkę, ale pomyliłam się i zamiast pod 113 zadzwoniłam pod 112^[13]. Nie chciałam się do niczego mieszać. Ale chyba rozmawialiście z Prammem?

– Owszem, ale problem polega na tym, że on to zbagatelizował i nie chciał złożyć zawiadomienia. Nie podał również żadnych nazwisk.

– Jak to: zbagatelizował? Ten atak szału, jakiego dostał Frank Omholt, to nie była błaħostka. To była furia, jak pragnę zdrowia!

– Może mi pani opowiedzieć, co się dokładnie wydarzyło tamtego wieczoru?
– poprosił i narysował uśmiechniętą buźkę obok związanej charakterystyki Grety Lutnes, którą zamieścił na marginesie. Doszedł do wniosku, że to była miła starsza plotkarka.

– Oczywiście. W telewizji leciał właśnie Konkurs Piosenki Eurowizji. Georg i ja nie śledziliśmy go zbyt uważnie, bo przecież Norwegia nie brała w nim udziału, ale telewizor był włączony. Właśnie rozpoczęło się głosowanie i Georg wyszedł, żeby zapalić. Ja rzuciłam palenie siedem lat temu i od tego czasu

trzymam się dzielnie. I od siedmiu lat nie pozwalam Georgowi palić w domu, musi wychodzić na werandę. Ale tamtego wieczoru wrócił niemal natychmiast i poprosił, żebym wyszła z nim na taras. Tam się coś dzieje, powiedział. Odłożyłam robótkę i wyszłam na werandę. A tam okropny jazgot. Coś potwornego! Wrzaski i przekleństwa. A to wszystko sprawka Franka Omholta. Pochodzę z północy kraju, co z pewnością słyshać, i przywykłam do różnego słownictwa, ale takich wulgaryzmów nigdy jeszcze nie słyshałam!

Greta Lutnes gadała jak najęta, ale wiedziała, kiedy zrobić sztuczną pauzę dla zwiększenia napięcia. Wisting domyślił się, że ta przerwa miała służyć temu, by komisarz miał okazję skomentować jej słowa lub zadać pytanie.

– Słyshała pani, co dokładnie mówił?

– To były głównie przekleństwa i że Pramm ma wynosić się z ogrodu, i że Omholt nie życzy sobie więcej go tam widzieć.

– Czy to znaczy, że Pramm znajdował się na terenie posesji Omholtów?

– Tak. Nagle przedostał się przez żywopłot i wyszedł na ulicę. Biegł chodnikiem po tej stronie, a Omholt za nim. Oczywiście dogonił go i kopnął od tyłu, tak że Pramm upadł na ulicę. Staruszek podniósł się, ale znowu został zaatakowany. I potem się już nie ruszał. Wyobraża pan sobie zrobić coś takiego staremu człowiekowi?

– Co się działo potem?

– Nina Omholt podeszła do żywopłotu i zaczęła wołać męża. Machała na niego, żeby wracał do domu. Wyglądało to tak, jakby Frank był w jakimś transie i dopiero głos żony go otrzeźwił, bo wtedy rozejrzał się dookoła, na pewno, żeby sprawdzić, czy ktoś go obserwuje, i pobiegł do domu. Nas nie zauważył.

– Czy ktoś jeszcze to widział?

– Nie, wydaje mi się, że nie.

– I Pramm leżał na ziemi do przyjazdu karetki?

– Tak. Mój mąż wybiegł na ulicę i zawołał do mnie, że Pramm jest nieprzytomny i że mam dzwonić na pogotowie. To właśnie wtedy zadzwoniłam pod 112 i połączyło mnie z policją. Zabrałam z domu koc i kilka mokrych ścierek. Wtedy on się ocknął, ale karetka i tak zawiozła go do szpitala. Doznał silnego wstrząśnienia mózgu. Naprawdę silnego, skoro stracił pamięć. To dlatego Pramm nie wniósł sprawy przeciwko Frankowi. Że też wcześniej na to nie wpadłam!

– Domyśla się pani, jaki mógł być powód tego zajścia?

– Nic innego, jak tylko to, że Pramm znalazł się na działce sąsiada. Moim zdaniem reakcja Omholta była przesadna i absolutnie naganna!

– Pamięta pani, jakich słów użył Omholt w stosunku do Pramma?

– Jak już mówiłam, to były głównie przekleństwa. Wyzywał go od najgorszych.

– Może pani przytoczyć te słowa?

– Nie zacytuję ich dokładnie, a poza tym nie wiem, czy takie słowa przejdą mi przez usta.

– To bardzo ważne, pani Lutnes. Może jednak pani spróbuje?

– Greta. Proszę mówić mi po imieniu.

– Spróbujesz, Greto?

Wisting bębnił niecierpliwie ołówkiem w notes, a Greta Lutnes zrobiła kolejną sztuczną pauzę, zanim przestawiła się na dialekt Østlandet i zaczęła przeklinać. Efekt był niemal komiczny.

– Wypierdalaj, kurwa mać, z mojego ogrodu, ty pojebany zboku! Już ja cię pogonię, ty chuju pierdolony! Jak jeszcze raz cię tutaj zobaczę, to urwę ci ten pojebany łeb i wepchnę do dupy tak głęboko, że mnie popamiętasz!

– To było mocne. Przepraszam, pani Lutnes.

– Greta. W porządku. Jak mówiłam, pochodzę z północy i słyszałam już to i owo. Tam często używają takiego słownictwa.

– Jak to pani odebrała?

– Jak to odebrałam? Zrozumiałam, że Frank jest wściekły na biednego Pramma właściwie o nic, o drobiazg. Pomyślałam, że na pewno jest pijany. On dużo pije. Zresztą ona też. Często dochodzi u nich do awantur, ale zwykle obrywa się jego żonie. Tym razem wyżył się na Prammie.

– To, co powiedział o urwaniu głowy, można potraktować jako groźbę karalną – skomentował Wisting.

– Ależ oczywiście! – Znowu nastąpiła cisza, po czym Greta Lutnes zawołała: – Jezus Maria! Czy właśnie tak zginął?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy, ale czy Frank Omholt mówił coś jeszcze, co podchodziłoby pod groźby karalne?

– Nie groził mu wprost, ale wydaje mi się, że wiele razy użył słowa „zabiję”.

Komisarz spojrział na zegar wiszący nad drzwiami gabinetu. Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Miał ogromną ochotę, by zakończyć rozmowę i prześledzić nowy trop.

– Kiedy wracacie do Stavern? – spytał na zakończenie.

– Wyjechaliśmy tego samego dnia, w którym doszło do napadu na konwój, więc jesteśmy tu już od dobrych trzech tygodni. Najwyższy czas pomyśleć o powrocie do domu. To zależy trochę od pogody. Zobaczymy. Słyszałam, że w tym roku lato w Stavern jest piękne.

– Tak, jest ciepło i słonecznie.

– Myślę, że ruszymy na południe jakoś tak w przyszłym tygodniu. W upale niezbyt przyjemnie podróżuje się samochodem.

– Potrzebujemy oficjalnych wyjaśnień dotyczących tego epizodu z Omholtem i Prammem. Jeśli wrócicie w przyszłym tygodniu, to bardzo dobrze. Jeśli nie, będziemy musieli poprosić policję w Hammerfest o spisanie waszych zeznań.

Wisting zakończył rozmowę, jak tylko Greta Lutnes obiecała, że skontaktuje się z nim natychmiast po powrocie do Stavern.

Siedział i przyglądał się swoim notatkom z kółkami i kreskami wokół inicjałów Prebena Pramma. W jednym z kółek znajdowało się nazwisko Franka Omholta. Gdy śledczy Mortensen poinformował go, że udało mu się wyjaśnić pochodzenie zadrapań na twarzy Omholta, komisarz przekreślił kółko. Teraz narysował nowe, tym razem czerwonym długopisem, i na nowo umieścił w nim nazwisko sąsiada Prebena Pramma.

Jednak w rozmowie z Gretą Lutnes coś jeszcze wzbudziło jego zainteresowanie. A właściwie nie coś, tylko brak czegoś. Założył ręce za głowę i spojrzał pustym wzrokiem przez okno, odtwarzając w myślach przebieg rozmowy. Na krańcu stałego lądu dostrzegł kontury Minnehallen^[14] skąpanej w wieczornym słońcu. Ta wielka kamienna piramida została wzniesiona po zakończeniu pierwszej wojny światowej w hołdzie poległym norweskim marynarzom. Wisting wiedział, że na miedzianych tablicach znajdujących się wewnątrz budowli wyryto ponad siedem i pół tysiąca nazwisk. Wśród nich nazwisko jego dziadka.

Tak, lato w Stavern było piękne. Chociaż większość czasu przesiedział za biurkiem, cieszył się, że nie spędza urlopu na północy, gdzie wieje wiatr i pada deszcz.

Nagle uderzył obiema dłońmi o blat. Tak jest! W końcu zrozumiał, co mu się nie zgadzało. Państwo Lutnesowie przebywali na północy kraju od trzech tygodni, a mimo to ich ogród przy Auserødsvingen 10 był wypielęgowany. Rośliny kwitły bujnie, a trawnik był świeżo skoszony.

Odszukał ostatnie odebrane połączenie i oddzwonił do Greta Lutnes.

– Lorentzen – odezwał się kobiecy głos po drugiej stronie linii.

– Zastałem panią Gretę Lutnes?

– A kto dzwoni?

– Wisting z policji w Larviku.

– Tak, Greta jest tutaj. To moja siostra. Chwileczkę.

Po kilku sekundach Greta Lutnes była z powrotem przy telefonie. Wisting najwyraźniej przerwał jej posiłek, ponieważ przeżuwała coś i mlaskała głośno.

– Mam do pani jeszcze kilka pytań.

– Proszę mówić do mnie po imieniu – mlasnęła ze smakiem. – Pani Lutnes brzmi tak oficjalnie, że zupełnie do mnie nie pasuje. Nad czym się pan jeszcze zastanawia?

– Kto dogląda teraz domu i dba o wasz ogród?

– Jørgen, nasz siostrzeniec. Bardzo zdolny chłopak. Chodził przez rok do szkoły ogrodniczej w Gjennestad, ale musiał przerwać naukę. – W wyjaśnieniach Greta Lutnes nastąpiła przerwa. Wisting słyszał, że kobieta przełyka kolację. – Dużo chorował, biedaczysko, i opuścił wiele godzin zajęć, ale na roślinach zna się jak mało kto. Od tego czasu pracował w różnych ogrodnictwach i dostał więcej pochwał niż ci, którzy skończyli szkołę.

Wisting zrobił krótką przerwę, żeby jego rozmówczyni zrozumiała, dlaczego ją o to pyta.

– Ale Jørgen nie ma z tym nic wspólnego! Chyba pan to rozumie?

– Jak brzmi jego nazwisko?

– Jørgen Kvist. To jest syn siostry Georga. Trochę się w życiu pogubił, ale to dobry chłopak i wszystko już odpokutował. Traktujemy go niemal jak własnego syna. Bo my z Georgiem nie mamy dzieci.

Wisting szukał w myślach jakichś skojarzeń z Jørgenem Kvistem. Nazwisko wydawało mu się znajome, ale nie mógł powiązać go z niczym konkretnym.

– Co to znaczy, że wszystko odpokutował?

– W młodości Jørgen wpadł w złe towarzystwo. Był na tyle głupi, że zgodził się przechować haszysz należący do jego kolegi. Właśnie na tym polega największy problem Jørgena. Jest zbyt miły. Wszystkim chętnie pomaga i nie potrafi nikomu odmówić. No więc ten haszysz zniknął, a kolega zażądał zwrotu pieniędzy. Nasłał na niego takich oprychów, którzy zaczęli mu grozić. Jørgen bardzo często u nas bywa, ale pewnego dnia z szuflady Georga

zniknęło tysiąc koron. Nie wierzyliśmy, że Jørgen mógłby nas okraść, ale następnym razem Georg złapał go na gorącym uczynku. Ale chłopak wszystko już odrobił.

– W jaki sposób?

– Między innymi kosząc nam trawnik, odbierając pocztę i podlewając kwiaty.

– To znaczy, że ma klucz i dostęp do waszego domu?

– Tak, ma klucz. Raz w tygodniu podlewa nam kwiaty i wyjmuje pocztę ze skrzynki. Ale poza tym nie ma prawa przebywać w naszym domu pod naszą nieobecność. Wyraźnie mu tego zabroniliśmy. Tylko podlewanie i poczta.

– Więc nie spędza u was nocy?

– Nie. Nie wyobrażam sobie, żeby miał podlewać kwiaty nocą! Jørgena obowiązują surowe zasady. Wie, że uwzględniliśmy go w testamencie i że zmienimy zapis, jeśli znowu nas zawiedzie.

Wisting zakończył drugą rozmowę z Gretą Lutnes, rysując kolejne kółko na kartce z notatkami. W kółku zapisał nazwisko siostrzeńca jej męża i uśmiechnął się chytrze. Przypomniawszy sobie, skąd zna Jørgena Kvista. Na samym początku pracy w policji przyłapał go na gorącym uczynku. Chłopak siedział w starym baraku, jadł kradzione słodycze i oglądał czasopisma pornograficzne razem z Jonathanem Ravnem. Komisarz bębnił długopisem w biurko, zdumiony faktem, że znowu wypłynęło nazwisko Ravna.

Wstał i udał się do gabinetu Mortensena.

– Cześć, Williamie! Właśnie się do ciebie wybierałem. Rozmawiałem z taksówkarzem, który odwiózł Ninę Omholt do domu.

Młody policjant wciąż był po imieniu ze swoim przełożonym. Wisting zrozumiał, że nigdy się z tym nie oswoi, i pomyślał, że być może to tchórzostwo z jego strony, że nie konfrontuje swoich kolegów z tym, czego u nich nie lubi. W rzeczowych dyskusjach nie miał problemu z wyrażaniem swojego zdania czy zgłaszaniem sprzeciwu, ale w sprawach osobistych milczał. „Dyplomata” – tak nazwał go komendant, uzasadniając jego awans na stanowisko szefa wydziału dochodzeniowego. Tak, można było tak to ująć, chociaż zdaniem Wistinga dyplomata to było po prostu ładniejsze określenie tchórze. Zastanawiał się, co sądzą o nim koledzy. Czy zauważyli jego słabość i myśleli swoje. Liczył się z tym. Na pewno zdarzało się to częściej niż w drugą stronę. Jako szef wydziału musiał akceptować to, że budził kontrowersje: zarówno on sam, jak i sposób, w jaki prowadził śledztwo. Ale aż

tak bardzo mu to nie przeszkadzało.

Odchrząknął, zwlekając z odpowiedzią, żeby móc dokładnie przeanalizować swoją myśl.

– Ten taksówkarz z Kjerringvik... Widział coś szczególnego?

– Trochę trwało, zanim nakłoniłem go do zwierzeń. Nie był zainteresowany rozmową z policją. W tamten weekend jego taksówkę ostrzelano z broni pneumatycznej, ale policja nie za bardzo mu pomogła, więc on też nie miał zbytnej ochoty pomagać nam.

– Ale jakoś go przekonałeś?

– Jasne. Pamiętał dobrze tamten kurs. Nina Omholt wsiadła do taksówki w lekkiej hysterii, ale potem się uspokoiła. Według wskazań taksometru odebrał ją z Oddaneveien o godzinie 23:47, a na Auserødsvingen dotarli sześć minut po północy. Kurs kosztował ją trzysta dwadzieścia siedem koron.

– W takim razie ustaliliśmy dokładny czas obserwacji bmw. Czy taksówkarz widział coś jeszcze?

– Nie. Miał mnóstwo kursów w wiele różnych miejsc i nie przypominał sobie, żeby na Auserødsvingen coś przykuło jego uwagę. Pamiętał natomiast, że Nina Omholt wyrażała się negatywnie o swoim mężu. Z tego, co mówiła, zrozumiał, że opuściła przyjęcie po kłótni z nim. W ten sposób taksówkarz potwierdza wyjaśnienia złożone przez Gerhardta i Marinę Schultzów z Oddaneveien.

– To dobrze – powiedział Wisting. – Dobrze, że jakieś fakty w końcu zaczynają się ze sobą łączyć.

– Mam się jutro zająć Frankiem Omholtem?

– Nie. Sam z nim porozmawiam – odparł komisarz i opowiedział koledze o rozmowie z Gretą Lutnes. – Ale zrób to tak, żeby on i jego żona zjawili się u nas jednocześnie i nie mieli czasu na uzgodnienie wspólnej wersji. Frank Omholt nie został wykluczony z kręgu podejrzanych. Wręcz przeciwnie: coraz więcej przemawia na jego niekorzyść.

[13] W Norwegii numer alarmowy do Centrali Operacyjnej Policji to 112, a do Centrum Powiadamiania Ratunkowego – 113.

[14] Minnehallen (Sala Pamięci) znajduje się w gminie Larvik, w okręgu Vestfold. Została otwarta 1 sierpnia 1926 roku przez króla Haakona VII. Obecnie upamiętnia norweskich marynarzy poległych w obu wojnach

światowych.

Gdy William Wisting zgasił światło i zamknął za sobą drzwi gabinetu, minęła dwudziesta druga. Choć ból głowy ustąpił, komisarz czuł się zmęczony. „Błąd przepełnienia bufora” – taki komunikat pojawiał się często na monitorze jego służbowego komputera, który gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych zastąpił maszynę do pisania. Teraz on czuł się podobnie. Głowa pękała mu od nadmiaru informacji, a mimo to miał niejasne przeczucie, że coś przeoczył. Coś ważnego. Coś kluczowego dla sprawy.

Z gabinetu Torbjørna Angella sączyło się światło. Idąc korytarzem, komisarz zapukał do drzwi Torunn Borg i otworzył je, nie czekając na odpowiedź. Pokój był pusty, a na biurku leżały stosy dokumentów w kolorowych okładkach. Wisting wszedł do środka, żeby zgasić lampkę do czytania, którą Torunn zostawiła włączoną. To do niej niepodobne, pomyślał i zobaczył nagle, że snop światła pada na aktualne wydanie lokalnej gazety. Torunn rozprawiła się z jego zdjęciem na pierwszej stronie. Długopisem dorysowała mu muszkę, cylinder i kwiatek w butonierce.

Przez krótką chwilę przyglądał się zdjęciu, po czym wyłączył lampkę. Tych kilka prostych pociągnięć długopisem zaniepokoiło go. Gdyby Torunn dorysowała mu okulary w rogowych oprawkach i wąsy à la Hitler, wywołałaby uśmiech na jego twarzy, a tak nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Zaczął się jednak domyślać, co oznaczają uśmiechnięte buźki na żółtych karteczkach samoprzylepnych od Torunn, ale nie był pewny, czy mu się to podoba. Pograżony w myślach zamknął za sobą drzwi i udał się do gabinetu Angella.

- Kończysz na dzisiaj?
- Tak. Właśnie się wylogowałem – odparł tamten i zamknął laptopa.
- Będziesz jutro o dziewiątej na odprawie?

– Dziewiąta rano w niedzielę? Tak, powinienem się wyrobić. Zamierzałem wyskoczyć na piwo albo na dwa, zanim wrócę do hotelu. Może wybierzesz się ze mną? Dokończymy naszą rozmowę o dupie Maryni, którą zaczęliśmy podczas obiadu.

– Czy ktoś coś mówił o piwie? – rozległ się głos, któremu towarzyszyło splukiwanie wody w toalecie w głębi korytarza. Chwilę później Nils Hammer stanął w drzwiach gabinetu, zapinając rozporek. – Ja jestem za!

Wisting namyślił się szybko. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu się odprężyć.

– Ja też, ale tylko na jedno jasne. Muszę się postarać być w łóżku przed północą – powiedział i poczuł wyrzuty sumienia na myśl o Ingrid, która czekała na niego w domu.

– A więc mamy kierowcę – skwitował Hammer. – Dokąd jedziemy?

– Może skoczmy do „Wassilioffa”? Będę miał blisko do łóżka – zaproponował Angell.

Ulice w Stavern tętniły życiem. Spragnieni piwa turyści, którzy spędzali leniwie całe dni na plaży, wieczorem ściągali tłumnie do miasteczka, żeby zakosztować nocnego życia. Wisting czuł, że idą pod prąd, gdy przeciskali się w stronę hotelu „Wassilioff”. Właśnie skończyło się ostatnie przedstawienie letniego kabaretu. Coroczna rewia Simona Andersena zawsze okazywała się dużym sukcesem. Wisting pamiętał drobnego piegowatego chłopca z rudymi włosami, biegającego po ulicach na czele grupki chłopców. Teraz ten chłopiec był uznanym aktorem, z którego wszyscy mieszkańcy Stavern byli dumni i którego wymieniali jednym tchem obok Hermana Wildenveya^[15] i Jonasa Lie^[16]. Wisting podziwiał takich ludzi jak Simon, którzy mimo przeciwności losu stawiali sobie ambitne cele i wytrwale do nich dążyli. Obiecał sobie, że jeśli sprawa, którą prowadził, zostanie wyjaśniona przed końcem wakacji, zabierze Ingrid na jedno z przedstawień.

Zostawił marynarkę w samochodzie i czuł, że nie jest odpowiednio ubrany, by wejść do restauracji, ale najwyraźniej w „Wassilioffie” nie przywiązywano zbyt dużej wagi do stroju. Wielu gości było ubranych w krótkie spodenki, swetry z krótkimi rękawami i sandały. Mimo to w swojej przepoconej koszuli Wisting czuł się bardziej na miejscu w pubie w piwnicy niż w barze hotelowym na parterze.

Oczywiście nie dane im było posiedzieć w spokoju. Zdjęcie Williama

Wistinga zdobiło pierwszą stronę lokalnej gazety, która informowała o zbrodni dokonanej niecałe dwa kilometry od pubu. Zabójca wciąż przebywał na wolności. Zarówno miejscowa społeczność, jak i turyści byli wstrząśnięci i oburzeni. Wszyscy o tym rozmawiali i plotkowali. Nagłówki w „Dagbladet” mówiące o tym, że Pramm był nagi, i sugestie dotyczące wykorzystania seksualnego rzeczywiście dolały oliwy do ognia. Spekulowano, że chodzi o morderstwo na tle rabunkowym, zabójstwo honorowe lub gejowskie porachunki.

Wisting czuł się trochę nieswojo, siedząc w pubie jako szef ekipy śledczej w drugim dniu dochodzenia. Z drugiej strony nie mógł przestać myśleć, że to właśnie tutaj często bywał Preben Pramm i być może siadywał na tej samej co on ławie. Postanowił napić się piwa i wrócić do domu, żeby złapać chociaż kilka godzin snu. Czuł, że zarówno jego ciało, jak i głowa tego potrzebują. Zanim zdążył złożyć zamówienie, na krzesło obok niego opadł ciężko jakiś mężczyzna. Miał siwe włosy i brodę i pachniał mieszaniną piwa, potu i słonej wody. Był duży i silny, ale najbardziej rzucała się w oczy jego nadwaga. Nosił poplamione džinsy i czarny T-shirt, który przeżył więcej ciepłych i parnych letnich dni niż koszula Wistinga. Jego ramiona zdobiły najróżniejsze zielone tatuaże, głównie kotwice i serca, które zmieniły kształt wraz z przybieraniem na wadze ich właściciela. Komisarz domyślił się, że mężczyzna był marynarzem w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a tatuaże stanowiły pamiątki z europejskich portów.

Wisting spojrział na zegarek. Było pięć po jedenastej. Chciał wrócić do domu i się położyć. Rozmowa z podpitym facetem o starych mandatach i innych przykrych doświadczeniach z policją była ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął. Tę część roli policjanta lubił najmniej. W Stavern wszyscy wiedzieli, kim jest i czym się zajmuje. Za każdym razem, gdy uczestniczył w jakiejś imprezie, podchodzili do niego ludzie i skarżyli się, że na ich ulicy kierowcy znacznie przekraczali prędkość, albo narzekali na wzrost przestępczości.

– Znałem go – odezwał się marynarz i wypił łyk piwa z półlitrowego kufła, który przyniósł ze sobą.

– Kogo? – spytał Wisting.

– Prebena Pramma – odparł tamten.

– Aha – przytaknął komisarz. Serce zabiło mu szybciej. Może jednak rozmowa okaże się ciekawa?, pomyślał. – Kim pan jest?

– Lars Thommessen – odpowiedział nieznajomy i wyciągnął dłoń jak

niedźwiedź łapę.

– William Wisting – zrewanżował się komisarz i przedstawił pozostałych członków ekipy śledczej: Thorbjørna Angella i Nilsa Hammera.

– W takim razie wam też się przyda odpoczynek przy piwie – skwitował Thommessen.

– Prawda. Miło się tu siedzi. „Wassilioff” to niezły hotel – zagadnął Angell.

– Wiesz, kim był Wassilioff? – spytał marynarz i wbił wzrok w Angella. Wisting ucieszył się, że to nie jemu zadano to pytanie. Czuł, że jako rodowity mieszkaniec Stavern powinien znać odpowiedź.

Angell potrząsnął głową.

– Tym, który zbudował ten hotel? – próbował odgadnąć Hammer.

– Zgadza się – odparł Thommessen. – Michaił Wassilioff. W 1840 roku zdezerterował z armii cara Mikołaja i uciekł z Rygi do Stavern na pokładzie statku kapitana Wurschmidta. I właśnie tutaj znalazł miłość swojego życia. W 1844 zbudował hotel, który spłonął w pożarze miasta w 1883. On sam przyplacił to życiem^[17], ale jego dzieci odbudowały hotel i prowadziły go dalej. Ten pub nosi imię jego córki, Tatjany Wassilioff.

– Skąd pan znał Prebena Pramma? – spytał Wisting, chcąc skierować rozmowę na właściwe tory i uczynić ją możliwie krótką.

– Spotkałem go w „Tatjanie”. Ucieliśmy sobie pogawędkę przy piwie. To było kilka lat temu. Zwykle siadaliśmy przy jednym ze stolików na zewnątrz, jeśli było miejsce, a jeśli nie, to przy tym stole.

– Dobrze go pan znał?

– Myślę, że całkiem nieźle, chociaż niewiele nas łączyło. Nie pochodził ze Stavern i był raczej szczurem lądowym, więc czasem rozmawialiśmy trochę obok siebie. Ja o lokalnej historii, a on o ptakach i tańcu. Ale najczęściej o zwyczajnych rzeczach. O pogodzie i o tym, co piszą w gazetach. Znałem go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, co go zabiło.

Na moment zapadła cisza, którą przerwał Wisting.

– Co pan ma na myśli?

Zaskoczenie i zapal w jego głosie były równie źle ukryte, jak pełne oczekiwania spojrzenie, które posłał staremu marynarzowi.

– Nie rozmawiał ze zbyt wieloma osobami. Z większością znał się jedynie z widzenia, kłaniali się sobie i tyle, ale chyba tylko ze mną rozmawiał tak szczerze i dzielił się swoimi najskrytszymi myślami i tajemnicami. Właściwie

byliśmy do siebie podobni, chociaż nie mieliśmy wspólnych zainteresowań.

– To znaczy?

– Żaden z nas nie miał żony ani dzieci. To znaczy Preben miał syna, ale syn nie miał ojca. Często to powtarzał.

– Co chciał przez to powiedzieć?

– Że syn odtrącił dłoń, którą podał mu ojciec. Tak to rozumiałem. Chodzi mi o to, że żaden z nas nie miał z kim porozmawiać o sprawach, które nas interesowały. Nikogo, z kim moglibyśmy podzielić się troskami i przemyśleniami. Czasem bywa ciężko. I chociaż nie zawsze słuchałem uważnie, co ma mi do powiedzenia, i nie zawsze on słuchał z uwagą moich wynurzeń, to siedzieliśmy razem i kiwaliśmy głowami, czując, że trochę się wygadaliśmy. Że trochę nam się lżej zrobiło na sercu i w głowie.

– Jakimi przemyśleniami dzielił się z panem Preben Pramm?

– PPP – odparł Thommessen.

– PPP?

– Przekręty, panienki i pic na wodę! To go zabiło. Mówiłem już, że byliśmy do siebie podobni, chociaż nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Naszym wspólnym zmartwieniem były kobiety, bo z kobietami jest tak jak w piosence Vidara Sandbecka. Są zmartwieniem i dla biedaka, i dla bogacza.

– Jak to?

– Z kobietami jest zawsze problem, czy się je ma, czy nie. My ich nie mieliśmy, chociaż ich potrzebowaliśmy. Miałby kto posprzątać w domu i ogrzać nas w zimny jesienny wieczór. Pramm załatwił sobie i jedno, i drugie, ale to były przekręty, panienki i pic na wodę. Dlatego nie słuchałem go zbyt uważnie, gdy o tym opowiadał. Ja nie jestem taki. Lubię, kiedy wszystko ma ręce i nogi. Porządne podstawy i zasady.

– Chce pan powiedzieć, że do śmierci Pramma przyczyniły się kobiety? – spytał Hammer, myśląc o jasnowłosej dziewczynie, która regularnie odwiedzała rencistę.

– Tak – odparł Thommessen. Zrozumiał, że wzbudził zainteresowanie policjantów, i szybko zmienił temat rozmowy, żeby jak najdłużej mieć towarzystwo.

– Hotel spłonął drugi raz we wrześniu 1921 roku. Mój ojciec pracował wówczas w stoczni marynarki wojennej i należał do ochotniczej straży pożarnej. Często opowiadał o tym pożarze. To była prawdziwa rozpierducha, tak zwykł o tym mówić. Cała dzielnica poszła z dymem. Trzynaście rodzin

zostało bez dachu nad głową.

Śledczy kiwali głowami, udając spore zainteresowanie opowieściami starego marynarza. Wisting zamierzał sprowadzić rozmowę z powrotem na temat Prebena Pramma i jego znajomości z kobietami, ale Thommessen kontynuował swój wykład o historii miasta.

– Tegoroczne lato jest gorące – powiedział. Wlał w siebie resztę piwa i z hukiem odstawił kufel na stół. – Ciekawe, czy zostanie pobity rekord ciepła z 1976. To było najcieplejsze lato w historii Stavern. Od świętego Jana do sierpnia nie było ani jednego dnia z temperaturą poniżej dwudziestu pięciu stopni.

– Wygląda na to, że jesteśmy na dobrej drodze – odparł Wisting. Skinął głową na Hammera i przeniósł wzrok z pustego kufła Thommессena na bar. Hammer odczytał sygnał i dopił swoje piwo.

– Jeszcze jedna kolejka – powiedział, wstając.

– To wszystko przez Golsztrom – ciągnął marynarz. – Pływałem wzdłuż niego. Gdyby nie prądy morskie mające swój początek w Zatoce Meksykańskiej, zamarzlibyśmy na kość. Wiecie, gdzie leży Churchill?

– Nie – odparł Wisting, zakładając, że jego rozmówcy nie chodzi o pub piłkarski w Larviku.

– Churchill leży w Kanadzie, dokładnie na wysokości Stavern. Oni nie mają tam żadnego Golsztromu. Przez cały rok średnia temperatura powietrza wynosi minus siedem stopni. Zimą spada nierzadko do minus czterdziestu. Do stu piorunów, chwała Golsztromowi! Nie mamy prawa narzekać na pogodę.

Hammer wrócił do stolika z trzema półlitrowymi kufłami piwa. Jeden z nich postawił przed Thommessenem, który chwycił kufel i przystawił go do ust. Wisting uznał, że to najlepsza okazja, by wrócić do interesującego ich tematu rozmowy.

– Może nam pan opowiedzieć coś o tych kobietach Pramma?

– Było ich dwie – odparł marynarz i wytarł pianę z wąsów. – Preben zapalał gwałtownym uczuciem do pewnej pani z klubu tanga. Zresztą, ona niedawno owdowiała. Gdyby nie musiał wypisać się z klubu, kto wie, może coś by się z tego wykluło. Pramm potrafił być uparty, ale tak bardzo zaczął mu dokuczać reumatyzm, że musiał porzucić tango. Taniec dawał mu chyba największą radość. Gdy przestał tańczyć, stał się jeszcze bardziej samotny.

Thommessen wypił łyk piwa i przerwał sam sobie.

– Ale dość o tym. Zresztą, to ta druga kobieta wpędziła go do grobu. W jej

ramiona popchnęły go samotność i tęsknota. Pierwszy raz usłyszałem o niej dwa lata temu. Przez jakiś czas nie wychodziłem z domu. Zachorowałem na zapalenie płuc i początek lata przesiedziałem w Domu Marynarza.

Zakaszłał mocno kilka razy, jakby na poparcie własnych słów, po czym mówił dalej.

– Pierwszego dnia, gdy odważyłem się wyskoczyć na piwo, spotkałem w pubie Pramma. Siedział przy stoliku na zewnątrz z kuflem piwa. Powiedział, że poznał kobietę. Zaśmiałem się i skomentowałem, że jesteśmy za starzy na podboje miłosne, a wtedy on opowiedział mi całą historię.

Lars Thommessen zamilkł na chwilę, żeby wzbudzić jeszcze większą ciekawość i skupić na sobie całą uwagę policjantów.

– O czym panu opowiedział? – spytał Wisting.

– Pramm wdał się w rozmowę z młodą dziewczyną w tutejszym barze. Ona nie miała nawet trzydziestu lat. Rozmawiali o wszystkim i o niczym i tak od słowa do słowa okazało się, że dziewczyna potrzebuje jakiejś dorywczej pracy, a jemu przydałaby się pomoc domowa. I postanowił ją zatrudnić.

– Wie pan, jak ona się nazywa? – spytał komisarz.

– Kiedyś mi ją przedstawił. Napiliśmy się razem piwa. W trójkę. Dziewczyna podała tylko swoje imię. Mona, tak ma na imię. Wysoka i szczupła, a raczej chuda. Miała długie jasne włosy i obcisły czerwony T-shirt – wyjaśnił Thommessen, wyraźnie rozmarzony.

Wisting skinął głową, słuchając opisu dziewczyny. To musiała być ta sama kobieta, która zgodnie z tym, co mówili sąsiedzi Pramma, często go odwiedzała. Teraz znali również jej imię i choć na razie nic ono Wistingowi nie mówiło, czuł, że śledztwo posunęło się do przodu. Spojrzał na Hammera, który wzruszył ramionami. Jemu również to imię nie kojarzyło się z żadną konkretną osobą.

– Gdzie i kiedy widział ją pan ostatnim razem? – spytał komisarz.

– Nigdy nie widywałem jej poza pubem. Ostatni raz zeszłego lata. Ale ona i Pramm byli ze sobą, aż w końcu wpędziło go to do grobu.

Thommessen wyjął fajkę z kieszeni spodni i zaczął nabijać ją tytoniem.

– Co to znaczy, że byli razem? – dopytywał Wisting.

– Dwa lata temu, pod koniec sierpnia zrozumiałem, że coś się wydarzyło. Pramm był w zupełnie innym nastroju niż zwykle. Tryskał humorem, a jednocześnie zrobił się tajemniczy. Aż go skręcało, tak bardzo chciał mi o czymś opowiedzieć, ale udawał waśniaka. Po dwóch piwach nie wytrzymał

i wszystko wyśpiewał.

– I co się stało?

Stary marynarz odłożył fajkę, zbliżył kufel do ust i wypił porządny łyk piwa. On także udawał ważniaka. Długo trwało, zanim wytarł pianę z wąsa i brody i zaczął mówić dalej.

– Pomoc domowa rozebrała się przed nim do naga i zaoferowała swoje usługi. A on nie zamknął oczu i jakoś specjalnie się nie wzbraniał, jak sam się wyraził.

Thommessen zrobił kolejną pauzę. Śledczy nie wiedzieli, jak skomentować rewelacje, które usłyszeli od kumpla Pramma od kielicha. Zamiast tego wszyscy trzej sięgnęli po piwo, żeby nie musieć nic mówić.

– Igrasz z ogniem, powiedziałem do niego. Twierdził, że dziewczyna nie bierze za to pieniędzy, ale potem przyznał, że wynagrodzenie za sprzątnięcie domu wzrosło podwójnie. Tym się usprawiedliwiał. Nie brała kasy za to, że się z nim pieprzyła, ale dostawała dwieście pięćdziesiąt koron za godzinę zmywania podłóg i ścierania kurzy. Nazywaj to, jak chcesz, powiedziałem, ale nie wyjdzie ci to na dobre. I miałem rację. Pramm nie żyje. Został zamordowany.

– Na jakiej podstawie twierdzi pan, że ta kobieta przyczyniła się do śmierci Pramma? – spytał Angell.

– Gdy go znaleziono, był nagi, zgadza się? – odparł Thommessen i zapalił fajkę. Angell przytaknął.

– Nie widzę żadnego powodu, z którego Pramm miałby się rozebrać do naga przed mordercą, chyba że tym mordercą była kobieta, z którą zamierzał pójść do łóżka.

Wisting nie brał tego wcześniej pod uwagę. Przez cały czas wyobrażał sobie, że zabójstwa dokonało dwóch mężczyzn, ale hipoteza starego marynarza brzmiała rozsądnie. Nie zgadzało się to jedynie z zeznaniami świadków, którzy widzieli dwóch mężczyzn: Norwega i cudzoziemca. Czyżby kobieta, której Pramm płacił za seks, była w domu, gdy tamci dwaj stali na zewnątrz? Czyżby byli ze sobą w zмовie? Wbiegli do środka, gdy dziewczyna nakłoniła Pramma, by się rozebrał, czyniąc go całkowicie bezbronnym wobec zabójców? To z kolei nie zgadzało się z podartym ubraniem.

– Jaki miałyby mieć motyw? – spytał.

– Rabunkowy.

– Czy Pramm miał pieniądze? – zdziwił się Wisting. – Odniosłem zupełnie

inne wrażenie.

– Nie, Prammowi nigdy się nie przelewało. Był rencistą, a renciście trudno się czegoś dorobić w państwie dobrobytu, jakim jest Norwegia. Ale pod koniec musiało mu się lepiej powodzić, bo nagle zaczął mi stawiać piwo i tytoń. A nigdy wcześniej tego nie robił.

– Skąd ten nagły zastrzyk gotówki? – spytał Wisting.

– To wszystko przez tę jego dziwkę – odparł Thommessen i zaciągnął się fajką. – Ona nie przyniosła ze sobą jedynie śmierci, ale również zepsucie. Śmierć i zepsucie.

– Co to znaczy?

– Że na starość Pramm zaczął handlować narkotykami. I to mając niemal siedemdziesiąt lat!

Policjanci zrobili wielkie oczy.

– Wiemy, że Pramm kontaktował się z narkomanką – powiedział Hammer. – Ale nic nie wskazuje na to, żeby miał coś wspólnego z narkobiznesem.

– Sam mi o tym opowiadał. Mnie też chciał w to wciągnąć. Gdyby nie to, że zginął, nasza przyjaźń byłaby skończona.

– Co dokładnie mówił? – zaciekał się Hammer.

– Powiedział, że znalazł bardziej chodliwą walutę od pieniędzy. Na problemy z reumatyzmem i bólami kręgosłupa przepisywano mu różne środki przeciwbólowe. Blister z dziesięcioma takimi tabletkami potrafił sprzedać za dwieście pięćdziesiąt koron, co dawało mu kilkusetprocentowy zysk. Zaczął jeździć do lekarzy w Stavern, Larviku i Sandefjord. Skarżąc się na różne dolegliwości i wymyślając sobie choroby, wyłudzał recepty na silne lekarstwa. Potem robił rundę po aptekach. Nie mógł realizować recept w tej samej aptece, bo farmaceuci zaczęliby coś podejrzewać. Chciał, żebym ja też latał po lekarzach i wyłudzał leki. Ja, który nigdy nie zażyłem aspiryny.

– Znamy ten problem – wyjaśnił Hammer. – Nie istnieje żadna koordynacja działań lekarzy i aptek, jeśli chodzi o wypisywanie leków. Nastąpiła nieznaczna poprawa, odkąd wprowadzono rozporządzenie o lekarzach rodzinnych, ale pacjent nadal może pójść do dowolnego lekarza. A oni nie reagują, dopóki pacjent nie wygląda na lekomana albo narkomana.

– Oczywiście, że nie. Lekarze wypisują tylko recepty i rachunki i wzywają następnego pacjenta – przytaknął Thommessen. – I w ten sposób Preben stał się dilerem narkotyków. A dzięki ZUS-owi jako sponsorowi i dotacjom z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej mógł liczyć na niezły zysk.

- Ale czy to mógł być powód, by go zabić? – wtrącił Wisting.
- Narkotyki niosą wyłącznie śmierć i zepsucie. Brudne interesy, które Pramm zaczął prowadzić, przyciągnęły do niego mordercę.
- Cóż, bardzo panu dziękujemy za te wszystkie informacje – Wisting próbował zakończyć rozmowę.
- Właściwie to było nawet trochę komiczne – ciągnął marynarz.
- Komiczne?
- Tak. Preben miał niemal siedemdziesiąt lat. I niezbyt rozsądnie pokierował swoim życiem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt się nim nie przejmował. Nikogo nie obchodziło, co robił. A teraz, kiedy nie żyje, wszyscy stoją przed nim na baczność. Policja, prokuratura, Kripos i cała góra.

Wisting pomyślał, że to smutne, ale Lars Thommessen miał rację. Pozwolił, by stary wilk morski wypił jeszcze jedno piwo na koszt państwa, i ruszył w stronę domu.

Właśnie minęła północ i na zewnątrz zrobiło się ciemno. Latarnia morska na Stavernodden pulsowała światłem. Letnia noc była wciąż ciepła i parna. Istniały duże szanse, że rekord ciepła z 1976 roku, o którym wspomniał Lars Thommessen, zostanie pobity.

Komisarz wybijał rytm, bębniąc palcami w kierownicę i wsłuchując się w słowa piosenki Chrisa de Burgha. Odkrył tego irlandzkiego artystę ponad dwadzieścia lat temu. Na pierwszym roku studiów w Wyższej Szkole Policji jego kolega puszczał płytę *Eastern Wind* niemal przez całą dobę. W krótkim czasie Wisting polubił muzykę sączącą się przez cienkie ściany internatu na Dronning Astrids gate. Po zakończeniu pierwszego roku kupił tę płytę, przyczyniając się do królowania Chrisa de Burgha na listach przebojów. W tych miękkich tonach, które z czasem nauczył się coraz bardziej cenić, było coś przyjemnego i relaksującego. Nie był równie zachwycony jego najnowszą muzyką i uważał, że kolejne płyty są przesłodzone, ale utwór płynący teraz z głośników bardzo lubił: *Lady in Red*. Tej nocy piosenka współbrzmiała z jego myślami o kobiecie w czerwieni, która przez cały rok regularnie odwiedzała Prebena Pramma. Kim była?

Nie wstawił samochodu do garażu. Byłby to zbędny trud, w końcu za kilka godzin musiał znowu jechać do pracy. W domu na Herman Wildenveys gate światła były zgaszone, a drzwi wejściowe zamknięte na klucz. Wisting zakradł się do kuchni i znalazł w lodówce talerz przykryty folią spożywczą.

Grillowany kotlet wieprzowy i sałatka ziemniaczana. Poczł wyrzuty sumienia. Kilka godzin wcześniej Ingrid jadła posiłek w samotności. Powinien był przynajmniej zadzwonić i uprzedzić ją, że wróci późno.

Z kuchni poszedł cicho do łazienki, umył zęby i skierował się do sypialni na piętrze. Było ciemno, ale dostrzegł zarys ciała Ingrid, która we śnie zrzuciła z siebie cienką letnią kołdrę i teraz leżała naga. Położył się ostrożnie obok niej i pogłaskał ją lekko po policzku, zanim odwrócił się do niej plecami i przyłożył głowę do poduszki.

– Pachniesz dymem papierosowym – wymamrotała. – Byłeś w mieście?

– Byłem w „Tatjanie” i rozmawiałem z człowiekiem, który miał do przekazania sporo ważnych informacji w sprawie – odparł. To nie było kłamstwo, ale również nie cała prawda. Nadal dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie wrócił po pracy do domu. Pocieszał się faktem, że w tym, co powiedział Ingrid, mimo wszystko było więcej prawdy niż kłamstwa.

– Jak śledztwo?

– Do przodu.

– Line dzwoniła wieczorem. Wciąż jest w Pradze. Widziała twoje zdjęcie w Internecie.

– Wiem, przysłała mi esemesa. U niej wszystko w porządku?

– Tak. W każdym razie nie powiedziała nic, co wskazywałoby, że jest inaczej.

– Nie tęskni za mamusią?

– Dobrze wiesz, że to jest córeczka tatusia.

– Napisała, że utylęm i powinienem schudnąć.

Ingrid przytuliła się do jego pleców i otoczyła go ramieniem. Chwyła go mocno za oponkę na brzuchu i lekko nią potrząsnęła.

– Nie jest tak źle, ale powinieneś częściej wychodzić z za biurka i więcej się ruszać. Choćby spacerować po ogrodzie.

Usłyszał w jej głosie nieznaczne rozdrażnienie. Postanowił zmienić szybko temat rozmowy i wykorzystał w tym celu nowo zdobytą wiedzę.

– Wiesz, że pub w hotelu Wassilioff nazywa się „Tatjana”?

– Daj spokój, Williamie. Przecież to moja praca. Tatjana Wassilioff prowadziła hotel po śmierci ojca. Powinieneś bardziej zainteresować się tym, co się dzieje tu i teraz. Wiesz na przykład, jakie plany ma twój syn?

– Thomas ma jakieś plany?

– Chce kupić samochód.

– Kupić samochód? Wydawało mi się, że wydał wszystkie oszczędności na świętowanie końca ogólniaka?

– Ja też tak zareagowałam. Odpowiedział mi, że bank ma pieniądze. Chce, żebyśmy podżyrowali mu pożyczkę.

– Jak zamierza ją spłacić? Przecież jesienią idzie do wojska?

– Mówi, że właśnie po to potrzebny mu jest samochód. Żeby nim dojechać do Heistadmoen i wrócić. Chce sobie załatwić pracę weekendową. Na jakiejś stacji benzynowej.

– Pracując w weekendy, ledwo zarobi na benzynę i ubezpieczenie. Jakaś konkretna marka?

– Tak. Chce kupić bmw. Ma już jakieś na oku. Czarne.

Wisting przypomniał sobie formularz numer 53, Fredrika Bolina i noc świętojańską przed ośmioma laty.

– Nie ma mowy – skwitował. – Jutro z nim porozmawiam.

[15] Herman Wildenvey, właściwie Herman Theodor Portaas (1885–1959) – norweski poeta.

[16] Jonas Lauritz Idemil Lie (1833–1908) – jeden z najwybitniejszych norweskich pisarzy.

[17] Z informacji zamieszczonych na stronie hotelu „Wassilioff” w Stavern wynika, że Michaił Wassilioff uciekł z Rygi przed rokiem 1840, żeby nie zostać wcielony do armii carskiej. Poza tym zmarł w 1875, to znaczy 8 lat przed pożarem miasta. Zatem pożar hotelu nie mógł być przyczyną jego śmierci.

Pierwsze, co zrobił, gdy przyjechał do pracy w niedzielę rano, to zadzwonił do Jørgena Kvista. Sieć komórkowa była słaba, a głos po drugiej stronie linii zaspany. Chłopak nie miał ochoty stawić się w celu złożenia wyjaśnień. Twierdził, że nie wie nic, co mogłoby mieć związek ze sprawą, ale w końcu zgodził się przyjść za godzinę do komendy i odpowiedzieć na kilka rutynowych pytań. Wisting nie był pewny, czy o innej porze dnia równie łatwo udałoby mu się go przekonać. Pozostawało mieć tylko nadzieję, że chłopak nie przewróci się na drugi bok i nie zapomni o spotkaniu.

Komisarz wyjął z szuflady biurka harmonijkę ustną i odchylił się w fotelu. Nieczęsto ją wyciągał. Zwykle robił to wtedy, gdy chciał się zrelaksować. Za każdym razem, gdy na niej grał, myślał o dniu, w którym ją dostał, i za każdym razem dochodził do wniosku, że to było jedno z jego najsmutniejszych wspomnień z dzieciństwa. Właściwie to było dziwne, ponieważ zdarzenie miało swój początek w wigilię Bożego Narodzenia 1963 roku, gdy otrzymał wymarzony prezent: narty biegowe firmy Madshus z pasującymi do nich skórzanymi butami i wiązaniami Kandahar. Nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnął i nigdy nie doświadczył większej radości niż wtedy, gdy podłużna paczka wylądowała pod choinką. To, że nie było śniegu, nie robiło mu żadnej różnicy. Z tym większym entuzjazmem powitał pierwszy śnieg, który spadł na początku stycznia. Po wielu rundach po polach ziemniaków wdrapał się w końcu na Katrineborg i zjechał ze wzgórza, które nawet teraz, będąc dorosłym, uważał za strome. Wciąż pamiętał to uczucie: im większą osiągał prędkość, tym bardziej rosło jego zaufanie do własnych umiejętności. Aż nagle wpadł na psa widmo, który pojawił się nie wiadomo skąd. Zderzenie było nieuniknione. Pies warczał, skomlał i szarpał go za łydkę, podczas gdy jego starsza właścicielka darła się wniebogłosy. Jeden kijek pękł, a narty

skrzyżowały się ze sobą podczas upadku. Zrozpaczony, próbował się podnieść i jak najszybciej oddalić od ujadającego psa i staruszki, która była gotowa zatłuc go na śmierć dużym kijem.

Poza trzynastoma szwami na prawej łydce, brzydką blizną, która nadal była widoczna, i panicznym lękiem przed psami wydarzenie to miało taki skutek, że chcąc go pocieszyć, matka sprezentowała mu małą, srebrzyście lśniącą harmonijkę ustną. Dźwięki, które się z niej wydobywały, brzmiały dziwnie żałośnie. Zresztą, może nie było w tym nic dziwnego, pomyślał. Czuł, że harmonijka już zawsze będzie mu się kojarzyć z tym, jak radość z nabycia pewnych umiejętności prysła w zderzeniu z niesprawiedliwością świata.

Przyłożył instrument do ust i zaczął grać. Po chwili blues własnej kompozycji przeszedł w jedyne tango, jakie umiał zagrać: „Tango dla dwojga”. Odkrył, że słowa starego szlagieru Alfa Prøysena^[18] bardzo dobrze opisywały pracę śledczych: „jeden szybki krok i jeden w bok, jeden w przód i kolejny zwód, a dalej sam już nie wiem jak”.

Nagle ktoś się zaśmiał. Wisting przerwał grę i odwrócił się w stronę drzwi. Nie wiedział, jak długo Torunn Borg tam stała, ale najprawdopodobniej zdążyła wysłuchać całego koncertu. Zaczęła klaskać żywiołowo i posłała mu uśmiech.

– Nie chciałam się zaśmiać. To było piękne.

Odłożył harmonijkę do szuflady. Nie miał wcale wrażenia, że się z niego wyśmiewała, ale nie bardzo wiedział, jak zareagować na komplement. Stała w drzwiach i uśmiechała się do niego. Przyjrzał się jej twarzy. Tym razem Torunn miała makijaż. Zastanawiał się, czy w jej uśmiechu kryło się coś więcej, ale nie potrafił tego ocenić. Nie wiedząc, jak wybrnąć z krępującej sytuacji, przeprosił ją, mówiąc, że musi się przygotować do porannej odprawy.

Gdy odprawa się skończyła, Jørgen Kvist siedział na krześle przed drzwiami gabinetu Wistinga.

– Zdaje się, że mieliśmy się spotkać o wpół do dziesiątej? – spytał młody mężczyzna. Chociaż od ich poprzedniego spotkania minęło piętnaście lat, Wisting poznał go, głównie po bezczelnej uwadze.

– Tak, przepraszam – odparł i spojrzał na zegarek, który wskazywał dwie minuty po wpół do dziesiątej.

– W porządku – rzucił szybko. – Mam czas.

Mimo że został poproszony o przybycie zaledwie godzinę wcześniej,

prezentował się nienagannie. Był świeżo ogolony i miał na sobie spodnie garniturowe i jasną koszulę. Włożył również krawat, choć był ciepły letni poranek. Okrągłe okulary przeciwsłoneczne z powłoką lustrzaną, wsunięte w ciemne włosy z jasnymi pasemkami wzbudziły jednak u Wistinga podejrzenie, że strój został starannie wybrany, by jego właściciel zrobił dobre wrażenie. Prawdopodobnie uwaga, że Wisting spóźnił się kilka minut, była całkowicie spontaniczna i świadczyła o jego prawdziwym ja. Wyglądało na to, że Kvist wziął się w garść. Komisarz wskazał mu, gdzie ma usiąść. Jeśli mężczyźnie zależało na tym, żeby dobrze wypaść, raczej na pewno miał coś do ukrycia.

– Poprosiłem pana o przybycie, ponieważ staramy się ustalić, co działo się w Auserød w noc świętojańską – zaczął Wisting i odchrząknął.

– Tak?

– Tak. Dowiedziałem się, że często bywa pan w domu sąsiadującym z posesją Prebena Pramma – dodał komisarz po chwili milczenia. – U swojego wujostwa.

Przez chwilę panowała cisza. Wisting odniósł wrażenie, że Jørgen Kvist szuka w myślach odpowiedniego komentarza.

– Czy to ich sąsiad został zamordowany? – spytał w końcu. – W którym domu mieszkał?

Dobrze wie, pomyślał Wisting i przyjrzał się uważnie twarzy mężczyzny, nie dostrzegając na niej ani śladu roztargnienia. Natomiast w głosie Kvista było coś, co zdradzało niepewność i bezradność. Komisarz wiedział z doświadczenia, że najczęściej było to spowodowane próbą zatajenia prawdy. Ledwo stłumił uśmiech.

– W tym małym czerwonym domu po drugiej stronie ulicy.

– Ach tak. Nie znam tam żadnych sąsiadów.

– Kiedy był pan tam ostatnio? – spytał Wisting i zanotował słowo „kłamstwa” w notatniku leżącym przed nim na biurku.

– Wczoraj – odparł szybko Kvist. – Skosiłem trawnik i podlałem kwiaty.

Komisarz westchnął głośno i demonstracyjnie. Jørgen Kvist bawił się z nim w kotka i myszkę, a Wisting czuł, że zaczyna go to irytować. Zdobycie wiarygodnych zeznań od człowieka siedzącego po drugiej stronie biurka będzie prawdziwym wyzwaniem. A mimo to nie potrafił dłużej powstrzymać kącików ust, które wykrzywiały mu się w uśmiechu. Lubił takie wyzwania. Lubił spotykać nowych ludzi i pozbawiać ich kolejnych

warstw dzięki odpowiednio postawionym pytaniom, aż docierał do ich wnętrza i odkrywał ich prawdziwe ja. Uwielbiał korzystać ze swojej wiedzy o człowieku, by formułować właściwe pytania, zadawać je we właściwym czasie i we właściwym kontekście, a potem otrzymywać właściwe odpowiedzi. Dzięki zdaniu wtrąconemu niby mimochodem lub dzięki wypowiedzi pozwalającej na swobodną interpretację zdarzało się, że rozmówca zdradzał takie szczegóły na swój temat, o których nie mieli pojęcia nawet jego najbliżsi. Wgląd w tajemnice i prywatne życie ludzi stanowił formę podglądactwa, która go podniecała. Zacisnął mięśnie szczęki, próbując ukryć uśmiech zadowolenia, i zanim kontynuował przesłuchanie, wbił w Kvista lodowate spojrzenie swoich niebieskich oczu. Był ciekawy, jakie tajemnice skrywa ten młody mężczyzna.

– Był pan na Auserødsvingen w ubiegły weekend?

– Chyba nie. Nie pamiętam dokładnie. Możliwe. Ktoś mnie widział?

Zabezpiecza się, pomyślał Wisting. Mówi, że tam nie był, ale zostawia sobie możliwość odwrotu. Już miał go upomnieć, lecz ugryzł się w język. Było na to za wcześnie.

– Gdzie pan był w noc świętojańską? – zapytał zamiast tego, nie odpowiadając na pytanie Kvista.

– Nad Blokkebukta. Byliśmy tam całą paczką. Wiele osób może to potwierdzić.

– O której pan się tam zjawił i o której stamtąd wrócił?

– Rzadko patrzę na zegarek. Przyjechałem wcześniej. Myślę, że około piątej. Dość dużo wypilem. Wyjechałem stamtąd coś koło dziesiątej, tak mi się wydaje.

Wisting wpatrywał się w oczy siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Najwyższy czas zmienić taktykę, pomyślał. Zupełnie niespodziewanie uderzył pięścią w biurko, próbując rozbić tę gładką fasadę, za którą ukrywał się Kvist. Pochylił się nad blatem i niemal ryknął na niego.

– Gdy przed chwilą lekko się spóźniłem, wiedziałeś cholernie dobrze, że jest dwie po wpół do dziesiątej, więc nie pieprz mi tutaj bzdur! Mów, jak było naprawdę!

Wybuch mógł pchnąć przesłuchanie w dwie różne strony. Kvist mógł się rozzłościć i zamknąć w sobie albo poddać się i udzielić odpowiedzi, na które Wisting czekał. Doświadczenie podpowiadało mu, że bardziej prawdopodobna jest ta druga reakcja. Z satysfakcją odchylił się w fotelu, gdy zobaczył, że

Kvist przygarbił się i zamilkł.

– Dokąd potem pojechałeś? – ciągnął Wisting nieco miłszym tonem, zadowolony, że zmiana taktyki przyniosła efekt.

– Nie jestem pewny. Upiłem się i to dość mocno. Nie pamiętam wszystkiego. Przepraszam.

– Czy tamtej nocy byłeś na Auserødsvingen?

– Chyba nie – odparł cicho.

– W takim razie kogo Frank Omholt widział w domu należącym do twojego wujostwa?

To było otwarte pytanie, które miało zerwać ostatnią warstwę obrony Kvista. Przynajmniej na to liczył komisarz. Frank Omholt wcale nie był pewny, czy rzeczywiście widział kogoś w sąsiednim domu, ale Wisting postanowił zablefować. To mógł być ślepy strzał, ale po chwili okazało się, że komisarz trafił w dziesiątkę. Przez moment panowała cisza. W końcu Kvist poprawił się na krześle i odpowiedział:

– To byłem ja.

– Co tam robiłeś?

Teraz, gdy Kvist był w defensywie, Wisting szybko zadawał pytania, żeby tamten nie mógł się długo namyślać.

– To nie tak, jak pan myśli.

– Nic nie myślę. Chcę wiedzieć, co tam robiłeś.

– Najpierw byłem nad Blokkebukta. Pojechałem tam dla pewnej dziewczyny, która się tam wybierała. Nazywa się Anne Berven. Urwaliśmy się stamtąd około dziesiątej i pojechaliśmy do domu ciotki i wuja. Nocowaliśmy tam.

– Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

– Ciotka i wujek są dość surowi. Mam klucz do ich domu, ale wolno mi tylko podlewać kwiaty i odbierać pocztę. Byliby wściekli, gdyby się o tym dowiedzieli.

Wisting skinął głową.

– Jak dostaliście się znad Blokkebukta na Auserødsvingen?

– Przyjaciółka Anne nas podwoziła. Ma na imię Juliane. Prowadziła mój samochód. Teraz są na wakacjach. W Turcji. Wrócą za dwa tygodnie.

– Co to za samochód?

– Golf.

– Jak długo Juliane była z wami?

– W ogóle nie wchodziła z nami do środka. Wysadziła nas przed domem i pojechała dalej.

– To znaczy, że twoje auto nie stało zaparkowane na ulicy?

– Nie. Stało przez minutę, może dwie, kiedy rozmawialiśmy w samochodzie. Juliane również nas stamtąd odebrała, w niedzielę przed południem, ale wtedy czekaliśmy na nią w zatoce autobusowej na głównej drodze.

– O której po was przyjechała?

– Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że coś koło dziesiątej.

– Czy na ulicy stały zaparkowane jakieś inne auta?

Kvist potrząsnął głową. Wisting nie spodziewał się innej reakcji. Domyślał się, że chłopak był skupiony wyłącznie na tym, by zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

– Co robiliście w domu wujostwa?

– Rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki, spaliśmy i takie tam.

Komisarz zastanawiał się przez krótką chwilę, co oznaczało „takie tam”, ale postanowił nie drażnić tematu.

– Czy przez cały czas byliście w środku? – zapytał.

– Tak, to znaczy nie. Kilka razy wychodziliśmy na werandę, żeby zapalić. Ciotka nie pali i dostaje hysterii, kiedy poczuje dym. Nie pozwala wujowi palić w domu. Od razu by poczuła, gdybym palił w pokoju.

– Czy kiedy staliście na werandzie, coś przykuło twoją uwagę? Może widziałeś jakieś inne samochody?

– Samochodów nie, ale widzieliśmy mężczyznę. Gdy chcieliśmy wyjść na papierosa, najpierw sprawdzaliśmy, czy nie ma nikogo na dworze. Woleliśmy, żeby nikt nas nie widział. I wtedy zobaczyliśmy faceta, który chodził tam i z powrotem przed domem tego, który nie żyje.

– O której to było?

– Mogę tylko zgadywać. W każdym razie było już jasno. Przypuszczam, że mogła być czwarta rano.

– Jak wyglądał?

– To był ten drugi sąsiad. Frank Omholt.

[18] Alf Prøysen (1914–1970) – norweski pisarz i muzyk.

Również tego dnia obowiązki się piętrzyły. Wśród sąsiadów Pramma wciąż były osoby, których Torunn Borg i jej zespół nie zastali w domu. Domysły i plotki krążące w lokalnej społeczności sprawiły, że telefonów z informacjami było coraz więcej. Pogłoski na temat porachunków gejowskich i zabójstwa z zemsty za molestowanie seksualne małych chłopców dotarły także do policji za pośrednictwem linii Telenor. Mortensen zajął się sortowaniem nowych zgłoszeń i przydzielaniem ich poszczególnym śledczym. Finn Haber pojechał do Kjose, żeby przeprowadzić czynności kryminalistyczne w domku letniskowym, natomiast Wisting, Angell i Hammer wybrali się ponownie na Auserødsvingen, żeby jeszcze raz poszukać w domu Prebena Pramma śladów, które pozwoliłyby im dotrzeć do jego zabójców.

Salon wyglądał dokładnie tak, jak Wisting go zapamiętał. Stary, brudny i zabałaganiony. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz wszystkie meble pokrywała warstwa czarnego proszku daktyloskopijnego. W wielu miejscach na ścianach i podłodze znajdowały się strzałki i numerki oznaczające ujawnione ślady linii papilarnych, ślady traseologiczne i biologiczne. Na środku oparcia kanapy, na której wisiała skrępowana ofiara, widniała wielka wilgotna plama, ciągnąca się w dół siedzenia. Cuchnęło moczem, ale woń unosząca się w salonie nie była już tak intensywna jak półtora dnia temu. Smród rozkładających się resztek jedzenia w kuchni był chyba gorszy do zniesienia.

Wisting zastygł na chwilę, próbując przesiąknąć atmosferą domu, po czym podszedł do stołu, na którym leżały fotografie różnych gatunków ptaków. Wziął do ręki przypadkowe zdjęcie przedstawiające nakrapianego ptaka ukrytego wśród sitowia. Odwrócił je. Z tyłu znajdował się napis wykonany czarnym długopisem: „Blokkebukta, 17 kwietnia 1997”. Na innej fotografii

była uwieczniona mewa. Z tyłu Pramm zanotował: „Mølen, 10 kwietnia 1994”. Wisting przejrzał zawartość dwóch pudełek po butach stojących na podłodze. W obu leżały starannie posortowane zdjęcia, ułożone według daty, miejsca lub rodzaju ptaków. Przypomniało mu się jego własne pudełko po butach, które stało na biurku, gdy był małym chłopcem. Znajdowało się w nim mnóstwo serwetek z restauracji i przyjęć, w których brał udział on sam albo ktoś z rodziny czy przyjaciół. Pierwsza serwetka pochodziła z przyjęcia urodzinowego kolegi z sąsiedztwa. Była żółta i ozdobiona obrazkiem roześmianych dzieci z prezentami, tortem, balonami i konfetti. Nagle przyszło mu do głowy, że jego wspomnienia z dzieciństwa są czarno-białe, jakby odtwarzano je na starym telewizorze, natomiast kolory na pierwszej serwetce z kolekcji są zawsze soczyste i świeże. Przez następne lata szukał serwetki, która byłaby ładniejsza i bardziej kolorowa od pierwszej, ale nigdy takiej nie znalazł. Gdy był już za stary, żeby chodzić na przyjęcia urodzinowe, najważniejsze stało się samo zbieranie serwetek z nowych miejsc, z nowymi wzorami. Nie potrafił zdobyć się na to, żeby je wyrzucić, i nawet teraz potrafił złożyć serwetkę i wsunąć ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, kiedy był w restauracji. Gdy piętnaście lat temu zmarła matka, a ojciec sprzedał dom i przeniósł się do dużo bardziej odpowiedniego mieszkania, pudełko z serwetkami było jedną z niewielu rzeczy, które Wisting stamtąd zabrał. Doskonale wiedział, gdzie teraz stoi pudełko: na półce w garażu.

Zdjęcie, które trzymał w dłoni, gdy ocknął się z zamyślenia, przedstawiało pliszkę. Odwrócił je. Z tyłu był napis: „w domu, 14 kwietnia 2002”. Podobną notatkę Wisting widział już wcześniej. W swoim kalendarzu pod datą 14 kwietnia Pramm zanotował łacińską nazwę ptaka przed słowami „w domu” i literą „F”. Komisarz zrozumiał w końcu, co oznacza „F”. Fotografia. To było takie proste. Domyślił się, że pozostałe kody w kalendarzu ofiary muszą być równie banalne, ale chwilowo nic nie przychodziło mu do głowy.

Przypomniał sobie, że Haber wspominał coś o ciemni. Cofnął się do przedsionka i zszedł po schodach do piwnicy. Dzięki murowanym ścianom na dole panował przyjemny chłód. Sufit był niski i Wisting musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową o rury kanalizacyjne. U podnóża schodów, na środku betonowej wylewki widniała ciemna plama. Obok niej technicy z Kripos przykleili kartkę z numerem 58. Od ciemnej plamy biegła wąska strużka o długości jednego metra, która kończyła się kolejną, trochę większą plamą,

oznaczoną numerem 59. Domyślił się, że plamy to miejsca, gdzie z kota uszło ósme i dziewiąte życie. Ulżyło mu, że truchło zwierzęcia i jego wnętrzności, które wylewały się na zewnątrz, zostały usunięte.

Piwnica składała się z kilku pomieszczeń. W jednym stała pralka i zlew, w drugim – stare puszki z farbą, różne narzędzia i stary stół warsztatowy, w dwóch następnych Pramm składował wszystko, co nie mieściło się gdzie indziej, a w ostatnim była ciemnia.

W drzwiach do ciemni wisiał koc. Wisting spodziewał się całkowitej ciemności, a tymczasem pomieszczenie tonęło w świetle. W liceum Wisting uczestniczył w zajęciach fakultatywnych z fotografowania. Nauczyciel nazywał się Bang i musiał dobrze wykonywać swój zawód, ponieważ komisarz bez trudu rozpoznał wszystkie narzędzia. Powiększalnik, który leżał na podłodze z roztrzaskanymi szklanymi ramami. Papier i błony fotograficzne, kasety filmowe, kuwety i rozrzucone plastikowe kanistry na różne odczynniki.

Wisting wyszedł z piwnicy i udał się na piętro. Widać było wyraźnie, że z tej części domu Pramm na co dzień nie korzystał. Gruba warstwa kurzu pokrywała parapety, ozdoby i podłogę. Dzięki temu łatwiej było Haberowi i jego ludziom znaleźć ślady obuwia.

Na poddaszu znajdował się mały salon, w którym stała kanapa jeszcze starsza od tej na parterze. Poza tym była tam toaleta z umywalką i dwie maleńkie sypialnie. W jednej z nich Pramm przechowywał meble ogrodowe, których w tym roku nie zdążył wystawić na zewnątrz. Druga pełniła funkcję biblioteki. Wisting dostrzegł wiele roczników „Hvem Hva Hvor”^[19], starą dwunastotomową encyklopedię, kolekcję książek z Morganem Kane’em i zbiór przeróżnych czasopism przyrodniczych. Przekartkował kilka wydań „Naszej fauny ptasiej” i „Obrączkujemy ptaki”.

Na parterze Hammer i Angell rozpoczęli mozolne przeszukiwanie sypialni Pramma. Wisting wszedł do salonu, podniósł z ziemi krzesło i usiadł przed sekretarzykiem. W środku panował bałagan. Kłębiły się tam paragony, rachunki, stare kupony lotto, instrukcje obsługi i dokumenty ubezpieczeniowe. Miesięczne wydruki z konta bankowego, razem z ponagleniami, wezwaniami do zapłaty i pismami od komornika potwierdzały, że u Pramma było raczej krucho z pieniędzmi.

Wisting wziął do ręki numer „Aktuell Rapport”, wciśnięty między rachunki

i pisma od wierzycieli. Okładkę zdobiła „Monica z Kristiansand”. Młoda dziewczyna klęczała na czworakach, opierając głowę na dłoniach. Jej twarz z małym zadartym nosem otaczała burza kasztanowych włosów. Spojrzenie piwnych oczu wydawało się bezbronne, a to nadawało zdjęciu wyjątkową zmysłowość. Ramiona zakrywały fragmenty piersi, ale oba sterzące sutki były dobrze widoczne. Dziewczyna wyginała plecy w łuk i wypinała nagie pośladki. Wisting nie mógł pojąć, co skłaniało młode dziewczęta do takiego pozowania, pomijając oczywiście względy finansowe. On sam nigdy nie wydawał pieniędzy na pornografię, chociaż potrafił zrozumieć, że samotni mężczyźni, tacy jak Preben Pramm, to robili. W zdjęciu dziewczyny z Sørlandet było coś uwodzicielskiego i podniecającego, co sprawiało, że łatwo sięgało się po tego typu gazetę. Odłożył ją na miejsce, ale poczuł, że nagie zdjęcie zrobiło na nim wrażenie. Ogarnęła go fala pożądania. Wciąż tliło się w nim wspomnienie nagiego ciała Ingrid, które zeszłej nocy czekało na niego w sypialni.

Wśród papierów walających się w sekretarzyku znalazł rachunek potwierdzający zakup telewizora i odtwarzacza wideo. Sprzęt został kupiony na raty w Elkjøp 18 czerwca, a całkowity koszt, łącznie z odsetkami i opłatami manipulacyjnymi, wyniósł dwadzieścia osiem tysięcy koron. Pierwsza rata miała zostać uiszczona za sześć miesięcy. Wisting zdziwił się. To nie musiało oznaczać niczego innego, jak tylko to, że stary telewizor Pramma się zepsuł, a rencisty nie było stać na zakup sprzętu za gotówkę, ale coś tu się nie zgadzało. Pramm wydawał się człowiekiem ostrożnym i oszczędnym.

W sekretarzyku leżał także stos najróżniejszych broszur. Większość z nich Pramm zabrał z Elkjøp przy okazji kupna telewizora. Broszury dotyczyły sprzętu AGD, komputerów, kamer wideo, aparatów fotograficznych i innego sprzętu elektronicznego. Między ulotkami leżała kartka w linie z wypisaną odręcznie listą, którą otwierał „aparat cyfrowy”. Na kolejnych miejscach uplasowały się: „cyfrowa kamera wideo, komputer z Internetem i całą resztą, zmywarka do naczyń, nowy odkurzacz, nowa pralka, zestaw stereo”. Dwie kolejne linijki pozostawały puste, a pod nimi zanotowano: „remont domu, nowe meble, nowy samochód (?)”. Linijka przerwy i dopisek: „jubiler poniedziałek”. Ostatni zapis był podkreślony.

Wisting nie miał już żadnych wątpliwości. Preben Pramm musiał się na czymś wzbogacić. Lista życzeń, którą komisarz trzymał w dłoni, nie była

zwyczajną listą planowanych zakupów. Człowiek, który ją sporządził, musiał spodziewać się naprawdę dużych pieniędzy.

Zastanawiając się nad tym, Wisting zatrzymał wzrok na paragonie z Lotto, który zdążył odłożyć na bok razem z rachunkiem za prąd za drugi kwartał. To był kupon na pięć tygodni, który kosztował sto pięćdziesiąt koron i dotyczył okresu od soboty 18 maja do 15 czerwca. Pod dziesięcioma rzędami złożonymi z siedmiu liczb ktoś dopisał dużymi literami „niezarejestrowana gra”.

Czyżby rozwiązanie zagadki było takie proste? Czyżby Pramm wygrał w Lotto i stał się milionerem? Wistingowi przypomniały się słowa piosenki, do której odwołał się Lars Thommessen: „Tak, pieniądze są zmartwieniem i dla biednych, i dla bogatych”. Pociągnął tę myśl dalej. A co, jeśli Pramm rzeczywiście wygrał w Lotto i ta jego dobra znajoma dowiedziała się o niezarejestrowanym zwycięskim kuponie i o tym, że jego posiadacz może zainkasować milion koron? To byłby niewątpliwie motyw. Ta cała Mona mogła zmówić się z innymi narkomanami, którzy zjawili się u Pramma, żeby ukraść mu kupon lub gotówkę. Gdy odmówił, przywiązali go do kanapy i torturowali, żeby zdradził, gdzie ukrywa wygraną. Gdy nadal odmawiał, przetrząsnęli cały dom od góry do dołu. Może w końcu znaleźli kupon i zostawili starca związanego, żeby zyskać przewagę. Na tyle dużą, by móc podjąć wygraną i uciec za granicę. A może go nie znaleźli i wrócili, żeby przeszukać dom, tak jak teraz robiła to policja. Wówczas zgłoszenie numer 77 od Torill Lyseggen, która przebiegała obok posesji przy Auserødsvingen 11 we wtorkowy wieczór 25 czerwca i widziała dwóch mężczyzn na werandzie, miałoby sens.

Historia w końcu nabierała kształtu i Wistinga ogarnęło podekscytowanie zmieszane z lekkim zdenerwowaniem. Sięgnął po mały notes, który zawsze nosił w kieszeni koszuli, ale go nie znalazł. Musiał go zostawić w komendzie. Zamiast tego wyjął z sekretarzyka blok formatu A4 w linie, żeby zanotować swoją ostatnią myśl: „Lotto – niezarejestrowany gracz – wygrana?”. Wpatrywał się w te cztery słowa i rozmyślał nad swoją najnowszą teorią. Podsumował to, co do tej pory zostało ustalone, i uznał, że wszystkie zgłoszenia i zeznania świadków do niej pasują. Już chciał zawołać Angella i Hammera, którzy nadal przeszukiwali sypialnię, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Ktoś wcześniej użył tego bloku w linie. Na środku kartki znajdował się ślad po tym, co napisano na poprzednim arkuszu, który został wyrwany.

Wisting próbował ustawić notes pod odpowiednim kątem i zbliżyć do światła, żeby odczytać napis. To były dwie linijki tekstu. Duże litery. Dolna linijka była ciągiem cyfr, ale i te cyfry, i tekst były prawie niemożliwe do rozszyfrowania.

Gdzieś w bałaganie w sekretarzyku Pramma Wisting widział wcześniej ołówki. Przejrzał broszury, rachunki i paragony, aż w końcu go znalazł. W taki sam sposób, w jaki w dzieciństwie bawił się z kolegami w szyfry i niewidzialne pismo, przyłożył grafit do kartki i zaczął nim ostrożnie wypełniać ślad po napisie, który powoli stawał się czytelny: „Uśmiechnij się! Jesteś w ukrytej kamerze!”. Tuż pod nim było napisane: „Zadzwoń 98007511!”.

Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer 1881. Gdy uprzejmy głos powitał go w Ogólnokrajowym Biurze Numerów Telenor, komisarz znowu poczuł rozdrażnienie, że traci pieniądze na długi i zbyteczny wstęp. Gdy w końcu nadeszła jego kolej, spytał, do kogo należy numer telefonu znaleziony w notesie Pramma. Był to niezarejestrowany numer na kartę. Już miał zakończyć kosztowną rozmowę, gdy nagle przyszło mu do głowy inne pytanie.

– Czy na nazwisko Preben Pramm ze Stavern jest zarejestrowany telefon komórkowy?

– Preben Pramm, Stavern, nie, tylko telefon stacjonarny – odparła konsultantka Telenor. – A o co chodzi?

Wistinga zaskoczyło pytanie zadane przez zupełnie nieznaną mu pracownicę Telenor, która znajdowała się w Lærdal lub innej miejscinie, gdzie Ministerstwo Pracy pokrywało część kosztów ponoszonych przez pracodawców, próbując w ten sposób walczyć z wysokim bezrobociem.

– Dlaczego pani pyta?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, która kosztowała Wistinga dodatkową koronę.

– Obawiam się, że i tak by nie odebrał – odpowiedziała po chwili. – Zdaje się, że to o nim pisali we wczorajszej „Dagbladet”. Został zamordowany.

Wisting podziękował za informacje i przerwał połączenie. Zdał sobie sprawę, że śledztwo, które prowadził, było tematem rozmów również poza granicami jego okręgu. Przypomniało mu się, że jeszcze tego dnia powinien podjąć decyzję w sprawie oficjalnego wszczęcia poszukiwania czarnego bmw, które w noc zabójstwa stało zaparkowane przed domem ofiary.

Wybrał kolejny numer. Tym razem zadzwonił bezpośrednio do właściciela niezarejestrowanego numeru na kartę. Po ośmiu sygnałach kobiecy głos powitał go w „Netcom Paging. Osoba, do której dzwonisz, jest chwilowo niedostępna...” Wisting rozłączył się, nie zostawiając swojego nazwiska ani numeru telefonu.

– Z kim rozmawiasz? – spytał Angell, który właśnie wszedł do salonu.

Komisarz przedstawił mu swoją nową hipotezę i opowiedział o napisie odcisniętym na kartce z bloku w sekretarzyku Pramma.

– Lotto! Całkiem pomysłowe – stwierdził Angell.

– Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa Wistinga mamy pięćdziesiąt procent szans na to, że ta hipoteza jest prawdziwa – dodał szybko Hammer.

– Jak to?

– Albo jest prawdziwa, albo nie. *Fifty-fifty!*

Hammer roześmiał się, otwierając usta tak szeroko, że komisarz dostrzegł jego języczek podniebienny.

– Dzisiaj nie damy rady tego potwierdzić ani obalić. W poniedziałek rano skontaktujemy się z Norweskim Totalizatorem Sportowym. Ale warto mieć tę myśl z tyłu głowy – skomentował Wisting. – Znaleźliście coś w sypialni?

– Dużo pornosów. Jeszcze więcej pornosów – odparł Angell.

– Ale tylko te tradycyjne norweskie czasopisma pornograficzne. Pramm był starym zbokiem, ale nic nie wskazuje na to, że był homoseksualistą czy pedofilem, czy jakimś innym filem – dodał Hammer i po raz kolejny zaprezentował górną część przetyku.

Razem przeszukiwali salon. Wisting zaczął od tego, że brał do ręki każdą płytę, wyjmował ją z okładki i sprawdzał jej zawartość. Hammer zajął się wertowaniem wszystkich książek i czasopism. Angell wykręcił wszystkie kontakty i łączniki elektryczne, żeby upewnić się, że niczego nie skrywają.

Praca była żmudna i wyczerpująca. To, że nie wiedzieli, czego szukają, nie ułatwiało zadania. Po dwóch godzinach każdy milimetr salonu był dokładnie sprawdzony, ale niczego nie udało im się znaleźć.

Wisting zatrzymał się przed wypchaną sową, która górowała nad kominkiem.

– To ptaszysko wszystko widziało – powiedział.

– Szkoda tylko, że nasz jedyny naoczny świadek jest głuchy, niemy i ślepy – skwitował Angell.

– Milczący świadek – zaśmiał się komisarz i pogłaskał sowę po głowie.

– Mówiłem wam już, że rozmawiałem z przewodniczącym Norweskiego Towarzystwa Ornitologicznego? – spytał Hammer.

– Nie. Miał coś ciekawego do powiedzenia?

– Dobrze wiedział, kim był Pramm. Nigdy się nie spotkali, ale Pramm bardzo się udzielał. Piętnaście lat temu wykupił dożywotnie członkostwo i był jednym z najaktywniejszych członków, jeśli chodzi o udokumentowane obserwacje rzadkich i zagrożonych gatunków ptaków. Zwykle do swoich raportów dołączał zdjęcia. Często drukowali je w swojej gazetce. Pramm wygrał też sporo konkursów fotograficznych. Pod koniec jego kontakty z towarzystwem stały się nieco napięte. Pramm skarżył się na to, że działalność towarzystwa przeniosła się do Internetu i że ta zmiana uderza w starych wiernych członków. Uważał, że ich czasopismo jest coraz gorszej jakości, ponieważ władze towarzystwa skupiają się na prowadzeniu strony internetowej. Poza tym coraz mocniej stawiają na rejestrację online i chcą skończyć z czasochłonnym wypełnianiem tradycyjnych, przesyłanych pocztą kart obserwacji. Prammowi bardzo się to nie podobało i groził wypisaniem się ze stowarzyszenia.

Wisting chwycił skrzydła wypchanej sowy i próbował sprawdzić, jaką mają rozpiętość.

– I co: zrobił to?

– Nie, ale jego dożywotnie członkostwo i tak już wygasło.

W chwili, gdy Wisting maksymalnie rozłożył skrzydła ptaka, coś się od nich oderwało i upadło na ziemię. W pierwszym momencie komisarz pomyślał, że pociągnął zbyt mocno i uszkodził sowę, ale potem schylił się i podniósł z podłogi metalowe kółko z dwoma kluczami.

Jeden z nich był stary i mógł pasować do szuflady w komodzie albo do skrzyni. Drugi był mniejszy i wyglądał jak kluczyk od kłódki. Śledczy w milczeniu wymienili spojrzenie, a malujący się na twarzy Wistinga zachwyty natychmiast im się udzielił. Być może znaleźli to, czego szukali sprawcy i co uczyniło z nich morderców.

– Twój milczący świadek właśnie stał się kluczowym świadkiem – powiedział w końcu Angell, przerywając ciszę.

Kolejny element trafił na swoje miejsce, wywołując lawinę nowych pytań. Co otwierały te klucze? Co znajdowało się za zamkiem? Co było tak ważne dla Pramma, że trzymał to coś pod kluczem w sekretnym miejscu? Co było tak

cenne, by za to umierać?

Entuzjazm i nadzieje, które rozpałiło nieoczekiwane znalezisko, z czasem przeszły we frustrację, którą komisarz odczuwał już wielokrotnie. Wszystkie rezultaty i odpowiedzi, które przynosiło śledztwo, rodziły nowe pytania. To było jak puszka Pandory.

– Dajemy sobie spokój czy szukamy dalej? – spytał Hammer.

– Skończmy to, co zaczęliśmy – odparł Wisting. – Może wpadniemy na jakiś trop, który podpowie nam, do czego pasują te klucze.

– Proponuję wrzucić coś na ząb, zanim zajmiemy się resztą – powiedział Angell. Nikt nie zaprotestował.

Uzgodnili, że zjedzą lunch w piekarni Nalum w centrum Stavern. Jak się okazało, było to ich pobożne życzenie, ponieważ w całym lokalu nie znaleźli ani jednego wolnego stolika, a poza tym wskutek inwazji turystów wybór kanapek był mocno ograniczony. Wisting zaprosił więc kolegów na lunch do siebie na werandę. Zdawało mu się, że gdy zaglądał poprzedniej nocy do lodówki, widział rostbef, podwędzaną szynkę wieprzową, wiaderko krewetek i resztkę jajecznicy. Miał nadzieję, że Ingrid nie zjadła wszystkiego na śniadanie.

Ingrid była zaskoczona i radosna, widząc męża w środku dnia. Nakryła do stołu, a on poszedł do kuchni po kilka butelek zimnej wody mineralnej Farris. Gdy jedzenie wylądowało na stole, wycofała się, pozwalając śledczym swobodnie porozmawiać. Wisting wiedział, że jego żona nastawi kawę, tak żeby była gotowa, gdy skończą jeść. Wzruszyło go, że Ingrid tak się o niego troszczy.

Rozważyli wiele hipotez dotyczących znalezionych kluczy, gdy nagle zadzwonił telefon Wistinga. Przez całe przedpołudnie podejrzanie milczał.

– Cześć, tu Finn z gęstych borów w Kjose.

– Cześć. Skończyliście?

– Tak, ledwo co.

– Znaleźliście coś?

– Całkiem sporo odcisków palców pochodzących od wielu różnych osób. Prześlemy je i zobaczymy, czy mamy któreś z nich w bazie.

– Popytaliście wśród okolicznych mieszkańców?

– Jasne. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. To było zresztą już czwarte włamanie do tego domku w ciągu ostatnich czterech lat. Nie rozumiem, jak jego właściciel mógł zostawić tam dubeltówkę. Powinniśmy to

zgłosić i ukarać faceta grzywną. W domkach letniskowych nie powinno się przechowywać broni ani kosztowności!

Wisting zakończył rozmowę z Haberem, dziękując mu za informacje, po czym odwrócił się do kolegów z błyskiem w oku. Nagle zaświtała mu pewna myśl.

– Czy Pramm miał domek letniskowy?

Żaden ze śledczych nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wisting znowu sięgnął do kieszeni koszuli po notes, żeby zapisać, że musi to sprawdzić w rejestrze nieruchomości, ale przypomniał sobie, że notatnik został na biurku. Nie pozostawało mu nic innego, jak postarać się to zapamiętać.

[19] „Hvem Hva Hvor” (Kto Co Gdzie) – leksykon wydawany przez „Aftenposten” nieprzerwanie od 1935 roku, poza latami drugiej wojny światowej, zawierający informacje na temat najważniejszych wydarzeń i postaci ze świata norweskiej polityki, nauki i kultury, zdobywców nagród, rekordów sportowych itd.

16

Zakrojone na szeroką skalę przeszukanie domu Pramma nie dało żadnego rezultatu, za to kosztowało ich mnóstwo sił z powodu upału. Minęła szósta, gdy wrócili do komendy. Już dawno spalili kalorie po lunchu na werandzie przy Herman Wildenveys gate, więc w drodze do pracy zajechali do Sjøloftet i kupili dwie duże pizze. Liczyli się z tym, że będą musieli podzielić się nimi z kolegami, ale w wydziale kryminalnym był tylko Mortensen, którego spotkali w drzwiach.

– Dobrze, że jesteś, Williamie! Oni czekają tu już od półgodziny.

– Jacy oni?

– Nina i Frank Omholtowie.

– No jasne. Jego przyślij do mnie – zarządził Wisting i zabrał ze sobą kilka kawałków pizzy. – A ty zajmij się żoną!

Frank Omholt czuł się wyraźnie nieswojo, siedząc na krześle naprzeciwko komisarza. Nie tylko dlatego, że krzesło było dla niego o wiele za małe, lecz głównie dlatego, że cała sytuacja wydawała mu się niezręczna.

– Jaki był pana stosunek do Prebena Pramma? – zaczął komisarz.

– Cóż mogę powiedzieć? Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Nic o nim nie wiem. Nie mam pojęcia, z kim się zadawał. Myślę, że słowo „powierzchowne” najlepiej opisuje nasze wzajemne relacje.

Wisting odchrząknął, potarł brodę i uśmiechnął się. Częściowo dlatego, że miał taki dziwny zwyczaj, a częściowo dlatego, że w tak krótkim czasie udało mu się zapędzić Omholta tam, gdzie chciał, to znaczy w kozi róg.

– Powierzchowne?

– Tak, powierzchowne.

– Chyba musiały być bardziej zażyłe, skoro pobił go pan na środku ulicy?

W gabinecie zapadła cisza. Słysać było jedynie cichy szum pracującego

komputera i tykanie zegara nad drzwiami. Po pięciu sekundach William Wisting zaczął bębnić ołówkiem w blat biurka. Miarowe uderzenia przypominały efekty dźwiękowe w teleturnieju, które miały uświadamiać uczestnikowi, że czas na odpowiedź mija. Komisarz wiedział, że ten dźwięk jeszcze bardziej zestresuje i zdekoncentruje mężczyznę, utrudniając mu wymyślenie wymówki i uwikłanie się w kłamstwo. Zanim padła odpowiedź, na czoło Omholta wystąpiła kropla potu.

– Wiedziałem, że to się przed wami nie ukryje.

– Jak doszło do tego zdarzenia?

Mężczyzna poprawił się na krześle.

– To było wieczorem pod koniec maja – zaczął wyjaśniać. – Żona i ja byliśmy w domu sami, co się rzadko zdarza. Dzieciaki odwieźliśmy do jej rodziców. Wypiliśmy butelkę wina, a potem wszystko potoczyło się samo. Uprawialiśmy seks. Na podłodze w salonie. A on tam stał i patrzył.

– Podglądał was?

– Tak. Stał z nosem przyklejonym do szyby i przyglądał się nam. Wkurzyłem się. Wskoczyłem w ubranie i wybiegłem z domu. Złapałem go i wytłumaczyłem, co myślę o takim zachowaniu.

– I wtedy pan go pobił?

– Tak. I ani przez chwilę tego nie żałowałem!

Wisting kilka razy niemal niezauważalnie skinął głową. Nie w geście aprobaty na wieść o gwałtownej reakcji Franka Omholta, lecz z satysfakcją, że potwierdziły się podejrzenia dotyczące tego, co Pramm robił w ogrodzie sąsiada. Kilka kolejnych elementów układanki znalazło się na właściwym miejscu.

– Co pan robił w noc świętojańską?

– Z grubsza to, o czym mówiłem ostatnim razem.

– Z grubsza?

– Tak. Rozmawialiście przecież z Gerhardtem i Mariną i wiecie już wszystko. Nie widzę powodu, z którego miałbym panu opowiadać o swoich problemach osobistych.

– Chętnie poznam pańską wersję.

Mężczyzna westchnął ciężko i otarł czoło chustką do nosa.

– No więc zostaliśmy zaproszeni do Gerhardta i Mariny. Było całkiem sympatycznie, ale kiedy Nina trochę za dużo wypije, zaczyna się kłócić. Skończyło się na tym, że wróciła do domu taksówką.

– I stąd te zadrapania na policzku?

– Tak. To Nina tak mnie urządziła. Rzuciła się na mnie.

– Proszę mówić dalej.

– Zostałem jeszcze trochę, ale Nina zepsuła całą imprezę, więc po godzinie zwinąłem się do domu.

– Jak?

Omholt milczał, szukał słów, po czym znowu westchnął i wbił wzrok w podłogę.

– Samochodem.

– Przecież pan pił?

– Tak, ale nie tak dużo, żebym miał się bać, że pojawi się czerwona lampka.

– I tak jest już za późno, żeby dokonać pomiaru i pociągnąć pana do odpowiedzialności za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości.

Mężczyzna podniósł wzrok. Wyraźnie mu ulżyło.

– Pojechał pan prosto do domu?

– Nie. Zatrzymałem się w pobliżu Rakke. Przespacerowałem się po przybrzeżnych skałach, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i oczyścić umysł.

– O której wrócił pan do domu?

– Po naszej ostatniej rozmowie trochę się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że musiało być około czwartej nad ranem.

– Wszedł pan od razu do domu?

– Nie. Musiałem się jeszcze trochę przewietrzyć i poszedłem na spacer.

– Widział pan coś albo kogoś?

– To właśnie wtedy wydawało mi się, że widziałem Gretę lub Georga. Byłem pewny, że ich widziałem. Oni są okropnie wścibscy i wiedzą o wszystkim, co się dzieje na naszej ulicy. Gdy pobiłem Pramma, również stali oparci o balustradę werandy. Ale musiałem się pomylić, bo jeszcze nie wrócili z wakacji.

– Widział pan jakiś obcy samochód?

– Nie, ale nawet gdyby tam stał, nie sądzę, żebym zwrócił na niego uwagę. Byłem lekko wstawiony. Na dom Grety i Georga spojrzałem, bo zauważyłem tam jakiś ruch. Szczerze mówiąc, bałem się, że widzieli, jak nadjeżdżam, i zawiadomią policję.

Zbliżała się północ, gdy Wisting opuścił gabinet. Zdążył jeszcze przejrzeć informacje dnia i stos protokołów z rozpoznania posesyjnego. Zrobił to tylko po to, by stwierdzić, że nie zawierają żadnych nowych szczegółów. Postawił

kolejny krzyżyk nad nazwiskiem Franka Omholta na kartce w notesie, na której pojawiło się jeszcze więcej plam po kawie. Poza tym narysował dwa klucze w kółku, do którego wpisał słowo: „tajemnica”.

Wychodząc z budynku komendy, minął dyżurkę. David Enge przyszedł właśnie do pracy i był gotowy do przejęcia nocnego dyżuru. Wisting już miał rzucić kilka zdawkowych uprzejmości, gdy odezwała się jego komórka. Otworzył skrzynkę odbiorczą i odczytał wiadomość od Line: „Podróż trwa dalej. Wieczorem dotarliśmy do Budapesztu. U mnie wszystko w porządku. Nie martwcie się!”

Nie czuł lęku o córkę, która znajdowała się dziesiątki tysięcy kilometrów od domu. Była rozsądna i zawsze dawała sobie ze wszystkim radę. Bardziej przejmował się synem, który planował kupno samochodu. Czuł wyrzuty sumienia, że nie porozmawiał z nim o tym, tak jak to obiecał Ingrid.

– Robota od rana do nocy, co? – zagadnął go Enge.

Komisarz nie odpowiedział. W głowie zaświtała mu pewna myśl. Ostatnio, gdy rozmawiał z Davidem Enge, ten spytał go o postępy w śledztwie. Wisting odpowiedział, że na miejscu zdarzenia widziano czarne bmw. Wtedy oficer odparł, że najwięksi dranie jeżdżą beemkami, a potem skinął głową na cudzoziemkę, która przyszła zgłosić zaginięcie narzeczonego.

– Odnalazł się? – spytał komisarz.

– Kto?

– Ten zaginiony cudzoziemiec. Wczoraj była tu jego dziewczyna.

– Chodzi ci o Agima Gjicolliego? Nie, nie odnalazł się. Poza tym jego zaginięcie nie zostało jeszcze formalnie zgłoszone. Ona się tu już więcej nie pojawiła.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że wszyscy dranie jeżdżą bmw?

– Wystarczy obejrzeć telewizję. Kiedy gangi A i B^[20] prowadzą ze sobą wojnę w Oslo, strzelają do siebie z beemek. Agim Gjicolli jeździ czarnym bmw.

Wisting uśmiechnął się do siebie. Enge spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Wiesz, jaki to model? – spytał komisarz, nie wyjawiając powodu swojego entuzjazmu.

– Nie, ale mogę to szybko sprawdzić.

Usiadł przed komputerem. Po kilku kliknięciach znalazł odpowiedź w elektronicznym rejestrze pojazdów silnikowych.

– Agim Gjokolli jeździ czarnym bmw 318i. Rocznik 1994. Złożył wniosek o wyrejestrowanie, nie zgłosił się na przegląd techniczny.

Wisting zamyślił się.

– Czy Gjokolli jest draniem?

– Jednym z najgorszych. Jako jeden z szefów kryminalnej powinienes o tym wiedzieć.

– Może masz rację. Czym się zajmuje?

– Wszystkim, co daje szybkie pieniądze, czyli w pierwszej kolejności handlem narkotykami.

– Pochodzi z byłej Jugosławii?

– Jest kosowskim Albańczykiem.

Wisting zaczął oklepywać kieszenie jak stary człowiek szukający paczki tytoniu. Tym razem notatnik był na miejscu. Dużymi literami zapisał w nim „AGIM GJIKOLLI” i otoczył trzema kólkami nazwisko zaginionego właściciela bmw, po czym wsunął długopis do ust i przygryzł go z zadowoleniem.

^[20] A-gjengen i B-gjengen – jedne z najgroźniejszych grup przestępczych działających w Oslo od początku lat 90.; wielu ich członków wywodzi się ze środowiska pakistańskich i albańskich imigrantów. Ich działalność kryminalna obejmuje m.in. handel narkotykami, zabójstwa na zlecenie, przemoc, wymuszanie okupu. Gangi toczyły ze sobą wojnę przez 10 lat, aż podpisały zawieszenie broni. Przywódca A-gjengen, Shahid Rasool, od 1997 roku odbywa karę więzienia.

Tej nocy źle spał. Nie tylko przez upał, ale również dlatego, że jego myśli wciąż krążyły wokół Agima Gjikolliego. Czy to jego bmw stało zaparkowane przed Auserødsvingen 11 w noc świętojańską? Czy to on był tym cudzoziemcem, którego widziano na podjeździe w noc zabójstwa i dwa dni później na werandzie domu Prammas? Wisting miał ochotę wstać i pójść do zaniepokojonej dziewczyny Agima, ale po namyśle stwierdził, że najlepiej będzie poczekać z tym do rana. Sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Angella i przedyskutować z nim nowy wątek, ale doszedł do wniosku, że przyjaciel powinien się porządnie wyspać.

Budzik w radiu zadzwonił o siódmej. Ostatni raz, gdy na niego spoglądał, czerwone fluorescencyjne cyfry wskazywały godzinę 02:49. A to oznaczało, że spał trochę ponad cztery godziny. Ciepły prysznic trochę go otrzeźwił, ale chwilę trwało, zanim znalazł wodę po goleniu. W końcu zrozumiał, że to przez Ingrid, która zmieniła markę. Robiła to regularnie. Chowała stary zestaw, dezodorant plus woda po goleniu, i wykladała nowy. Stare przybory toaletowe pojawiały się znowu po miesiącu lub dwóch. Wisting podejrzewał, że przerwy między różnymi zapachami miały związek z porami roku. Tego dnia pojawił się przezroczysty szklany flakon, którego nigdy wcześniej nie widział. Matowe litery układały się w napis: „Van Gils – Basic Instinct”. Nalał kilka kropli na dłoń, roztarł je i wklepał w policzki, wykrzywając twarz w grymasie. Skóra go piekła, a sam zapach był ostry, słodkawy i bliżej nieokreślony. Połączenie ananasa z czarną porzeczką. Zapach kojarzył mu się z męskością i od razu poprawił mu samopoczucie. Właściwie niewiele obchodziło go to, czym pachnie ani czy w ogóle czymś pachnie. Tak samo było z ubraniami. Nie przejmował się tym, jak wygląda. Odpowiedzialność za jego garderobę przejęła w końcu Ingrid po tym, jak wystarczająco dużo razy

zobaczyła go na zdjęciu w lokalnej gazecie ubranego w coś, co nazwała totalnym bezguściem. W szafie wisiały teraz spodnie, marynarki i koszule z pasującymi do nich krawatami. Co prawda nie zawsze trafiał z wyborem skarpetek, ale tego przynajmniej nie było widać na zdjęciach. Potrząsnął głową i uśmiechnął się do siebie. Co za beznadziejny staroświecki facet! Co on by zrobił bez żony?

W poniedziałek 1 lipca ekipa śledcza została zredukowana do sześciu osób. W komendzie i tak brakowało teraz ludzi w związku z sezonem urlopowym i większość policjantów musiała wrócić do swoich obowiązków i piętrzących się stosów akt. Komendant ubolewał nad tą sytuacją. Kontaktował się z Kripos, prosząc o przysłanie jeszcze jednego albo dwóch śledczych, ale mu odmówiono. Priorytetowe były teraz dwie inne sprawy: zabójstwo młodej dziewczyny w Sunnmøre i zaginięcie dziewiętnastoletniego turysty w Geiranger. Sprawa siedemdziesięcioletniego podglądacza ptaków mogła poczekać.

Wisting pochylił się nad stołem, sięgając po termos, i zauważył, że Torunn Borg wciąga powietrze przez nos. Najpierw dwa krótkie pociągnięcia, a potem jedno długie. Spojrzał na nią, ale musiał odwrócić wzrok, ponieważ nie był pewny, co oznaczał jej uśmiech.

Na stole leżały aktualne wydania gazet. W „Østlandsposten” sprawa zabójstwa zajmowała nadal pierwszą stronę. Nagłówek brzmiał: „Zabójca wciąż na wolności”. Podtytuły dużego artykułu donosiły, że „sprawca ma tydzień przewagi nad policją”, „ekipa śledcza porusza się po omacku” i „zanosi się na długotrwałe śledztwo”. Media spekulowały również, czy na pewno chodzi o zabójstwo na tle rabunkowym. Dom został przeszukany od piwnicy po dach, a adwokat policyjny Audun Vetti potwierdził, że sprawcy najwyraźniej czegoś szukali, ale nie był w stanie stwierdzić, czy z domu ofiary coś zniknęło.

W dalszym toku śledztwa należało skupić się na dwóch wątkach. Po pierwsze na bmw, które widziano w noc zabójstwa, a po drugie na kobiecie, która regularnie odwiedzała Pramma.

– Dzisiaj nie będziemy się widywać – rzucił Hammer. – Najpierw idę na spotkanie z informatorem, a potem pogadam z tymi konwojentami, na których napadnięto. Szykuje się psychologiczny *debriefing*. Torger Nordkvelle został wypisany w piątek ze szpitala. Duży fragment kolana ma teraz

z metalu i plastiku. Utyka, ale poza tym trzyma się nieźle. Mam wrażenie, że Morgan Haukedal ma większe problemy. Po tym, co się stało, jest wrakiem człowieka.

– Okej. Oddelegowałem cię do najważniejszego zadania. Chodzi o infiltrację środowiska narkomanów i odnalezienie „Mony w czerwieni”.

– Już się tym zająłem – oznajmił Hammer z uśmiechem.

– Dobrze – Wisting skinął głową i odhaczył punkt w notesie. – Chciałbym również, żebyś wykorzystał swoje kontakty w Netcom i Telenor. Musimy dostać wydruk wszystkich połączeń telefonicznych z numerem komórki, który znaleźliśmy w sekretarzyku Pramma, i wszystkich połączeń z numerem jego telefonu stacjonarnego.

W dalszej części odprawy Wisting podzielił się z kolegami swoją hipotezą, że Pramm wygrał milion w Lotto. Komisarz zlecił Espenowi Mortensenowi skontaktowanie się z Norweskim Totalizatorem Sportowym.

– Sprawdź też, czy Pramm miał domek letniskowy, łódź, magazyn, cokolwiek. Do czegoś przecież muszą pasować te klucze, które ukrywał w sowie.

Napełnił filiżankę kawą i zrobił dość długą przerwę, zanim mówił dalej. Najlepsze zostawił na koniec. Coś, co rozbawi całą grupę operacyjną.

– Natomiast ja i Torbjørn złożymy wizytę pewnej damie – oświadczył z błyskiem w oku.

– O! Komu? – zdziwił się Angell.

– Odwiedzimy Dijaną Beriszę.

Wisting upajał się pytającym wyrazem twarzy kolegów i delektował każdym szczegółem.

– Tak? – zagadnął go w końcu Hammer, który zrozumiał, że bez zachęty Wisting nic więcej nie powie.

– Dijana Berisha to dziewczyna Agima Gjikkolliego. Agim jeździ czarnym bmw 318i rocznik 1994 i był karany za przestępstwa narkotykowe i naruszenie nietykalności cielesnej. Dijana niepokoi się o swojego narzeczonego, którego ani ona, ani nikt z ich wspólnych przyjaciół nie widział od tygodnia.

– Przecież on jeździ audi! – zaprotestował Hammer. – Kilka tygodni temu zatrzymałem go w niebieskim A6.

– W takim razie musi mieć więcej samochodów – odparł Wisting, nie komentując tego, że Hammer najwyraźniej nie miał pełnego rozeznania

w środowisku narkotykowym.

– Tak, Agim jest potencjalnym zabójcą – przytaknął Hammer. – Zajmuje się odzyskiwaniem długów za prochy, miażdżąc delikwentom rzepki w kolanach i odcinając płatki uszu. A teraz gdzieś się przyczaił razem z autem.

W latach siedemdziesiątych wspólnota mieszkaniowa Rødberggrenda reprezentowała nowy sposób myślenia o budownictwie mieszkaniowym. Były tu place zabaw i tereny rekreacyjne. Chodziło o to, by mieszkańcy czuli się jak w małym miasteczku. Dzisiaj wszystko było w opłakanym stanie. Grafficiarze umieścili swoje podpisy na ciągu garaży. Trawa na małym trawniku między parkingiem a rzędem domów była spalona, pełna koniczyny i przekwitłych mleczy. Ogrodzenie wokół placu zabaw częściowo się rozpadło, a z koszy wysypywały się śmieci. Grupka dzieci w różnym wieku bawiła się na zardzewiałych drabinkach. Rozmawiały w obcym języku. Wisting domyślił się, że większość mieszkańców to obcokrajowcy.

Mały ogródek przed drzwiami domu przy Rødberggrenda 6 był starannie wypielegnowany. Wisting nie krył zaskoczenia. Rozejrzał się niepewnie, ale świeżo namalowany szyld na drzwiach potwierdzał, że „Tutaj mieszkają Agim, Dijana i Albert”.

Tylko że Agim nie mieszka tu od tygodnia, pomyślał komisarz i nacisnął przycisk dzwonka.

Kobieta, która otworzyła drzwi, była ładniejsza, niż Wisting zapamiętał z krótkiego spotkania przed dwoma dniami. Brązowa skóra twarzy była gładka i wyglądała na miękką. Czarne oczy, z których biło ciepło, nadawały jej przyjazny wygląd. Na ramiona opadały czarne loki. Była szczupła i miała na sobie żółtą sukienkę, która sięgała jej do połowy uda.

Wisting przedstawił siebie i Angella i pokazał odznakę policyjną. Upewnił się, że nie zasłania palcami zdjęcia i że młoda kobieta nie będzie miała problemów z potwierdzeniem jego tożsamości. Gdy robił to zdjęcie, miał ciemniejsze włosy, był szczuplejszy i nie miał drugiego podbródka.

– Chodzi o Agima Gjikkolliego – wyjaśnił. – Mamy do pani kilka pytań.

Kobieta rozpromieniła się i natychmiast wpuściła ich do środka. Wisting poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Dijana Berisha była pewna, że policja skontaktowała się z nią w sprawie zaginięcia jej narzeczonego. Postanowił, że nie wyprowadzi jej z błędu i podczas pierwszej rozmowy nie wspomni

o zabójstwie Prebena Prammas. W ten sposób łatwiej im będzie stworzyć pełniejszy obraz Gjikkollego.

– Dziękuję. Dziękuję, że przyszliście – powiedziała łamanym norweskim i wprowadziła ich do salonu. Szybko sprzątnęła z kanapy kilka niemowlęcych zabawek, robiąc miejsce policjantom. – Podać kawę? Mam gotowy dzbanek.

– Poproszę – odparł Wisting, czując burczenie w żołądku. Ostatnio pił za dużo kawy.

– Gdzie jest dziecko? – spytał Angell.

– Śpi. Właśnie zasnęło, więc byłoby dobrze, gdybyśmy rozmawiali cicho – powiedziała i zniknęła w kuchni.

Wisting rozejrzał się po przestronnym, świeżo wyremontowanym salonie. Był stylowy i elegancko urządzone. Zupełnie inny niż Wisting go sobie wyobrażał, gdy parkował przed domem przy Rødberggrenda. Meble były proste i drogie. Siedzieli na kanapie z czarnej skóry. Metr kwadratowy wiśniowego parkietu był przynajmniej o kilkaset koron droższy od tego, który zeszłej jesieni Wisting położył we własnym salonie. Na ścianie naprzeciwko zestawu wypoczynkowego wisiał telewizor panoramiczny. Wisting oszacował, że przekątna ekranu musiała mieć co najmniej trzydzieści dwa cale. Na regale pod telewizorem stał odtwarzacz DVD, magnetowid, dwa dekodery satelitarne i zestaw stereo. Na pozostałych ścianach wisiały obrazy reprezentujące malarstwo współczesne i o ile Wisting był w stanie to ocenić, kształtem i kolorem pasowały idealnie do kremowożółtych ścian i wielobarwnych zasłon. Pokój był po prostu piękny i przytulny.

Młoda kobieta, którą już zdążył polubić, wróciła z trzema filiżankami w jednej dłoni i dzbankiem ciśnieniowym w drugiej. Rozstawiła filiżanki na ławie, nalala do nich kawy i spytała, czy przynieść śmietankę i cukier.

Wisting uniósł rękę w geście odmowy i potrząsnął głową. Zawsze pił czarną kawę.

– Macie jakieś wieści? – spytała, odstawiając dzbanek. – Wiecie, gdzie jest Agim?

– Nie – odparł i wypił łyk gorącej kawy. – Potrzebna nam jest pani pomoc. Mamy nadzieję, że jest pani w stanie udzielić odpowiedzi na kilka pytań.

– Tak?

– Kiedy ostatni raz widziała pani narzeczonego? – spytał, wyciągając żółty notes.

– Sześć dni temu – odparła cudzoziemka. Oparła łokcie o nagie kolana,

zbliżyła dłonie do piersi i zaczęła przebierać palcami. – We wtorek wieczorem. Pocałował mnie i powiedział, że wychodzi. Że musi się przewietrzyć. Od tamtej pory go nie widziałam.

– Od jak dawna jesteście parą?

– Od dwóch i pół roku. Przybyłam do Norwegii jako uchodźca we wrześniu 1999 roku mostem powietrznym z Macedonii. Zanim poznałam Agima, mieszkałam w ośrodku dla uchodźców w Gjøerdal. On przyjechał tu w 1989 razem z całą swoją rodziną.

– Jest kosowskim Albańczykiem?

– Tak. Pochodzi z Pejè, to jest w Kosowie. Wprowadziłam się do niego w maju dwa lata temu. Potem zaszłam w ciążę. Za kilka tygodni bierzemy ślub, 27 lipca.

Wisting wzdrygnął się. Sobota 27 lipca to był dzień jego ślubu. W tym roku będą obchodzić z Ingrid dwudziestą rocznicę. Zapisał w notesie: „Rzym/bilety lotnicze”. Ingrid zasługiwała na tę podróż, pomyślał. Zasługiwała na coś wyjątkowego.

– Wie pani, gdzie on pracuje? – spytał Angell.

– Trochę tu, trochę tam. Wiem, że ma to jakiś związek z samochodami. Angell w naturalny sposób przeszedł do interesującego ich tematu.

– Jakim samochodem jeździ pani narzeczony?

– Ciągle je zmienia. Samochody i telefony komórkowe. Teraz jeździ bmw. Dijana Berisha wciąż przebierała palcami. Była wyraźnie zdenerwowana.

– Wie pani, jaki to model bmw?

– Nie, ale auto jest czarne.

Policjanci sięgnęli jednocześnie po filiżankę i napili się świeżo zaparzonej kawy. Angell w milczeniu przytrzymał ją na kolanach, więc Wisting wrócił do zadawania pytań.

– Czy domyśla się pani, gdzie on może być lub dlaczego wyjechał, nie informując pani, dokąd dokładnie się wybiera?

– Nie, nie wiem. Nic z tego nie rozumiem.

Spuściła dłonie na kolana w geście rezygnacji.

– Może się pokłóciliście?

– Nie. Wcześniej dochodziło między nami do kłótni, ale ostatnio nie. Był bardzo miły. Obsypywał mnie prezentami.

Dijana Berisha podniosła dłonie i wyciągnęła je przed siebie. Złote pierścionki zdobiły jej wszystkie palce, łącznie z kciukami. Były większe od

tych, które Wisting kiedykolwiek kupił Ingrid, i z pewnością większe od obrączek, które Angell kupił swoim żonom.

– Ten jest zaręczynowy – powiedziała, wskazując na pierścionek z białego złota z dużym diamentem na palcu serdecznym lewej dłoni. – Dostałam też łańcuszek i kolczyki do kompletu.

– Pani narzeczony musi sporo zarabiać.

– Tak. Gdy przyszedł z pierścionkiem zaręczynowym, mówił, że zrobił dobry interes i dostał dużą premię.

– Co to za interes?

– Nie wiem. Nie pytam go o te sprawy. Kobiety nie muszą tego wiedzieć.

– Kiedy się zaręczyliście?

– 10 czerwca – odparła, zdejmując pierścionek, żeby pokazać wygrawerowaną datę.

– 10 czerwca tego roku? – zdziwił się Wisting, gdy zerknął na napis. – To znaczy, że od zaręczyn do ślubu minie trochę ponad miesiąc?

Młoda kobieta przytaknęła.

– Czy w ciągu ostatnich dni przed zaginięciem Agim zachowywał się inaczej? Może coś panią zaniepokoiło?

– Tak, zachowywał się trochę inaczej niż zwykle, ale zawsze tak jest, kiedy pracuje nad czymś ważnym. Przed naszymi zaręczynami było tak samo. Ma wtedy wiele ważnych spotkań, aż w końcu się zamyka.

Wisting spojrział na nią w taki sposób, że domyśliła się, iż nie zrozumiał ostatniego zdania.

– Zamyka się w sobie? – podpowiedział Angell.

– Właśnie tak – przytaknęła i znowu zaczęła bawić się palcami.

– To znaczy, że przed zaginięciem pracował nad czymś ważnym?

– Tak. Myślę, że to było coś bardzo ważnego.

– Dlaczego?

– Bo był bardzo zamknięty w sobie, bardziej niż zwykle. Poza tym zadał mi dziwne pytanie.

Policjanci milczeli, czekając na dalszy ciąg.

– To było tamtego wieczoru, gdy wyszedł i nie wrócił. Leżeliśmy w łóżku i nagle spytał, czy nie chciałabym wrócić do Kosowa. Przenieść się tam na stałe. To zabrzmiało tak, jakby chciał stąd uciec, ale nigdy nie wyjechałby bez Alberta i beze mnie. Powiedział, że ma dość pieniędzy na kupno domu i restauracji w Kosowie, ale jest jeden problem.

– Problem?

– Tak. Jego partner od interesów, który trzymał ich pieniądze, nie chciał oddać Agimowi jego części. Jeszcze nie.

– Powiedział coś więcej?

– Nie udało nam się dłużej o tym porozmawiać, bo zadzwonił telefon i Agim poszedł do gabinetu, przez chwilę z kimś rozmawiał i wyszedł z domu.

– I wtedy widziała go pani po raz ostatni?

– Tak.

– Wie pani, kto dzwonił? – spytał Wisting.

– Nie. Ale chyba ktoś z pracy.

– Słyszała pani, o czym z tym kimś rozmawiał?

– Nie. Słyszałam tylko strzępy rozmowy. Agim klócił się z tą osobą i kiedy podnosił głos, docierały do mnie pojedyncze słowa.

Zachęcili ją, żeby rozwinęła wątek.

– Coś poszło niezgodnie z planem i to była wina tej drugiej osoby. I Agim nie chciał się na coś zgodzić. Mówił, że chce natychmiast odzyskać swoje pieniądze.

– Jaki jest numer jego komórki?

– Agim nie odbiera. Dzwonię do niego codziennie. A poza tym on często zmienia telefony. Ostatnio korzystał z trzech.

Wisting wziął kartkę z numerami, przeprosił ich i wyszedł na schody. Zadzwonił do Hammera z prośbą, żeby ten uruchomił swoje kontakty w spółkach telekomunikacyjnych i zdobył wykaz wszystkich połączeń przychodzących i wychodzących z telefonów komórkowych Agima Gjikolliego, a także by ustalił, skąd mężczyzna dzwonił.

Gdy komisarz rozmawiał z Hammerem, Angell wyjaśnił kobiecie, że policja musi przeszukać ich dom. Chodziło o to, żeby wśród rzeczy należących do jej narzeczonego spróbować znaleźć coś, co mogłoby mieć związek z jego zaginięciem. Zgodziła się i zaprowadziła ich do sypialni urządzonej jak gabinet. Obok dużego biurka znajdowała się wielka kanapa, a przed nią mały okrągły stolik i duży telewizor podłączony do PlayStation i odtwarzacza wideo. Na półce stało kilka segregatorów i spora kolekcja filmów wideo i DVD.

– To będzie sypialnia Alberta – wyjaśniła kobieta. – Syn chwilowo śpi z nami, ale planujemy przeprowadzić remont i urządzić tutaj pokój dziecienny. Teraz Agim trzyma tu swoje rzeczy. Nikomu nie pozwala tu wchodzić. Nawet

mnie.

– To znaczy, że pani nie wie, co on tutaj przechowuje?

– Nie. To są rzeczy Agima. Nie lubi, kiedy o nie pytam lub zaglądam do tego pokoju. Agim prowadzi tu swoje interesy.

Komisarz usiadł w czarnym skórzanym fotelu przed biurkiem i wyciągnął górną szufladę. Na wierzchu leżało zdjęcie młodej kobiety, która stała teraz w drzwiach. Na fotografii siedziała na tej samej ławie, na której Wisting zostawił filiżankę z niedopitą kawą, i miała na sobie wyłącznie ledwo widoczne białe koronkowe majtki i stanik do kompletu. Pozowała z rozsuniętymi nogami i dłońmi na kolanach, mrugała do fotografa. Wisting cieszył się, że Dijana Berisha nie wiedziała, na co właśnie patrzył. I tak czuł się niezręcznie, przeglądając w jej obecności rzeczy należące do jej narzeczonego. Na szczęście po chwili z sąsiedniego pokoju doleciał płacz dziecka, które domagało się jedzenia i czystej pieluszki.

W szufladzie biurka leżało więcej zdjęć, między innymi ze szpitala, gdzie Dijana trzymała na rękach nowo narodzonego syna, i z rodzinnej uroczystości, na której prym wiódł mały Albert. Było tam również zdjęcie Agima siedzącego za kierownicą swojego czarnego bmw z synkiem na kolanach. W prawym dolnym rogu znajdowała się wydrukowana na pomarańczowo data: 17.06.02 – tydzień przed świętym Janem. Komisarz położył zdjęcie na rogu biurka, żeby zabrać je ze sobą do komendy. Zastanawiał się, czy ten dumny ojciec rodziny rzeczywiście mógł mieć jakiś związek z zabójstwem Prebena Prammasa.

Wyciągnął drugą szufladę i obraz Agima Gjirkolliego zmienił się diametralnie. W środku leżał pistolet i dwa pudełka naboju. Wisting natychmiast go rozpoznał. To był Glock. Piętnaście lat temu w Heimevernet^[21] wydano mu podobną broń. Nadal leżała zamknięta w sejfie w piwnicy domu przy Herman Wildenveys gate, gdzie Wisting umieścił ją tego samego dnia, w którym ją dostał.

Wydobył z kieszeni spodni jednorazowe rękawiczki i wyjął broń z szuflady. Magazynek był załadowany. Położył pistolet obok zdjęcia ojca z synem. Torbjørn Angell gwizdnął przeciągle.

W głębi szuflady Wisting znalazł więcej dowodów na to, że Agim miał swoją ciemną stronę. Była tam mała biała koperta, gruba i zaklejona, ale niezaadresowana. Policjant przeciął ją scyzorykiem i wysypał zawartość na

biurko. Z koperty wypadła mała torebka strunowa z białym proszkiem.

– Kokaina – stwierdził Angell. Podniósł torebkę i zważył ją w dłoni. – Na oko jakieś pięćdziesiąt gramów.

Spędzili dwie godziny na przeszukiwaniu małej sypialni, lecz niczego więcej nie skonfiskowali. Reszcie domu poświęcili kwadrans, ale nie znaleźli nic, co podpowiedziałyby im, gdzie obecnie może przebywać Agim Gjikołli ani co ewentualnie mogło go łączyć z Prebenem Prammem.

Wisting uruchomił volvo i już miał wyjechać z parkingu, lecz nagle wyłączył silnik i wskazał najbliższy garaż oznaczony cyfrą sześć.

– Zobaczę, czy jest otwarty – powiedział Angell. Wyskoczył z samochodu i dwukrotnie pociągnął zamkniętą bramę garażową, po czym truchtem podbiegł z powrotem do domu przy Rødberggrenda 6. W tej samej chwili odezwał się telefon Wistinga.

– Sprawa zaczyna się wyjaśniać – odezwał się głos Habera.

– Nareszcie – odparł komisarz. – Co masz?

– Dużo. Za dużo, żeby rozmawiać o tym przez telefon. Mamy dwa, nie, trzy zidentyfikowane odciski palców. Między innymi. Będziecie niedługo z powrotem?

Wisting zobaczył, że Angell wraca i wymachuje nad głową małym kluczem.

– Został nam już tylko garaż i jesteśmy gotowi. Nie powinno to potrwać więcej niż kwadrans. Zbierz naszych w stołówce, żebym przy okazji mógł coś przekąsić.

Gdy komisarz zakończył rozmowę z Haberem, Angell stał przed otwartą bramą garażową. Wisting od razu poprawił się w myślach: przeszukanie tego pomieszczenia nie zajmie im nawet piętnastu minut. Przypomniawszy sobie ich własny garaż zawalony nartami, sankami, rowerami, jabłuszkami do zjeżdżania i opróżnionymi do połowy puszkami z farbą. W garażu Agima Gjikołliego nie było nic z tych rzeczy. Był całkiem pusty, nie licząc przykrytego brezentem przedmiotu, którym według Wistinga mógł być motocykl.

Angell odwiązał niebieski nylonowy sznur, który przytrzymywał brezent na miejscu, i domysły Wistinga się potwierdziły. Był to motocykl marki Yamaha o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych. Na osłonach bocznych było napisane: YZF R1. Pojazd nie wyglądał na kradziony, ale na wszelki wypadek Wisting zanotował numer, zanim Angell opuścił bramę.

– Zaczekaj! – zawołał nagle komisarz. – Podnieś ją jeszcze raz!

Angell spełnił jego prośbę.

– Co jest? Coś tam zobaczyłeś?

– Sznur – odparł Wisting i skinął głową na brezent, czując, że to odkrycie przyprawia go o dreszcze. – Niebieski nylonowy sznur. Już go wcześniej widziałem.

^[21] Heimevernet (HV) – Obrona Krajowa, część norweskich sił zbrojnych, oddziały szybkiego reagowania utworzone w 1946 roku, obecnie liczą 45 tysięcy żołnierzy.

Miejsce Habera przy stole w stołówce było puste. Na blacie leżał stos papierów, na które nikt nie miał odwagi spojrzeć nawet ukradkiem. Wzywając śledczych na spotkanie przy lunchu, Haber był wyraźnie podekscytowany. Nikt nie miał wątpliwości, że badania techniczne przyniosły ważne odpowiedzi.

Wisting zdążył w mgnieniu oka pochłonąć kilka kanapek. Gdy Borg nalewała mu kawy, zwrócił się do Hammera z ustami pełnymi jedzenia.

– Jak tam spotkanie z informatorem? – spytał. Wiele razy podziwiał to, w jak dobrej komitywie Hammer był z przestępcami. Powodem, z jakiego ciągle mu się odwdzięczali, było chyba to, że mimo często brutalnych metod wszystkich, którzy na to zasługiwali, traktował z szacunkiem. Dzięki temu przez wszystkie te lata policja zyskała wiele cennych informacji. Jeśli chodziło o Wistinga, zawsze najbardziej przejmował się losem ofiar i często potępiał sprawców. Może Hammerowi było nieco łatwiej z tego względu, że w wypadku przestępstw narkotykowych ofiarami byli sami przestępcy.

– Jonathan Ravn coś szykuje – odparł Hammer i zaczął dłubać w zębach paznokciem palca wskazującego.

– Masz informatora, który jest gotowy wsypać Ravna? – wybuchnął Mortensen.

– Tak, od dawna już go niańczę.

– Super!

– Wiesz, każdy ma swoją cenę.

– Tak, ale Jonathan Ravn! Życie gościowi niemiłe czy co?

– Sądzę, że wręcz przeciwnie. W każdym razie uwielbia jazdę samochodem.

– Co masz na myśli?

Hammerowi udało się w końcu zlokalizować resztkę jedzenia i teraz

z zadowoleniem przyglądał się bliżej nieokreślonemu kawałkowi mięsa, który przyczepił mu się do paznokcia. Zassał go i wyjaśnił.

– Kiedyś dopilnowałem, żeby nie odebrano mu prawa jazdy w związku z pewną sprawą narkotykową.

– Korupcja największego kalibru – skomentowała Borg, uśmiechając się jednocześnie, czym dała sygnał, że w jej wypowiedzi nie ma ukrytej krytyki.

– Myślę, że informator może mieć ochotę zastąpić Ravn. Gdyby go wykosił, otworzyłyby się przed nim nowe rynki i nowe możliwości.

– Co szykuje Ravn? – zaciekał się Mortensen.

– Facet twierdzi, że chodzi o jakiś większy przemyt. W każdym razie Ravn skołował już dużą sportową łódź motorową i wybiera się do Danii.

– Wiemy coś bardziej konkretnego? – spytał Wisting.

– Nie – odparł Hammer i zaczął szukać kolejnych resztek jedzenia między kłami. – Informator chciał dalej nad tym pracować, ale poprosiłem go, żeby się za bardzo nie wychylał. I tak nie mamy teraz na to środków.

Wisting przytaknął i połknął kawałek kanapki z krewetkami, popijając go łykiem kawy.

– Mówił, kiedy Ravn wybiera się w podróż?

– Nie, to nie było jeszcze do końca pewne. Najpierw miał coś załatwić, ale wydawał się porządnie napalony. Informator podejrzewa, że Ravn wyjedzie jeszcze tej nocy.

Miejsce Habera nadal było puste. Wisting rozumiał, że nikt nie opuści stołówki, dopóki technik kryminalistyki nie złoży raportu, i dlatego pozwolił Hammerowi opowiedzieć o swoim spotkaniu z konwojentami. Nadal byli pod silnym wrażeniem tego, co się stało, ale dziwnym zrzędzeniem losu ten, którego sprawcy postrzelili, był w dużo lepszej formie od tego, który nie odniósł obrażeń fizycznych. Może dlatego, że nie musiał przyglądać się bezradnie, jak pastwią się nad jego kumplem.

W końcu zjawił się Haber. Komisarz czuł, że serce zaczyna mu bić szybciej na myśl o śladach technicznych, o których zaraz usłyszy, a które mogą mieć istotne znaczenie dla wyjaśnienia sprawy.

– Przepraszam za spóźnienie. Awaria papieru.

Usprawiedliwił się, ale widać było wyraźnie, że cieszyło go to, że tak długo trzymał ich w niepewności. Usiadł wygodnie i z namaszczeniem włożył okulary do czytania, zanim przeszedł do rzeczy.

– Zacznę od wstępnego protokołu posekcyjnego. On jest chyba najbardziej

sensacyjny.

– Sensacyjny? – powtórzył policyjny adwokat.

– Tak. Preben Pramm nie został zamordowany, w każdym razie nie umyślnie.

– Dla mnie to wyglądało na zabójstwo z premedytacją – wtrącił Hammer.

– Zmarł na atak serca – wyjaśnił Haber i spojrzął na śledczych znad stosu dokumentów. – Przyczyna śmierci jest jednoznaczna. Atak serca został z pewnością wywołany stresem i obrażeniami, jakich doznał.

– Innymi słowy, przestraszył się na śmierć – skomentował Mortensen.

– Stwierdzono wgniecenia w czaszce, złamanie kości czołowej i liczne drobne złamania wokół oczodołów – ciągnął Haber. – Złamanie kości gnykowej i trzech żeber, poza tym liczne krwawienia wewnętrzne. Skrzepy krwi wokół nadgarstków i kostek u nóg. Większość obrażeń została spowodowana tępym, ciężkim narzędziem. Stwierdzono także mniejsze krwawienia, zwłaszcza wokół dolnej części kręgosłupa, które mogły powstać w wyniku użycia lżejszego narzędzia, na przykład bicia lub czegoś podobnego. Do złamania kości gnykowej doszło z powodu urazu gardła, ale ofiara nie była duszona. Palce zostały odcięte *post mortem*.

– Czy w protokole jest mowa o czasie zgonu? – spytał Wisting.

– Tylko tyle, że „na podstawie oględzin zwłok nie można wykluczyć, że zgon nastąpił 23 lub 24 czerwca 2002 roku”.

– Czyli właściwie powtórzyli to, co już wiedzieliśmy.

– Wygląda na to, że tortury nic nie dały – stwierdziła Torunn Borg. – Pramm zmarł, zanim z nim skończyli.

– Ciekawe, czy chodziło im o te klucze, które znaleźliśmy – powiedział Angell w zamyśleniu.

– Pytanie brzmi, do czego pasują. – Wisting przeniósł spojrzenie na Mortensena. – Dowiedziałaś się czegoś?

– Nie. Pramm nie miał ani domku letniskowego, ani przyczepy kempingowej. Obdzwońłem wszystkich, którzy wynajmują magazyny, to znaczy wszystkich tych, którzy przyszli nam do głowy, ale jak dotąd nic to nie dało.

Kontakt z Norweskim Totalizatorem Sportowym w Hamar również nie przyniósł efektu. Od pół roku w południowym Vestfold nie padła główna wygrana. Najwyższa niepodjęta kwota wynosiła sześć tysięcy czterysta

pięćdziesiąt trzy korony.

– A co z aptekami? Zdobyliście wykaz leków wydanych Prammowi?

– Jeszcze nie, w każdym razie oficjalnie – ciągnął Mortensen. – Potrzebujemy orzeczenia sądu. Vetti przesłał już papiery do sądu rejonowego, który obiecał wydać orzeczenie jeszcze dzisiaj. Ale moja ciotka pracuje w aptece w Larviku. Potwierdziła, że Pramm co tydzień wykupywał u nich flunitrazepam i diazepam.

Wisting zanotował coś w swoim żółtym notesie i spojrzał znowu na Habera.

– Widzę, że masz więcej dokumentów. Przez telefon wspominałeś o odciskach palców.

– Tak – potwierdził Haber i zrobił zadowoloną minę, wertując kartki. Był wdzięczny, że znowu dopuszczono go do głosu. – Ekspertyza nie jest jeszcze gotowa. Na miejscu zdarzenia zabezpieczyliśmy sto czterdzieści siedem odcisków palców. To, co możemy już powiedzieć, to że należą do co najmniej dwóch różnych osób, ponieważ w jednym przypadku chodzi o wzór łukowy, a w drugim wirowy. Wiele z nich należy do Prebena Pramma, ale udało nam się ustalić, że trzy należą do kobiety, niejakiej Silje Holte. Mamy ją w bazie. Dwa odciski zdjęliśmy w kuchni, a jeden w sypialni.

– Wiemy, kim ona jest? – spytał Wisting.

– Wiemy, i to dobrze – odparł Hammer, który znał ją z czasów, gdy pracował w grupie antynarkotykowej. Silje Holte pasowała idealnie do opisu podanego przez sąsiadów Pramma i Larsa Thommessa. Właściwie pochodziła z Moss, ale od ośmiu, może dziesięciu lat mieszkała w Larviku. Nie była typem zabójcy, ale jeśli już miałyby kogoś zabić, to byłby to z pewnością jej własny ojciec, który od wczesnego dzieciństwa wykorzystywał ją seksualnie razem z kumplami od kieliszka. Gdy miała piętnaście lat, wyprowadziła się z domu, ale już wtedy od wielu lat uciekała od rzeczywistości, sięgając po alkohol i narkotyki.

– Ale coś tu się jednak nie zgadza – zastanawiał się na głos Hammer. – Kobieta, która odwiedzała Pramma, przedstawiła się jako Mona. Przez cały czas wyobrażałem sobie, że inicjały MH w jego kalendarzu nawiązują do spotkań z tą kobietą. Że ma na nazwisko Halvorsen czy jakoś tak.

– Wydawało mi się, że sugerowałeś, że to krzyżyki oznaczają intymne schadzki? – skomentował Wisting.

– Tak, ale w takim razie mamy o jedną kobietę za dużo. Kim jest MH?

– MH może być właścicielem ostatniego zestawu odcisków palców. To ktoś,

kogo znasz – Haber zwrócił się do komisarza. – Na trzech banknotach wyjętych z gardła Pramma znaleźliśmy odciski Mortena Haslera.

Wisting skinął głową i uśmiechnął się entuzjastycznie, jakby cieszył się ze spotkania ze starym przyjacielem. Dziesięć, dwanaście lat temu Morten Hasler dokonał kilku przestępstw przeciwko mieniu. Na początku lat dziewięćdziesiątych obrabował bar szybkiej obsługi w Sandefjord, grożąc personelowi strzelbą. Odsiedział rok i od tego czasu był kilkakrotnie karany grzywną za drobne paserstwo. Od kilku lat prowadził sklep ze starociami.

– Morten Hasler jest, że się tak wyrażę, mało przyjazny policji. Twierdzi, że go nachodzimy i nękamy za dawne grzechy, chociaż on stara się żyć uczciwie – wyjaśnił komisarz.

– To, że jego odciski zostały znalezione na pieniądzach, nie wiąże go bezpośrednio z miejscem zdarzenia – odezwał się Angell. – Na banknotach jest przecież pełno odcisków palców.

– Owszem, jego adwokat na pewno przyjąłby taką linię obrony – odparł Haber. – I gdyby odcisk Haslera znajdował się tylko na jednym banknocie, zgodziłbym się z tym, ale jego odciski ujawniliśmy na trzech różnych banknotach.

Wisting przytaknął. Zdążył zapisać w swoim notesie „Morten Hasler!!!” i trzykrotnie zakreślić nazwisko.

Na błękitnym letnim niebie widoczna była jedynie biała smuga, którą zostawił za sobą samolot lecący w kierunku Torp. Słońce wisiało nad latarnią morską na Svenner jak kropka nad i. Odbijało się w wodach fiordu, a ten statyczny obraz ożywiały fale utworzone przez stary trójmasztowiec.

– Niech żyje dobre życie^[22] – powiedział Wisting, wznosząc toast filiżanką kawy. To było hasło, które kilka lat temu wprowadził nowy przewodniczący rady gminy. Wtedy Wisting śmiał się z tego sloganu. Nawet więcej: drażniło go, że ktoś mógł uwierzyć, że tych kilka słów na papierze jest w stanie wzmocnić jedność i zwiększyć bezpieczeństwo lokalnej społeczności. A jednak przewodniczący rady i współpracujące z nim biura konsultingowe powoli, lecz skutecznie zdołały uświadomić administracji gminy, że jej głównym zadaniem jest służenie mieszkańcom i że to dla nich została powołana. Dzięki planowym działaniom gmina została w końcu uhonorowana międzynarodowym certyfikatem „bezpieczna społeczność lokalna”. Domyślał się, że władze gminy nie są zachwycone faktem, że zabójcy emeryta wciąż przebywają na wolności.

W myślach układał przebieg rozmowy z Mortenem Haslerem. Przeszkadzał mu w tym jednak widok dwóch młodych mężczyzn stojących na drabinach po obu stronach Storgata. Po dwóch nieudanych próbach udało im się w końcu rozwiesić baner reklamujący „Festiwal w Stavern 26–28 lipca”. Komisarz starał się zebrać myśli, ale bez powodzenia – miał niejasne przeczucie, że coś przeoczył, że nie potrafi powiązać ze sobą pewnych faktów. Jeszcze nie.

Dalsze rozmyślania przerwał mu Hammer, który rzucił się na krzesło z pustym kubkiem po kawie w dłoni.

– Ona też zniknęła.

– Kto?

– Dziwka Pramma – wyjaśnił Hammer. – Silje Holte. Od nocy

świętojańskiej nikt jej nie widział.

– Gdzie ona mieszka?

– Ona jest be-es-zet, bez stałego zameldowania. Pomieszkuje to tu, to tam, u przyjaciół i znajomych. Ale od tygodnia nikt jej nie widział.

– No i?

Wisting napełnił kubek Hammera kawą.

– To nie musi nic oznaczać. W jej środowisku ludziom zdarza się zniknąć na jakiś czas. Może szuka klientów na ulicach Oslo lub innego miasta. Sprawdzę to.

Podniósł się i opuścił gabinet z kubkiem pełnym kawy. Wisting zrozumiał, że Nils nie potrzebował jego rady ani wskazówki, tylko chciał się wygadać.

Tuż po krótkiej wizycie Hammera rozległ się telefon. Mortensen dzwonił ze sklepu Mortena Haslera. Przekonał go, żeby stawił się w komendzie o godzinie siedemnastej.

Wisting czuł wewnętrzny niepokój. Dynamiczne jak dotąd śledztwo nagle zawisło w próżni. Do piątej zostały dwie godziny. W tym czasie zdążyłby pojechać do domu i zamienić z Ingrid kilka słów przy obiedzie. Szybko podjął decyzję, sięgnął po leżące na biurku kluczyki i wyszedł z pokoju.

W volvo było nieznośnie gorąco, a nagrzanе siedzenie paliło go przez cienki materiał spodni. Spojrzał na niebo przez przednią szybę. Ani jednej chmurki. Rekord z 1976 na pewno zostanie pobity, pomyślał.

Pamiętał tamto lato. Właśnie skończył osiemnaście lat i został dumnym właścicielem volvo amazon rocznik 1962. Sześćdziesiąt osiem koni mechanicznych, maksymalna prędkość: sto czterdzieści osiem kilometrów na godzinę. Tego samego lata zaręczył się z Ingrid. To się stało po tym, jak podczepił do volvo przyczepę namiotową dziadka i zabrał Ingrid na wakacje do Danii. Od tamtej pory stary amazon w kolorze przydymionej zieleni był ich wiernym towarzyszem podróży aż do 1983 roku, gdy na świat przyszły bliźnięta i musieli go sprzedać na rzecz volvo kombi.

Cieszył się, że jego samochód miał klimatyzację. Dzięki temu temperatura obniżyła się do akceptowalnego poziomu, gdy skręcił w całkowicie zakorkowaną Prinsegata. Bębniąc palcami w kierownicę, czuł narastającą złość na właściciela auta stojącego przed nim, który umieścił naklejki od służby celnej gdzie popadnie, zamieniając tablicę rejestracyjną w próbnik kolorów. To z kolei przypomniało mu o prowadzonym śledztwie. Informacje w sprawie również nie znajdowały się na swoim miejscu, przez co dochodzenie

nie posuwało się do przodu.

Samochód jadący przed nim był wypełniony po dach bagażem i z pewnością zmierzał w stronę bazy promowej razem z tysiącami innych turystów, którzy utknęli w sieci komunikacyjnej absolutnie nieprzystosowanej do sezonu wakacyjnego. Nagle Wistingowi przyszedł do głowy Jonathan Ravn, który także planował wyjazd do Danii, chociaż on na pewno nie wybierał się tam na urlop. Komisarza irytowało to, że nie mają czasu ani środków, by przyjrzeć się bliżej działalności „turystycznej” Ravna. Postanowił, że jeszcze tego popołudnia albo jutro rano skontaktuje się z urzędem celnym i poprosi, żeby spróbowali go zatrzymać, gdy będzie wracał do Norwegii.

Sznur pojazdów ruszył w tym samym momencie, w którym Wisting przeniósł wzrok na szyld reklamowy ustawiony na chodniku przed Salonem Farb i Wykładzin. Obrazek przedstawiał mały czerwony domek, otoczony drzewami uginającymi się pod naporem silnego wiatru. Z przeszytego błyskawicami nieba lały się strugi deszczu. U dołu reklamy znajdował się napis: „10 litrów impregnatu olejowego Drygolin 698,-”. Policjant skręcił w pierwszą boczną ulicę i zaparkował przed bramą. Ingrid będzie zaskoczona, kiedy zjawię się w domu na obiedzie, pomyślał. A gdybym jeszcze przyniósł wiaderko bejcy, nieźle bym zapunktował.

Gdy dwadzieścia minut później zatrzymał się na podjeździe przed domem na Herman Wildenveys gate, miał nie tylko impregnat do drewna i pędzle, ale także duży pojemnik z aerozolem zawierającym środek na osy.

Nieoczekiwane spotkanie przy obiedzie okazało się dużym sukcesem dla obu stron. Antrykot z solidną porcją sosu bearnieńskiego smakował o wiele lepiej podany prosto z patelni niż odgrzany w mikrofalówce osiem godzin później.

Gdy Ingrid przyniosła półmisek z truskawkami i zajęła się parzeniem kawy, Wisting skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się gniazdu os pod kalenicą z południowej strony domu. Nietrudno je było zlokalizować. Około dziesięciu rozzłoszczonych owadów wyleciało ze szczelin między deskami, gdy Wisting przystawił drabinę do ściany domu, uderzając o nią energicznie.

Z największą ostrożnością zbliżył się do rozwścieczonych przeciwniczek. Te, które wyleciały z gniazda, odpędził kilkoma krótkimi psiknięciami środka owadobójczego. Gdy zniknęły, wsunął dyszę rozpylającą między deski, gdzie, jak przypuszczał, znajdowało się gniazdo, i opróżnił jedną trzecią pojemnika. Przez chwilę nic się nie działo, ale gdy chciał zaaplikować drugą dawkę, nagle wyleciały dziesiątki os. Jeszcze bardziej rozwścieczonych niż te z przedniej

straży. Użycie sprayu na owady przy trzydziestu stopniach Celsjusza okazało się pechowe i dla os, i dla Wistinga. Wypuścił z ręki aerozol i zszedł pospiesznie z drabiny. Gdy już bezpiecznie jadł deser przy stole kuchennym, stwierdził, że wyszedł z tego prawie bez szwanku: z zaledwie jednym uządleniem na prawym nadgarstku.

^[22] Motto gminy Larvik brzmi dokładnie „Tam, gdzie żyje dobre życie” (*Der det gode livet lever*).

Mężczyzna, który siedział po drugiej stronie biurka, wydawał się mniejszy, niż go Wisting zapamiętał, gdy siedzieli tak ostatnim razem, co nie oznaczało, że Morten Hasler był skromnej postury. Mógł mieć nawet sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale przy tym był chudy i drobnokościsty. Poza tym od ich ostatniego spotkania najwyraźniej nie odwiedzał fryzjera, bo jego gęste i rude włosy były związane w koński ogon. Na bladej, usianej piegami twarzy tkwiły okulary z grubymi szklami w masywnych oprawkach, które nie były może zbyt modne, ale idealnie do niego pasowały.

Wygląd Haslera sprawiał, że żaden świadek nie miałby trudności z rozpoznaniem go i właśnie dzięki temu udało się go zatrzymać, gdy jedenaście lat temu napadł na bar szybkiej obsługi przy Hvaltorvet w Sandefjord. Wisting przeleciał w myślach wszystkie zgłoszenia, protokoły rozpoznania posesyjnego i rysopisy osób widzianych w Auserød w weekend, gdy doszło do zabójstwa Prebena Pramma, ale żaden z nich nie pasował do Haslera.

– Jak interesy? – zagadnął komisarz.

– Raz lepiej, raz gorzej – odparł mężczyzna. – Mam nadzieję, że rozumie pan, że nie mogłem wyjść w godzinach otwarcia sklepu. Czerwiec był słaby, więc muszę nadrobić straty.

– Cieszę się, że w ogóle dał pan radę przyjść.

Wisting oczyścił gardło, chrząkając na siłę.

– Tak, ale musicie być naprawdę zdesperowani. Chyba to, co piszą w gazetach, to prawda. Poruszacie się po omacku. W każdym razie ja nie mam nic do powiedzenia. Nie mam pojęcia, kim jest Preben Pramm, a raczej kim był.

Drwina w głosie mężczyzny była aż nazbyt czytelna. Komisarz znowu

odchrząknął i potarł brodę. Obawiał się, że przesłuchanie od początku zmierza w niewłaściwą stronę.

– Może się okazać, że wie pan dużo więcej, niż przypuszcza – powiedział. – Kawy?

– Nie, dziękuję. Nie macie tu herbaty?

– Niestety nie.

Wisting nalał sobie kawy do filiżanki.

– Co to znaczy, że wiem więcej, niż myślę? To brzmi prawie jak obelga, jakbym był głupszy, niż się wydaję.

Szkoda by było, pomyślał Wisting, ale tego nie powiedział. Postanowił przejść od razu do rzeczy.

– Na miejscu zdarzenia ujawniliśmy pańskie odciski palców.

Chudy, drobny mężczyzna zamilkł. Policjant zobaczył, że jego oczy za grubym szkłem okularów zaszyły łzami.

– Może pan to jakoś skomentować?

– To niemożliwe – odpowiedział łamiącym się głosem. Po jego policzku spłynęła pojedyncza łza. – To niemożliwe!

– A jednak.

– To musi być jakiś błąd komputerowy. To niemożliwe – powtórzył i potrząsnął głową.

– Nie mamy żadnych podstaw, by wątpić w wynik ekspertyzy daktyloskopijnej. Na miejscu zbrodni znaleziono trzy odciski palców, które są identyczne z pańskimi.

Morten Hasler zerwał się nagle i z całej siły uderzył obiema dłońmi w blat biurka, przewracając krzesło, na którym siedział. Frustracja przeszła w złość i na Wistinga spadło kilka kropel śliny, gdy chwilę później mężczyzna wydarł się na niego.

– Jesteście, kurwa, desperatami! Jesteście, kurwa, takimi desperatami i tak bardzo boicie się, że nie rozwiążecie tej sprawy, że fabrykujecie dowody. Pasowałbym wam, co? Od ponad dziesięciu lat nękanie mnie, chociaż nic na mnie nie macie. A teraz chcecie upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Morten Hasler pójdzie siedzieć, a policja zachowa twarz dzięki szybkiemu wyjaśnieniu sprawy zabójstwa. Ale tak łatwo wam się to, kurwa, nie uda!

Odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, które tym razem wyjątkowo były zamknięte. Jego reakcja była szczerą i Wisting zrozumiał, że musi powiedzieć coś, co sprawi, że mężczyzna nie opuści komendy bez rozmowy.

– Myślę, że pan go nie zabił – rzucił szybko.

Hasler zatrzymał się z dłonią na klamce.

– To co ja tu robię?

– Przypuszczam, że posiada pan ważne informacje. Mógłby nam pan bardzo pomóc w dalszym śledztwie. Może pan usiądzie i zaczniemy wszystko od początku?

Mężczyzna stał przez chwilę przy drzwiach, a potem odwrócił się, podniósł krzesło z podłogi i znowu usiadł przy biurku naprzeciwko Wistinga.

– Ale to niemożliwe, że znaleźliście moje odciski palców w domu tego zamordowanego mężczyzny. Nie znam go i nigdy tam nie byłem. Poza tym od zeszłego lata nie byłem w Stavern.

– Odciski palców zostały ujawnione na banknotach znajdujących się w domu ofiary. Przypuszczamy, że był pan jedną z ostatnich osób, które miały je w dłoni, zanim trafiły do Pramma.

– To zupełnie co innego. Dlaczego nie powiedział pan tak od razu?

– Przepraszam, jeśli wyraziłem się nieprecyzyjnie lub niezręcznie – odparł Wisting i uśmiechnął się przyjaźnie, usiłując zatrzeć niemile wrażenie. – Prowadzę wyczerpujące śledztwo i jestem bardzo zmęczony. Przepraszam.

– No, już dobrze. Ale nadal uważam, że idziecie fałszywym tropem. Ten cały Pramm nigdy nie był moim klientem. Jestem tego pewny. Widziałem jego zdjęcie w gazecie i mogę stwierdzić z całą stanowczością, że nigdy nie miałem z nim do czynienia. Mam pamięć do twarzy.

– Sądzymy, że to zabójca zostawił pieniądze w domu Pramma, a pan był jedną z osób, które miały je w dłoni, nie licząc sprawcy.

– To nie brzmi zbyt wiarygodnie. Po co zabójca miałby zostawiać pieniądze?

– Taką przyjęliśmy hipotezę.

– Niech będzie. Ale przez moje ręce przewija się dużo pieniędzy.

Zdjął okulary i przetarł je rękawem koszuli, zanim znowu się odezwał.

– Przecież to może być każdy z moich klientów.

– Wielu ich pan ma?

– Tyłu, że wychodzę na swoje.

– Ilu dziennie? Tak przeciętnie?

– Bardzo różnie. – Okulary były wypucowane. Hasler skierował je pod światło i spojrzał na nie, mrużąc oczy. Musiał być zadowolony z efektu, ponieważ włożył je z powrotem na nos. – W dużym stopniu zależy to od pogody. W takie dni jak dziś interes słabo się kręci, ale zwykle przychodzi od

piętnastu do dwudziestu osób.

– Jeden z odcisków palców znajdował się na banknocie tysiąckoronowym. Czy klienci często płacą tak wysokimi nominałami?

– Raczej nie. To oznacza, że musi chodzić o klienta, od którego kupiłem coś używanego, bo przecież nie wydaję nikomu tysiąca koron reszty.

Wisting zaciekawiał się i pochylił do przodu. Że też nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Poczł złość na siebie, bo przecież to było oczywiste.

– Czy mógłby pan zrobić listę klientłw, od których kupił pan jakiś używany przedmiot?

– Mam taką listę. Muszę prowadzić rejestr wszystkiego, co kupuję. Taki jest wymłg koncesji. Wie pan, w tej branży często wypływają przedmioty pochodzące z kradzieży.

Policjant przytaknął. Ogarnęło go dobrze znane uczucie podobne do radości, gdy zrozumiał, że ta rozmowa może przybliżyć ich do wykrycia sprawcy.

– Nie mogę żądać od ludzi okazania dowodu tożsamości – ciągnął Hasler – ale mam przynajmniej ich nazwiska i opis tego, co kupiłem. I za ile.

– Możemy przejrzeć ten rejestr jeszcze dziś wieczorem?

– Oczywiście, chociaż obawiam się, że za bardzo wam to nie pomoże. Nie pamiętam, kiedy ostatnio dałem za coś tysiąc koron.

– I tak chciałbym zobaczyć tę listę – odparł Wisting, podczas gdy Hasler po raz drugi zajął się czyszczeniem okularłw.

– I zobaczy ją pan. Liczę na to, że ktoś stąd zawiezie mnie do domu, żebyśmy mogli po drodze zabrać wykaz.

– Załatwię to – obiecał komisarz. – Czy ostatnio poniłł pan inne duże wydatki? Może kupił pan jakieś drogie sprzęty do domu albo był w restauracji?

– Nie, skąd. Nie mam aż tylu banknotłw tysiąckoronowych, żeby rozdawać je na prawo i lewo. Jeśli moje odciski są na takim banknocie, to musiał on przejść przez młj sklep.

– Szczerze mówiąc, bardzo nam pan pomłgł.

– Jeśli tak, to bardzo mi miłł. Coś jeszcze?

– Tylko kilka krłtkich pytań. Zna pan cudzoziemca o nazwisku Agim Gjikolli?

– Nie.

– A kobietę o nazwisku Silje Holte?

– Wiem, kto to jest.

– Wie pan, gdzie teraz przebywa?
– Nie. Dawno jej nie widziałem. Nie zadaję się już z takimi jak ona.
– Kiedy widział ją pan ostatni raz?
– Oj, to było dość dawno. Przyszła do sklepu zaraz po Wielkanocy i chciała opchnąć jakąś biżuterię. Oczywiście odmówiłem, bo na bank pochodziła z kradzieży.

– W takim razie ostatnie pytanie: gdzie pan był w noc świętojańską?
– Zastanawia się pan, czy mam alibi? Tak się składa, że mam. I to mocne. Byłem na Karistranda razem z sąsiadami, przyjaciółmi i znajomymi. Jestem członkiem zarządu spółdzielni mieszkaniowej i byłem odpowiedzialny za rozpalenie ogniska o dwudziestą drugą. Spędziłem tam cały wieczór i opuściłem plażę jako ostatni. Musiałem się upewnić, że ognisko zostało porządnie dogaszone i że zostawiamy po sobie porządek.

Wisting wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział. – Mortensen odwiezie pana do domu i zabierze rejestr.

Morten Hasler uściskał dłoń komisarza. Chudy mężczyzna miał spocone ręce.

– Mam nadzieję, że ci złodzieje, którzy obrabowali konwój, również szybko wpadną – dodał. – Mam przez nich same straty i mnóstwo kłopotów.

– Jak to?

– We wrzutni nocnej na rynku trzymałem utarg z całego tygodnia, który zniknął razem ze złodziejami.

– Ale przecież odzyska pan pieniądze z ubezpieczenia firmy zajmującej się konwojem mienia?

– Tak, ale to długa trwa, wie pan. A ja mam przecież stałe wydatki. Latem obroty są niższe, więc jest dość ciężko.

– Miejmy nadzieję, że sprawa nabierze tempa – skomentował Wisting z uśmiechem zadowolenia, który nie był jednak adresowany do Mortena Haslera, lecz do samego siebie. – Chociaż sądzę, że w tym momencie jesteśmy znacznie bliżsi ujęcia zabójców niż złodziei.

21

Wisting siedział przy biurku pochylony nad ewidencją transakcji „Laurvig Starocie i Antyki”. Borg i Mortensen wisieli nad nim i czytali mu przez ramię, gdy przekartkował rejestr, zaczynając od końca. Kładąc go na biurku, Mortensen nie wiedział, po co go przywiózł, i dopiero rozmowa z komisarzem uświadomiła mu, dlaczego ten wykaz jest tak ważny. Młody policjant był wyraźnie zirytowany. Gdyby wiedział, o co chodzi, zajrzałby do niego ukradkiem w drodze do komendy.

Lektura była przygnębiająca. Morten Hasler miał rację. Największy wydatek, jaki poniósł w ostatnim miesiącu, to siedemset pięćdziesiąt koron za „zabytkowe lustro z rzeźbieniami – w dobrym stanie”. Hasler nabył je praktycznie za bezcen. Komisarz domyślił się, że mężczyzna odsprzedał lustro za dziesięciokrotność pierwotnej ceny. Kilka lat temu Wisting sam zapłacił pięć tysięcy za lustro w rzeźbionej ramie, które wypatrzyli z Ingrid na licytacji.

Musiał cofnąć się aż do zeszłej jesieni, żeby znaleźć kwotę czterocyfrową. Wtedy Hasler zapłacił tysiąc pięćset koron za „zabytkową komodę apteczną malowaną w róże – w dobrym stanie”. Również na niej Hasler z pewnością nieźle się obłowił.

Ostatnie strony w rejestrze zawierały szereg drobnych zakupów. Srebra, ozdoby, porcelana, obrazy i lampy, które zmieniały właściciela za kilkaset koron. Wisting rozpoznał wiele nazwisk zapisanych w rubryce „sprzedający”, ale żadne z nich nie wzbudziło jego zainteresowania.

Poczuł frustrację. Jeszcze niedawno miał wrażenie, że zbliżają się do rozwiązania zagadki. Że niedługo znajdą decydujący element układanki. Zamiast tego znowu walili głową w mur.

– Jutro sprawdzisz alibi Haslera – zwrócił się do Borg. – Twierdzi, że w noc

zabójstwa pilnował ogniska świętojańskiego na Karistranda. Porozmawiaj z przewodniczącym spółdzielni mieszkaniowej. Na pewno brał udział w tej imprezie i może potwierdzić lub podważyć wyjaśnienia Haslera.

Atmosfera poprawiła się nieco, gdy do gabinetu wszedł Hammer. Był spocony i ciężko oddychał. Osunął się na wolne krzesło.

– Znalazłem ją – oznajmił i uśmiechnął się szeroko.

– Masz na myśli Silje Holte? – spytał Wisting, rozmasowując nadgarstek, na którym ślad po użądleniu osy zdążył w ciągu zaledwie trzech godzin zamienić się w swędzący wrzód.

– Tak. Śmieszna sprawa. Od 20 czerwca siedzi w zakładzie karnym w Skien za niezapłacone grzywny.

– Przynajmniej ma alibi – skwitował szybko Mortensen.

– Tak, ale nie wiem, czy powinniśmy się z tego cieszyć. To oznacza, że może nic nie wiedzieć o samym zabójstwie.

– Umówiłeś nas? – spytał podekscytowany Wisting. Wiadomość była dla niego jak wiatr w żagle.

– Nie. Pomyślałem, że podjadę tam i zabiorę ją jutro rano.

Po wyjściu kolegów komisarz nalał sobie kawy. Nie wiedział, która to już filiżanka tego dnia. Wiele lat temu przestał je liczyć. W końcu miał prawo do jakichś niezdrowych nawyków. Nigdy nie palił, a obowiązki zawodowe zwykle uniemożliwiały spożywanie alkoholu w czasie wolnym od pracy. Wyrabiając pięćset nadgodzin w roku, nieczęsto mógł sobie pozwolić na wypicie piwa.

Stał z filiżanką w dłoni i delektował się panoramą, która roztaczała się z okna gabinetu. Na lewo znajdował się Tollerodden^[23] z parkiem i domem rodzinnym Colina Archera, który sto lat temu wybudował i zwodował tutaj ponad dwieście żaglowych statków ratunkowych, łodzi pilotowych i jachtów. Również na Tollerodden założyciel miasta, hrabia Ulrik Fredrik Gyldenløve, ponad trzysta lat temu postawił kościół, w którym Wisting wziął ślub. Niedaleko kościoła mieściło się Muzeum Morskie z pomnikiem wzniesionym na cześć przodka komisarza, Oscara Wistinga^[24], najbliższego współpracownika i towarzysza podróży Roalda Amundsena.

Tuż przed nim ciągnął się fiord, a latarnia morska na Stavernsodden odznaczała się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Obecnie na wyspie znajdował się ośrodek wypoczynkowy dla pracowników Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Wisting zawsze wspominał o tym mimochodem, kiedy

chwalił się Stavern i słonecznym wybrzeżem Vestfold. Meteorolodzy wiedzieli, gdzie dobrze jest spędzać wakacje.

Sledził wzrokiem stado mew, które zawisło w ciepłym powietrzu nad dworcem kolejowym. Ptaki, wypatrujące szybkiego posiłku w postaci niedojedzonego pieczonego ziemniaka z baru „U Torego” na Storgata albo zapomnianego na przystani promowej koszyczka z truskawkami, przywiodły mu na myśl Prebena Pramma. W mieście, które rozciągało się przed nim, mieszkało czterdzieści tysięcy ludzi. W ciągu letnich miesięcy liczba ta podwajała się za sprawą turystów, właścicieli domków letniskowych i zbieraczy truskawek z Europy Wschodniej. Gdzieś tam grasowało również dwóch zabójców. Dwóch mężczyzn, którzy torturowali starego samotnego człowieka tak, że zmarł z bólu i przerażenia. Co pchnęło ich do tego czynu? Dlaczego Pramm musiał umrzeć? Co takiego zrobił lub wiedział?

Komisarz wzdrygnął się na myśl o tym, że morderca wciąż pozostaje nieuchwytny. Bez względu na to, co o przyczynie śmierci mówili patomorfologowie i Finn Haber, nie było żadnych wątpliwości, że sprawca lub sprawcy, którzy przywiązali Pramma do kanapy i stosowali wobec niego tortury, byli odpowiedzialni za jego śmierć. Chwilowo policjanci nie znali ich tożsamości ani miejsca pobytu, ale wszczęto już poszukiwania i przewaga zabójców Pramma malała z każdą godziną. Wisting czuł się jak łowca ludzi i wiedział, że skoro zdobycz, którą ścigał, popełniła najpoważniejsze ze wszystkich przestępstw, posunie się do wszystkiego, żeby tylko nie dać się złapać. Zapowiadał się wyjątkowo intensywny i ekscytujący pościg. Komisarz nie pamiętał, kiedy ostatnio prowadził tak emocjonujące dochodzenie.

Uządlenie sprawiało coraz większy ból. Wisting usiadł z powrotem za biurkiem. Żałował, że nie posłuchał rady Ingrid i nie przyłożył do bolącego miejsca kostki cukru nasączonej octem. Postawił filiżankę z kawą na wolnym skrawku biurka i mimowolnie spojrział na ewidencję transakcji dokonanych w sklepie Haslera. Po prawej stronie znajdowała się kolumna, w której właściciel musiał potwierdzić podpisem każdy zakup. W każdej linijce były wpisane inicjały Mortena Haslera.

Wisting narysował na kartce kolejne duże kółko. W środku napisał „MH” i postawił duży znak zapytania. Mokre od łez oczy zwykle nie zbijały go z tropu. Widział to już wiele razy, ale teraz zastanawiał się, czy przypadkiem Morten Hasler nie wywiódł go w pole. Jego reakcja wydawała się szczerą i spontaniczną, a jednak komisarzowi coś się nie zgadzało. Hasler na pewno

odegrał jakąś rolę w sprawie, chociaż sam być może sobie tego nie uświadamiał.

^[23] Tollerodden – dawne miejsce handlu w Larviku.

^[24] Oscar Wisting (1871–1936) – norweski wojskowy i polarnik; uczestnik ekspedycji Roalda Amundsena na biegun południowy z lat 1910–1912.

Przez resztę wieczoru Wisting zapoznawał się z nowymi dokumentami. Przesłuchano w sumie jedenastu członków Klubu Tanga z Larviku, ale nie wnieśli oni nic nowego. Nie zdziwiło go to. Od początku czuł, że ten trop nie doprowadzi ich do rozwiązania zagadki. Taniec stanowił jednak część życia Pramma i dlatego musieli zbadać również ten wątek.

Potem przejrzał protokół przesłuchania Knuta Seljesætera, ale nie znalazł w nim nic ponad to, co dała mu nieformalna rozmowa z sąsiadem Pramma.

Spostrzeżenia listonosza pracującego w tamtym rejonie pokrywały się z obrazem Prebena Pramma, jaki wyłaniał się ze zgromadzonego dotychczas materiału dochodzeniowego. Listonosz miał okazję przywitać się z Prammem zaledwie kilka razy, a mimo to udzielił cennych informacji na jego temat. Mniej więcej raz w tygodniu wrzucał mu do skrzynki nowe wezwanie do zapłaty. Od czasu do czasu przychodził list z kancelarii komorniczej w Larviku. W ciągu tygodnia, w którym Pramm leżał martwy w swoim domu, przyszły kolejne ponaglenia dotyczące niezapłaconych rachunków. Kilka razy w miesiącu otrzymywał anonimowe szare koperty. Nietrudno było odgadnąć, że w środku znajdowały się czasopisma pornograficzne, takie jak „Cocktail” i „Lek”, które wysyłano abonentom w ten dyskretny sposób. Czasem przychodziły również paczki. Listonosz wiedział z doświadczenia, że zawierały one filmy pornograficzne. Nic nie wskazywało na to, żeby rencista dysponował dużymi pieniędzmi. Wręcz przeciwnie: z relacji pracownika poczty wynikało, że sytuacja finansowa Pramma była dość nieciekawa.

Przesłuchano również fryzjera, u którego emeryt zjawiał się regularnie od dwudziestu lat. Mniej więcej co trzy miesiące przychodził się ostrzyc. Z czasem wizyty stały się coraz krótsze, ponieważ Pramm miał coraz mniej włosów na głowie. Rozmawiali o wszystkim i o niczym i fryzjer zwykle

puszczał jego słowa mimo uszu, ale ostatnia rozmowa wyraźnie różniła się od pozostałych. Emeryt oświadczył, że wyjeżdża za granicę i że ma wiele planów. Wybierał się na Jutlandię, żeby fotografować bociany i inne rzadkie ptaki, które zamieszkiwały fantastyczne duńskie mokradła. Potem planował podróż do Tajlandii. Żeby podtrzymać rozmowę, fryzjer spytał, jakie gatunki ptaków żyją w Tajlandii i czy to nie będzie droga eskapada. Pramm zaśmiał się tylko i powiedział, że niedługo będzie go na to stać.

Również tego dnia Wisting wrócił do domu krótko przed północą. Usiadł sam przy kuchennym stole i zjadł resztki z obiadu, a potem zajrzał do pokoju Thomasa. Tak jak się tego spodziewał, łóżko było puste. Syn bawił się w mieście razem z przyjaciółmi. Idąc do sypialni, Wisting postanowił, że następnego dnia porozmawia z synem o kupnie samochodu.

Ingrid leżała w dusznej sypialni, ciężko oddychając. Kołdra leżała na podłodze obok. Znowu ogarnęły go wyrzuty sumienia. Zastanawiał się, ile razy i od ilu lat praca kradła czas jemu i jego rodzinie. Zawsze wyskakiwała jakaś nagła sprawa, narada lub przesłuchanie, które zatrzymywały go w komendzie. Ale nawet kiedy ciałem był w domu, jego myśli krążyły nieustannie wokół prowadzonego właśnie śledztwa.

Nigdy nie przyznałby się do tego, że ich małżeństwo cierpiało z powodu jego pracy. Przez pierwsze lata żyło im się wspaniale. Ingrid uważała, że to ekscytujące mieć za męża policjanta, któremu przydzielano jedną dużą sprawę kryminalną za drugą. Z czasem jej entuzjazm osłabł, ponieważ w centrum uwagi znalazły się dzieci. Jemu samemu praca w policji nigdy nie spowszedniała, nadal wydawała mu się fascynująca i dawał się porwać każdej nowej sprawie, którą prowadził. W ostatnich latach uświadomił sobie jednak, że bardzo dużo mu umknęło. Bliźniaki skończyły szkołę średnią i zaczęły wspominać o wyprowadzce z domu. Przerażała go ta myśl, nie dopuszczał jej do siebie, ale Ingrid najwyraźniej podchodziła do tego zupełnie inaczej. Nareszcie spędzimy trochę czasu tylko we dwoje, powiedziała, gdy pewnego wieczoru rozmawiali o tym w łóżku. Wtedy dotarło do niego, jak wiele poświęciła ze swojego życia. Tamtego wieczoru dał słowo, że weźmie się w garść i będzie spędzał więcej czasu w domu z Ingrid i dziećmi, ale to postanowienie okazało się tyle samo warte, co niezliczone obietnice składane samemu sobie, że zrzuci zbędne kilogramy. Może to jest dziedziczne?, pocieszał się, myśląc o swoim wybitnym przodku, Oscarze Wistingu, który całymi latami przebywał z dala od żony i siedmiorga dzieci. Gdy niemal sto

lat temu zmierzał w kierunku bieguna południowego, został ojcem bliźniąt – dwóch chłopców. Zanim zdążył wrócić do domu, obaj chłopcy zmarli na odrę.

Ostrożnie przykrył Ingrid kołdrą. Uświadomił sobie, że podziwia swoją żonę i że nie byłby w stanie funkcjonować przy boku innej kobiety. Żadna inna nie wytrzymałaby z mężem, którego wiecznie nie ma i który niewystarczająco wspiera swoją rodzinę.

Czerwone cyfry na radiobudziku wskazywały godzinę 02:17, gdy zadzwonił telefon. Chociaż spał niecałe dwie godziny, zerwał się z łóżka. Wiedział, że nocny telefon oznacza jakieś wyjątkowo dramatyczne zdarzenie związane z pracą. Podnosząc słuchawkę, czuł, że serce mu wali.

– Spałeś? – spytał David Enge.

– Głupie pytanie! Co się dzieje?

– Pali się dom, w którym doszło do zabójstwa – wyjaśnił. – Auserødsvingen 11 stoi w płomieniach. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Co ty mówisz?

– Pali się dom Prebena Prammas.

– Cholera jasna! Kiedy zgłoszono pożar?

– Siedem minut temu. Patrol właśnie dotarł na miejsce.

Zanim Wisting dojechał na Auserødsvingen, zrozumiał, że chodzi o potężny pożar. Nad dzielnicą unosiła się pomarańczowa łuna, a w stronę bezchmurnego nocnego nieba leciały czarne i gęste kłęby dymu.

Ostatnie pięćdziesiąt metrów musiał przejść pieszo, ponieważ ulicę blokowały wozy straży pożarnej z włączonym niebieskim światłem błyskowym. Gdy zbliżył się do żywopłotu przed posesją Prammas, zawalił się dach i w niebo wystrzeliły gwałtownie snopy iskier. Kilka z nich trafiło w świerk na tyłach ogrodu, który zaskwierczał, gdy przypiekły się igły na najbardziej wystających gałęziach.

Pożar miał w sobie coś ekscytującego. Coś dzikiego i niekontrolowanego, co rozniecało w nim wewnętrzny płomień. Z szacunku dla ofiar, które często traciły w pożarze cały swój dobytek, nigdy nikomu nie wspomniał, że fascynują go języki ognia, ale mimo to uważał, że widok niszczycielskiego żywiołu zapiera dech w piersiach. Jego własne odczucia przerażały go, ponieważ podobnych doznawali zwykle piromani.

Zrezygnowany pokręcił głową, starając się otrzeźwić umysł. Jeśli tajemnica Prebena Prammas nadal znajdowała się wewnątrz domu, najprawdopodobniej nigdy jej nie poznają. Wyglądało na to, że budynek spłonął doszczętnie.

Komisarz ogromnie żałował, że nie oddelegował jednego albo dwóch policjantów do pilnowania miejsca zbrodni.

Podszedł do niego strażak w białej pelerynie i żółtym hełmie.

– Zanim przyjechaliśmy, pożar ogarnął cały dom – zawołał, przekrzykując warkot wozów strażackich.

– Gdzie wybuchł? – spytał komisarz.

– Wszędzie, w każdym razie w wielu miejscach. Jestem prawie pewny, że to podpalenie – odparł dowódca zastępu i pobiegł dalej, żeby wydać nowe rozkazy strażakom walczącym z płomieniami.

Na ulicy zebrała się spora grupa sąsiadów i przypadkowych gapiów. Wisting przyjrzał im się badawczo. Kiedyś prowadził śledztwo w sprawie serii podpaień. Sprawca został w końcu ujęty w tłumie ludzi, którzy obserwowali, jak pali się dom na Langestrand. Śledztwo wykazało, że piroman przyglądał się wszystkim akcjom gaszenia pożarów, które sam spowodował.

Wśród gapiów na Auserødsvingen Wisting rozpoznał Franka i Ninę Omholtów, którzy wycofali się, gdy nawiązał z nimi kontakt wzrokowy. Najwyraźniej nie mieli ochoty z nim rozmawiać. Nieco dalej stał Knut Seljesæter, który przywołał go do siebie przyjaznym skinieniem głowy.

– Jak tam dochodzenie? – spytał.

– Sądzę, że zrobiliśmy duży postęp, ale to nie było nam potrzebne – odpowiedział, wskazując głową na palący się dom.

– Nie. Tym razem to również ja zadzwoniłem pod numer alarmowy.

– Jak zauważył pan ogień?

– Usłyszałem głośny huk – wyjaśnił stary mężczyzna i zamachał rękami, chcąc zilustrować potężny wybuch. Jednocześnie odchylił tułów do tyłu, żeby uniknąć obrażeń w wyniku udawanej eksplozji. – Gdy wyjrzałem na zewnątrz, okna stały w płomieniach.

– Które okna?

– Wszystkie. W każdym razie na parterze.

– Widział pan coś jeszcze? Jakichś ludzi?

– Nie, nikogo. Pobiegłem do telefonu i natychmiast zadzwoniłem po straż pożarną. Gdy znowu podszedłem do okna, na ulicy zebrali się gapie. Między innymi Frank i Nina.

– I nie widział pan żadnego odjeżdżającego samochodu?

– Nie. Wygląda na to, że myślimy o tym samym.

– Możliwe. A o czym pan myśli?

– Że ktoś celowo podłożył ogień.

Wisting zgadzał się z wnioskiem dowódcy straży i Knuta Seljesætera. Na pewno doszło do podpalenia. Nie dostrzegał żadnych innych naturalnych przyczyn pożaru. Poprzedniego dnia to on ostatni opuszczał dom Pramma. Żadne urządzenia elektryczne nie były podłączone do prądu, nie było tam również żadnych otwartych źródeł ognia ani żarzących się niedopałków papierosów. Komisarz zerknął na zegarek. Było wpół do trzeciej nad ranem. Tym razem zabójcy mieli nad nimi tylko pół godziny przewagi.

Wisting opuścił pogorzelnisko o szóstej rano po tym, jak napił się kawy z Knutem Seljesæterem przy jego kuchennym stole. Zgliszcza jeszcze się tliły, ale nie było już wątpliwości, że pożar strawił wszystko. Komisarz rozważał, czy nie pojechać do domu i położyć się spać na godzinę, ale rozmyślił się i ruszył prosto do komendy. Szybko pożałował, że nie zahaczył o dom, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. To, które miał na sobie, wydzielało kwaśną woń dymu.

O siódmej w kilkuminutowych odstępach zjawili się Mortensen, Angell, Haber i Borg. Wisting musiał cztery razy wyjaśniać, dlaczego jego ubranie pachnie dymem. Czekał na Hammera, zebrali się w stołówce wokół dzbanka z kawą i półmiska z wczorajszymi bułkami. Panował przygnębiający nastrój. Powinni byli przewidzieć, że zabójca wróci na miejsce zbrodni. Dopóki zagadka Prebena Pramma nie została rozwiązana, powinni prowadzić obserwację jego domu.

Za kwadrans ósma zadzwonił Hammer.

– W lokalnych wiadomościach mówili, że w Stavern wybuchł w nocy pożar. Mam nadzieję, że nie tam, gdzie myślę.

– Niestety – odparł Wisting.

– O, cholera jasna!

– A gdzie ty jesteś? Zaspaleś?

– Nie. Jadę z więzienia w Skien. Wiozę Silje Holte. Idziemy prosto do pokoju przesłuchań.

Wisting i Borg z podekscytowaniem spoglądali przez szybę oddzielającą oba pomieszczenia. Po drugiej stronie lustra weneckiego siedzieli Nils Hammer i Silje Holte. Ktoś postawił na stole przed kobietą pustą popielniczkę i półlitrową butelkę coli. Po przeciwnej stronie blatu stał kubek z kawą.

Kubek był zwrócony tekstem do młodej kobiety, jakby od początku miał rozwiewać wątpliwości, kto z tej bitwy na słowa wróci z tarczą, a kto na tarczy: „Nils znaczy zwycięzca”.

Przesłuchiwana miała dwadzieścia dziewięć lat. Chociaż widać było po niej, że przez pół życia stosowała środki odurzające, nadal była piękna. Pofalowane włosy koloru jasny blond sięgały jej do połowy pleców. Nosiła obcisłe dzinsy i biały T-shirt, który uwydatniał szczupłe, jędrne ciało. Jej cera była brązowa i gładka. Intensywnie niebieskie oczy podkreślał delikatny makijaż. Najwyraźniej pobyt za murami więzienia dał jej okazję do tego, by pomyśleć trochę o swoim wyglądzie. Wisting był zaskoczony jej urodą. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie narkomankę, która dorastała przy ojcu alkoholiku, była wykorzystywana seksualnie i zanim skończyła trzydzieści lat, zarabiała na życie i dzienną dawkę heroiny, sprzedając swoje ciało emerytom. Należało mieć tylko nadzieję, że Hammer znowu się nie zakocha.

Gdy rozpoczęło się przesłuchanie, zegar na ścianie spartańsko urządzonego pokoju przesłuchań wskazywał godzinę 8:25.

– Skąd znałaś Prebena Pramma? – zaczął Hammer.

– Nie znam żadnego Prebena Pramma – odparła kobieta.

– Znasz mnie, Silje?

Skinęła głową, nie patrząc mu w oczy.

– Wiesz, że nie pytałbym, gdybym nie wiedział, że go znałaś.

– Wiem, kim jest – potwierdziła, starając się zatrzeć złe wrażenie – ale nie mogę powiedzieć, że go znam.

– Wiesz, że nie żyje?

– Tak, mówili o tym w TV-Vestfold, ale nie mam z tym nic wspólnego. – Założyła nogę na nogę i skrzyżowała ręce na piersiach w triumfalnym geście. – Siedziałam w pudle, gdy to się stało.

– Wiem o tym. Możesz mi powiedzieć, skąd wiesz, kim był Pramm?

– Po prostu wiem.

Hammer odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę. Odetchnął ciężko. Językiem ciała dawał do zrozumienia, że męczy go wyciąganie zeznań zdanie po zdaniu.

– Silje – powiedział, robiąc poważną minę. – Chodzi o zabójstwo. To ważne, żebyś odpowiedziała na wszystkie moje pytania najlepiej, jak potrafisz. Zanim udzielisz odpowiedzi, dobrze się zastanów. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Jeśli czegoś nie jesteś pewna, to mów wprost, że nie masz

pewności. Niczego nie zatajaj. Preben Pramm został zamordowany i nad tą sprawą teraz pracujemy. Nie pozwól, żeby twoja drobna działalność kryminalna przeszkodziła ci w złożeniu obszernych wyjaśnień. Nie przyczepię się do kupowania i stosowania lekarstw ani żadnych innych drobiazgów, które łączyły cię z Prammem. Rozumiesz?

Znowu skinęła głową. Zdjęła nogę z nogi i jednocześnie opuściła ręce na kolana.

– Zaczniemy od początku? – spytał. Tym razem to on skrzyżował ręce na piersiach.

– A możemy zacząć od papierosa?

– Możemy – odparł i wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów przeznaczoną dla osób, które były przesłuchiwane. Wyjęła jednego i zaciągnęła się głęboko, gdy podał jej ogień.

– Kiedy spotkałaś go po raz pierwszy?

– Nie pamiętam dokładnie. Jakiś czas temu.

– Mówimy o miesiącach czy latach?

– Latach. To było dwa, trzy lata temu.

– Zastanów się! – Policjant znowu przechylił się do przodu. – Gdzie i kiedy po raz pierwszy spotkałaś Prebena Pramma?

Dała sobie czas do namysłu. Zaciągnęła się mocno dwa razy, zanim odpowiedziała.

– W pubie hotelu Wassilioff, w „Tatjanie”. To było latem dwa lata temu. Usiedliśmy przy tym samym stoliku i zaczęliśmy rozmawiać. Postawił mi kilka piw. Potem spotykałam go tam wielokrotnie.

Wisting stał za szklaną ścianą i kiwał głową z uznaniem. Facet ma talent, pomyślał. Wiedział, jakie pytanie sam by zadał, gdyby to on siedział teraz naprzeciwko Silje Holte. Spytałby, kiedy widziała Prebena Pramma po raz ostatni, natomiast Hammer nadał przesłuchaniu zupełnie inny kierunek.

– W takim razie na pewno znasz również młodą kobietę o imieniu Mona?

Komisarz uznał, że to pytanie padło zbyt szybko. Hammer był zbyt niecierpliwy albo miał własną teorię, którą nie podzielił się z resztą zespołu.

– Zupełnie nie rozumiem, po co tu jestem – odparła po chwili Silje, wydymając wargi, po czym wypuściła kłęb dymu w stronę sufitu. – I tak już o wszystkim wiecie. Gdy po raz pierwszy go spotkałam, przedstawiłam się jako Mona Hansen. To był taki nagły impuls. I teraz, gdy usłyszałam, że nie żyje, ucieszyłam się, że nie podałam mu prawdziwego nazwiska. Pomyślałam,

że nie zostaną zamieszana w coś, z czym nie mam nic wspólnego. Ale wy jesteście tak cholernie bystrzy, że nic się przed wami nie ukryje.

Hammer spojrzał na szybę w ścianie z triumfującym uśmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że ty i Mona Hansen, przyjaciółka Prebena Pramma, to jedna i ta sama osoba?

To nie zabrzmiało jak pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

– Tak.

– Kiedy widziałaś go ostatni raz? – policjant zadał pytanie, na które czekał Wisting.

Kobieta znów namyślała się przez chwilę, zaciągając się dwukrotnie papierosem.

– Osiemnastego czerwca.

– Jesteś pewna? – spytał Hammer i wyjął pudełko ze snusem.

– Tak. To było dwa dni przed moją odsiadką.

– Gdzie go widziałaś?

– W jego domu.

– Co tam robiłaś?

Policjant siedział ze wzrokiem utkwionym w swoje palce, którymi toczył kulkę ze snusu. Wisting domyślił się, że Hammer wolał nie patrzeć kobiecie prosto w oczy, zadając pytanie, które mogła uznać za krępujące.

– Sprzątałam mu mieszkanie. Robiłam to regularnie raz w tygodniu. W każdym razie takie było założenie, ale różnie z tym bywało. Czasem robiłam inne rzeczy.

– W jaki sposób ten plan wszedł w życie?

– Siedzieliśmy w pubie i rozmawialiśmy. Narzekał, że bolą go mięśnie i stawy i ma problemy z utrzymaniem porządku w domu. Zaproponowałam, że mu pomogę.

– Czy pomagałaś Prammowi w jakiś inny sposób?

Hammer zaczął upychać tytoń pod górną wargę, jakby chciał odwrócić uwagę od pytania.

– To znaczy?

– Będę z tobą szczery i powiem wprost – odparł – więc się nie obraż.

– Tak?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. Sama powiedziałaś, że i tak nic się przed nami nie ukryje. Mamy informacje, że świadczyłaś mu usługi seksualne, za które płacił ci między innymi lekami na receptę.

Nastąpiła kolejna długa pauza. W końcu Silje Holte wypuściła dym w górę i odpowiedziała:

– Tak, to prawda. Ale uprawianie seksu nie jest zabronione!

– Nie, nie jest. Jak już powiedziałem: chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o Prebenie Prammie. Ważne, żebyś była z nami szczerą. Na popełnione przez ciebie przestępstwa będziemy patrzeć przez palce. Rozumiesz? Zgadzasz się w tym punkcie?

– W porządku.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie Preben Pramm?

Odchyliła głowę do tyłu, utkwiała wzrok w suficie i opuściła dłoń, w której trzymała papierosa.

– Biedny człowiek – stwierdziła w końcu i zaciągnęła się głęboko, jakby chciała podziękować samej sobie za odpowiedź, którą wykoncypowała. – Pewnie myślałeś, że nazwę go starą świnia, ale on taki nie był. Był miły i szarmancki. Prawdziwy gentleman. Wodził tylko wzrokiem za moim tyłkiem. Nigdy nie posunął się do niczego więcej.

– Ale zdaje się, że nawiązaliście jednak pewną relację?

– Wiem, jacy są starzy mężczyźni i czego chcą – odparła. – Próbował ukryć przede mną filmy i czasopisma pornograficzne, ale znalazłam je, sprzątajac mieszkanie.

Śledczy milczał, czekając, aż kobieta rozwinie wątek.

– Wiedziałam, czego potrzebuje – mówiła dalej – więc spytałam go prosto z mostu, czy nie wolałby trochę *action* zamiast przeglądać te swoje świerszczyki. W końcu zarobiłabym na tym więcej niż na sprzątaniu.

– Pramm dobrze płacił?

– Najważniejsze, że płacił, a szybko się z tym uwijałam, więc to były łatwo zarobione pieniądze.

– Taką mieliście umowę? – drążył temat Hammer.

– Mniej więcej. Raz w tygodniu sprzątanie i pieprzenie. – Zgasiła papierosa w pustej popielniczce. – Nie zawsze byłam w formie i nie zawsze miałam ochotę sprzątać albo się pieprzyć. Akceptował to. Wtedy siadaliśmy przy kuchennym stole z filiżanką kawy, a on wskazywał na przelatujące za oknem ptaki i podawał ich łacińskie nazwy i takie tam. Ale i tak płacił. Co prawda nie całą stawkę, ale zawsze kilka setek wpadło.

– Jak doszło do tego, że zaczął wyłudzać leki?

– Pramm miał kilka pudełek z lekami. Ibuprofen, paracetamol, pyralgina. Często miewał bóle, biedaczysko, i brał dużo tabletek, które niespecjalnie mu pomagały. Ciągłe narzekał na ból stawów biodrowych i na to, że w tartaku Treschowa zmarnował najlepsze lata życia i stracił zdrowie. Spytałam, czy nie chce spróbować kilku tabletek rohypnolu. Był sceptyczny, ale potem stwierdził, że bardzo mu pomogły. Powiedział, że poprosi swojego lekarza o receptę na ten lek.

– I dostał ją?

– Jasne. Wytłumaczyłam mu tylko, że musi trochę naściemniać, że ma lęki i kłopoty ze snem. Domyślam się, że z czasem zaczął odwiedzać kolejnych lekarzy, bo od tamtej pory miał spore zapasy flunitrazepamu. W końcu zaproponował, że zamiast pieniędzy może mi dawać trzy blistry leku za każdym razem, kiedy to zrobimy. Mnie to odpowiadało. Zarabialiśmy na tym oboje. Mogłam odsprzedać komuś te tabletki z dużym zyskiem albo sama z nich skorzystać, żeby się trochę odstresować.

Hammer kolejny raz wyciągnął w jej stronę paczkę Prince Mild i podał jej ogień.

– Znasz kogoś z jego znajomych? – spytał, zmieniając temat.

– Nie. Właściwie nie. Raz przedstawił mnie jakiemuś facetowi w „Tatjanie”. Zdaje się, że to był marynarz, ale nie pamiętam, jak się nazywał. Miał mnóstwo tatuaży. Pramm był typem samotnika. Interesował się głównie ptakami, którym robił zdjęcia. A wcześniej tańczył tango. Jak dla mnie to dość dziwne hobby.

– Cóż, Norweskie Towarzystwo Ornitologiczne liczy co najmniej kilka tysięcy członków.

Puściła jego uwagę mimo uszu.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ani sprzątanie, ani pieprzenie nie było dla niego takie ważne. Zaproponował mi pracę, ponieważ brakowało mu kontaktu z ludźmi. Potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

– Jak myślisz, dlaczego ktoś mógłby chcieć go zabić?

– Najprawdopodobniej ktoś połasił się na jego pieniądze – odparła.

– A Pramm je miał?

– Najwyraźniej na czymś się wzbogacił. Może dostał spadek? Bo pewnego dnia zobaczyłam, że kupił sobie nowiutki telewizor, wideo i kilka innych sprzętów. Pokazał mi ulotkę reklamową kamery wideo i komputera, które chciał sobie sprawić. To też miało związek z ptakami. Zamierzał je filmować

i wysyłać filmiki do towarzystwa ornitologicznego.

– Widziałaś, gdzie trzyma pieniądze?

– Nie. Musiał dobrze je ukryć. Chyba wiedział, że ktoś chce mu je zabrać.

– Jak to?

– Podczas jednej z moich ostatnich wizyt spytał, czy mogę mu załatwić dwie rzeczy.

– Jakie?

– Broń i telefon komórkowy.

– I co? Załatwiłaś?

Przytaknęła i oparła papieros o krawędź popielniczki.

– W jaki sposób?

– To dla mnie? – spytała, wskazując butelkę coli. Hammer skinął głową i powtórzył pytanie.

– Fanty – wyjaśniła. Zwlekała z odpowiedzią tak długo, jak to możliwe, wypijając połowę butelki.

– Sama je ukradłaś?

– Nie. – Wytarła usta wierzchem dłoni. – Dałam ludziom znać, czego potrzebuję, i dostałam strzelbę i nokię 3310 z ładowarką. Kupiłam mu też kartę, taki czarny zestaw.

– Pamiętasz numer?

– Nie, ale to była karta Netcom.

– Gdzie ją kupiłaś?

– Na Tippetorvet w Stavern.

– Mamy świadka, który widział cię u Pramma w towarzystwie pewnego mężczyzny. Zgadza się?

Znowu musiał czekać na odpowiedź, ponieważ kobieta dopijała colę.

– Wolałam mieć obstawę, gdy szłam do Prebena z bronią, a więc tak, zgadza się.

– Kto to jest?

– Nie mam ochoty odpowiadać na to pytanie. Nie chcę, żeby był w to zamieszany. On nic nie wie.

– My to ocenimy. Chyba rozumiesz, że musimy się z nim skontaktować, żeby wykluczyć jego związek ze sprawą?

Chwyciła papierosa, który dogasał na krawędzi popielniczki. Wyglądało na to, że myśli o czymś intensywnie.

– Możecie mi obiecać, że nie aresztujecie go za włamanie do domku

letniskowego?

– Chyba możemy ci to obiecać.

– Chyba?

– Mogę ci to obiecać.

Tchnęła drugie życie w papierosa i wypowiadając imię i nazwisko, posłała kłęb dymu prosto w twarz Hammera.

– Frode Lydhus. Mój facet.

Wisting skinął głową na Borg, która zdążyła już zanotować nazwisko i wyszła, żeby poszukać kolejnej osoby z listy zamieszanych w sprawę.

– Kiedy to było? – ciągnął policjant.

– Osiemnastego czerwca. Po południu. Ostatni raz, kiedy u niego byłam. Ostatni raz, kiedy widziałam go przy życiu.

– Jak się zachowywał?

– Trochę dziwnie – odparła po krótkim zastanowieniu, gasząc drugiego papierosa. – Był niespokojny i zestresowany. Jakby się bał. A jednocześnie wydawał się zadowolony, chociaż bardziej zdenerwowany.

– Czym to się objawiało?

– Szybko zapłacił i niemal wyrzucił nas za drzwi. Za strzelbę i telefon dostałam dwa tysiące i dziesięć blistrów tabletek.

– Wyjaśnił, po co mu dubeltówka i komórka?

Potrząsnęła głową.

– Wspominałaś komuś, że twoim zdaniem Pramm ma pieniądze?

Kolejne potrząśnięcie głową.

– Szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślałam, dopóki nie usłyszałam, że został zamordowany. Dopiero wtedy wszystko stało się dla mnie jasne.

W pokoju przesłuchań zapadła cisza. Hammer w dwóch łykach dopił resztę kawy. Miał powód do zadowolenia. Nie było żadnych podstaw, by sądzić, że Silje Holte coś pominęła lub celowo zataiła.

– W takim razie mam już tylko kilka pytań – powiedział. – Znasz cudzoziemca o nazwisku Agim Gjikolli?

– Wiem, kto to jest. Większość z nas kojarzy gościa.

– Miałaś z nim kiedykolwiek do czynienia?

– Nie. To zupełnie inna liga. Od narkotyków, które on przemyca do kraju, do tych, którymi ja się szprycuję, daleka droga.

– Jak myślisz, gdzie on może teraz być?

– Nie wiem. Podejrzewacie, że gość ma z tym coś wspólnego?

- Badamy również ten trop.
 - Myślę, że to ślepy trop. Agim ma dość pieniędzy. Wątpię, by robił z siebie mordercę dla kilku marnych tysięcy.
 - Znasz kogoś, kto jeździ czarnym bmw?
 - Mnóstwo takich jeździ po ulicach, ale nikt konkretny nie przychodzi mi teraz do głowy. W moim kręgu znajomych niewiele osób ma prawo jazdy, nie mówiąc o samochodzie.
 - Znasz Mortena Haslera?
 - On też jest w to zamieszany? Biedny Morten.
 - Wiesz, czy Morten znał Pramma?
 - Bardzo w to wątpię. Morten całymi dniami przesiaduje w tym swoim sklepie ze starociami, jeśli akurat nie kosi trawnika albo nie zbiera śmieci na terenie spółdzielni mieszkaniowej.
 - Kiedy z nim ostatnio rozmawiałaś?
 - Kilka miesięcy temu. Byłam u niego w sklepie, żeby sprzedać trochę biżuterii po matce. To było tuż po Wielkanocy. Mama zmarła w Wielką Sobotę dwadzieścia pięć lat temu, dlatego tak dobrze to pamiętam. Zaoferował niezłą cenę: dwa tysiące za trzydzieści gramów złota. Chociaż mogę się założyć, że zarobił na tym o wiele więcej ode mnie.
 - Morten Hasler również to pamięta, ale nie przypomina sobie, żeby cokolwiek od ciebie kupował. W jego ewidencji również nie ma żadnej wzmianki na ten temat.
 - Morten pamięta to, co chce, i zapisuje to, co chce.
 - Chcesz powiedzieć, że nie rejestruje wszystkich transakcji?
 - Tak.
 - Jesteś tego pewna?
 - Tak. Jeśli podejrzewa, że przedmioty pochodzą z kradzieży, to ich nie zapisuje. Ale to nie były fanty. To były pamiątki rodzinne.
- Gdy William Wisting wrócił z powrotem do gabinetu, siedział tam wysoki, chudy mężczyzna w czarnej czapce z daszkiem, na której znajdował się napis: „MTU Næringspark”. Miał jakąś wysypkę albo reakcję alergiczną, ponieważ jego twarz była krwście czerwona. Komisarz domyślił się, że tym żyłastym mężczyzną jest Frode Lydhus, z wyglądu i ubioru narkoman. Nie rozumiał, jak Silje Holte mógł pociągać ten niechlujny człowiek, ale doszedł do wniosku, że zaważyły inne przymioty, na przykład dostęp do narkotyków.
- Czy ktoś może mi powiedzieć, o co tu chodzi? – spytał Frode Lydhus.

– Myślę, że bardzo dobrze wiesz, o co chodzi – odparł Wisting i zajął swoje miejsce za biurkiem. Borg wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Frode Lydhus nie wniósł nic nowego do sprawy poza tym, że potwierdził wyjaśnienia złożone przez Silje Holte. Wisting siedział przy biurku z kalendarzem Pramma przed sobą. Zanim Hammer odwiózł Holte do zakładu karnego w Skien, kobieta sporządziła listę dni, w których, jak jej się zdawało, odwiedziła Pramma. Pokrywała się ona niemal w stu procentach z notatkami ofiary. Różnice były tak nieznaczne, że można je było przypisać kłopotom z pamięcią. A więc kod „MH” został rozszyfrowany. Wisting odnalazł kartkę ze śladami po kawie. Nad kółkiem z inicjałami „MH” napisał „Mona Hansen – alias Silje Holte” i kilka razy przekreślił duży znak zapytania.

Nadal niepewna była za to sytuacja innej osoby o tych samych inicjałach. Morten Hasler. Czy kłamał na temat zakupu biżuterii od Silje Holte wyłącznie dla wygody? Tak czy inaczej mogło to oznaczać, że za łzawą fasadą ukrywał więcej kłamstw.

W kalendarzu Pramma pozostawał jeden nierozszyfrowany kod. Co oznaczały krzyżyki? Skoro „MH” odnosiło się do spotkań z Silje Holte, krzyżyki musiały zastępować coś innego. Czasem krzyżyk pojawiał się w te dni, gdy Pramm prowadził obserwacje ptaków, a czasem nie. Czasem znak X pojawiał się wtedy, kiedy Pramm spotykał się z Silje Holte. Wisting nie dostrzegał w tym żadnej logiki. Czasem krzyżykami były zaznaczone dwa lub trzy kolejne dni, a czasem od jednego do drugiego mogło upłynąć kilka tygodni. Trudno było też dopatrzeć się jakiejś metody, jeśli chodziło o dni tygodnia lub konkretne dni w miesiącu. Można było odnieść wrażenie, że tym wszystkim rządzi przypadek, ale Wisting nie miał wątpliwości, że jest w tym ukryty jakiś sens.

Już miał włożyć kalendarz z powrotem do torebki strunowej, gdy nagle

zauważył coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. W piątek 7 czerwca obok zwykłego krzyżyka na dole strony znajdował się wykrzyknik. Policjant przekartkował cały kalendarz, ale znalazł tylko ten jeden wykrzyknik. Przy okazji dokonał jeszcze jednego odkrycia. Znak X z wykrzyknikiem pod datą 7 czerwca był ostatnim w kalendarzu.

Wisting doskonale znał tę datę. Tego dnia dokonano napadu na konwój i zrabowano siedemnaście milionów koron z rynku w Larviku, rzut kamieniem od budynku komendy policji.

Czuł, że dotknął czegoś ważnego, samego sedna. Niezdefiniowana myśl zaczęła nabierać kształtu. Czy te dwie duże sprawy kryminalne wiązały się ze sobą? Miał wrażenie, że tak, że jest między nimi jakiś punkt styczny. Znowu ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że coś przeoczył. Że nie dostrzega jakichś ważnych szczegółów, które ma pod nosem.

Odłożył kartkę z notatkami i kalendarz Pramma. Zamiast tego położył przed sobą aktualne wydanie „Østlandsposten” i napełnił filiżankę kawą. Redakcja gazety nie zdążyła zamieścić informacji na temat pożaru, który strawił doszczętnie dom przy Auserødsvingen 11. To dobrze, pomyślał, ponieważ dzięki temu uwaga czytelników została skupiona na tym, co istotne z punktu widzenia śledztwa. Nagłówek brzmiał: „Policja na tropie – trwają poszukiwania kierowcy bmw”. Chociaż raz nagłówek w gazecie spełniał jego oczekiwania, nie licząc zdjęcia na pierwszej stronie, przedstawiającego Wistinga z profilu przed taśmami policyjnymi i domem Pramma. Mógł oczywiście tłumaczyć się tym, że fotografia została zrobiona w nieodpowiednim momencie, ale podwójny podbródek nie wyglądał zbyt efektownie. Jeśli zdjęcie zostało opublikowane również w internetowym wydaniu gazety, mógł się wkrótce spodziewać wiadomości tekstowej z Budapesztu lub innego miasta, w którym aktualnie przebywała Line.

Poza powtórzeniem tego, o czym dziennikarze pisali od kilku dni, sporo miejsca poświęcono apelowi policji z prośbą o zgłaszanie się osób, które widziały czarne bmw trzeciej serii. Po drugiej stronie podanego w artykule numeru telefonu od wielu godzin siedział Mortensen. Wisting powierzył młodemu policjantowi nadzór nad zadaniem, któremu nadali nazwę „Projekt samochód”, i poprosił go o przyjmowanie i wstępną selekcję zgłoszeń od potencjalnych świadków. Mortensen był zaangażowany, pełen zapału i orientował się w sprawie. Wisting wiedział, że policjant przybiegnie do niego, jeśli tylko wpłynie jakaś informacja, która wyda mu się bardziej

interesująca od innych.

Telefon najwidoczniej nie przestawał dzwonić, a przynajmniej komisarz miał nadzieję, że to z tego powodu Mortensen nie zjawił się w stołówce. Nie przestając myśleć o podwójnym podbródku uwiecznionym na pierwszej stronie „Østlandsposten” o nakładzie blisko dziesięciu tysięcy egzemplarzy, Wisting wyjątkowo poskromił swój apetyt i położył na talerzu tylko jedną bułkę z serem i szynką. Usiadł przy stoliku pod oknem obok Angella i Borg, którzy właśnie kończyli posiłek.

– Wygląda na to, że Hasler ma żelazne alibi – odezwała się Borg. – Rozmawiałam z prezesem spółdzielni mieszkaniowej. Hasler włożył dużo pracy w organizację obchodów nocy świętojańskiej. Kiedy prezes poszedł spać o drugiej nad ranem, Hasler wciąż pilnował ogniska. Wymienił wiele nazwisk osób, które jego zdaniem mogą to potwierdzić.

– A jednak nie możemy polegać na jego wyjaśnieniach dotyczących zakupu używanych przedmiotów – wtrącił Angell. – Niewykluczone, że pieniędzmi, które znaleziono w ustach Pramma, zapłacił zabójcy, a ponieważ to, co od niego kupił, pochodziło z kradzieży, nie chciał albo nie mógł nam o tym powiedzieć.

– Cholera jasna! – wyrwało się Wistingowi. – Chyba musimy ponownie go przesłuchać. Spróbuję zrobić to po południu. Jeśli nie powie nic nowego, obawiam się, że jego koncesja zawiśnie na włosku.

Mimo podwójnego podbródka komisarz nie oparł się pokusie i poczęstował się jeszcze kawałkiem ciasta czekoladowego, które zabrał ze sobą do gabinetu, gdzie dokończył lunch przy filiżance kawy. Nie mógł przecież zacząć odchudzania w trakcie skomplikowanego śledztwa.

Splukał smak ciasta łykiem kawy i już zaczynał żałować wysokokalorycznego posiłku, gdy w drzwiach stanął Hammer ze stosem kartek w dłoniach. Wisting słyszał, że ktoś biegnie truchtem przez korytarz, i pomyślał, że to Mortensen z najnowszymi informacjami na temat bmw, a tymczasem zjawił się Hammer. Wydawał się poruszony i podekscytowany i pod tym względem bardzo przypominał młodego policjanta, który odbierał zgłoszenia.

– Sprawa nareszcie nabiera tempa – zaczął Hammer.

– Tak?

– Dostałem kilka wstępnych odpowiedzi z Netcom – ciągnął śledczy, ale przerwał, gdy rozległ się podwójny sygnał przychodzącej wiadomości.

Wisting wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni spodni, spoglądając jednocześnie na pusty talerz z okruszkami po cieście. Ulżyło mu, że to nie on otrzymał esemesa. To znaczy, że Line mogła jeszcze nie czytać elektronicznej wersji „Østlandsposten”.

– To mój – powiedział Hammer. – Czwarty esemes od informatora. Chce się ze mną spotkać.

– Ten od Jonathana Ravna?

– Tak. Robin Sande. On sam jest tam nie byle kim i dlatego uważam, że to, co mówi, może mieć sens. Nie wymieniłem wcześniej jego nazwiska, ponieważ nie chciałem, żeby Mortensen i pozostali je usłyszeli. Najlepiej będzie, jeśli jak najmniej osób się o nim dowie. Donoszenie na Ravna jest dość ryzykowne.

Wisting zamyślił się. Po raz kolejny pojawiło się nazwisko Jonathana Ravna. Czy ten człowiek mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem? Hammer założył się o to jeszcze tego samego dnia, w którym znaleźli martwego Pramma i dowiedzieli się, że jego najbliższą sąsiadką jest siostra Jonathana Ravna. Śledczy zaklinał się, że Ravn ma jakiś związek z morderstwem. Dwa fakty mogły wskazywać na to, że Pramm i Ravn się znali. Po pierwsze, Pramm był sąsiadem siostry Ravna, a po drugie, trzy tygodnie przed śmiercią naprawiał samochód w warsztacie należącym do rodziny Ravnów. Poza tym nic ich nie łączyło, żadnych punktów stycznych. Powiązanie wydawało się naciągane i dlatego Wisting postanowił nie dzielić się tą teorią z resztą śledczych, chociaż wiedział, że zyskałby poparcie przynajmniej Hammera.

– Wiesz, czego chce twój informator?

– Nie. Nie miałem czasu, żeby z nim porozmawiać.

– Może powinieneś potraktować tę sprawę priorytetowo?

– Wszystko trzeba traktować priorytetowo – westchnął z rezygnacją. – Skontaktuję się z nim, ale najpierw popatrz na to.

Wisting pochylił się nad papierami, które Hammer położył na biurku. Zawierały zaledwie kilka kolumn z datą, godziną i numerem telefonu.

– Numer komórki, który znalazłeś u Pramma, został kupiony na Tippetorvet w Stavern i aktywowany 18 czerwca – wyjaśnił śledczy.

– To jest ten numer, który Silje Holte załatwiła Prammowi razem z kradzioną nokią?

– Dokładnie tak. Skorzystano z niego tylko cztery razy. Trzy połączenia przychodzące i jedno wychodzące.

– Kto dzwonił?

– Zabójca.

– To znaczy?

– No, tego jeszcze nie wiem, ale pierwszy raz dzwonił 20 czerwca o godzinie 19:53 z budki telefonicznej na Torsstrand Torg. Rozmowa trwała dwie minuty i dwadzieścia jeden sekund.

Wisting skinął głową i wyjął notes z kieszeni koszuli.

– Kolejna rozmowa odbyła się 23 czerwca o godzinie 16:57. Dzwoniono z budki telefonicznej na dworcu w Larviku. Krótkie, siedemnastosekundowe połączenie. Ostatnią rozmowę przeprowadzono 23 czerwca o godzinie 23:47 z telefonu na stacji Statoil w Stavern. Rozmowa trwała trzydzieści dziewięć sekund.

– I myślisz, że to był zabójca?

– Tak.

– Dzwonił, żeby zaanonsować swoje przybycie?

– A kto inny mógł dzwonić? To musiało mieć związek z zabójstwem!

– A to wychodzące połączenie? Do kogo dzwonił Pramm?

– Do Åsne Berg. O 19:43. Rozmowa trwała dwie minuty i szesnaście sekund.

– Jesteś pewny, że Pramm był w domu, gdy dzwonił telefon? W końcu to jest komórka.

– Nie wiem, czy był w domu, ale na pewno był w Stavern. Wszystkie rozmowy przechodziły przez stację przekaźnikową w centrum miasta.

– Tylko gdzie jest teraz ten telefon? Bo na Auserødsvingen 11 go nie ma.

– Zabójcy musieli zabrać go ze sobą, żeby zatrzeć ślady.

Wisting zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał, przygryzając ołówek. Potem wypił porządny łyk kawy. Czuł coraz większy zapał do pracy.

– Zgadzam się. To dobra teoria – powiedział w końcu.

– Moja teoria ma ciąg dalszy.

– Mów!

– Sądzę, że szukamy zdjęcia. My i sprawcy. Zdjęcia, którym Pramm szantażował swoich przyszłych zabójców. Pamiętasz informację na kartce obok numeru komórki? „Uśmiechnij się! Jesteś w ukrytej kamerze!” Pramm dostarcza im odbitkę zdjęcia razem z numerem telefonu komórkowego i zachęca do tego, żeby nawiązali z nim kontakt. Oni dzwonią i w końcu zgadzają się zapłacić za milczenie. Ostatnie połączenie wykonują z centrum Stavern, żeby się upewnić, że Pramm jest w domu, i dać mu znać, że właśnie

wybierają się do niego z pieniędzmi. I wtedy coś idzie nie tak. Bardzo nie tak.

– Wymuszenie – skomentował Wisting w zamyśleniu. Musiał przyznać, że hipoteza Hammera pasowała niemal idealnie. Do tego dochodziły jego własne przemyślenia na temat związku Pramma z napadem na transport pieniędzy. Coś zaczynało mu świtać, chociaż na razie ta myśl była tak mało uchwytna, że postanowił nie dzielić się nią z kolegą, tylko wysłuchać jego argumentów.

– Po pierwsze, wiemy, że Pramm spodziewał się zastrzyku gotówki – zaczął Hammer. – Kupił na raty telewizor i magnetowid i zrobił długą listę rzeczy, które chciał sobie sprezentować.

– A jednocześnie czuł lęk – podchwycił Wisting – i dlatego zaopatrzył się w strzelbę dla ochrony.

– Właśnie. Poza tym nie było śladów włamania, co może oznaczać, że czekał na kogoś i wpuścił tę osobę, zabójcę, do środka. Szantaż może również stanowić logiczne wytłumaczenie faktu, dlaczego w jego gardle znaleźliśmy pieniądze: „bierz kasę i morda na kłódkę” czy coś w tym stylu.

– Åsne Berg – wymamrotał Wisting, niejako wbrew sobie. Chciał jednak wykluczyć inne możliwe rozwiązania.

– Co z nią?

– Rozwijając twoją teorię, można się domyślać, że ona i Ivar Bakker również byli szantażowani. Możliwe, że Pramm sfotografował ich razem. Berg jest wdową, ale Bakker ma żonę. Oboje cieszą się ogromnym szacunkiem i wiele by stracili, gdyby ich romans wyszedł na światło dzienne. Niewykluczone, że to trwa już od dawna, że romansowali ze sobą również wtedy, gdy mąż Berg był umierający.

– No widzisz! – Hammer wyszczerzył zęby w uśmiechu, zadowolony, że jego hipoteza spotkała się z uznaniem Wistinga.

– Ale z drugiej strony nie potrafię sobie wyobrazić, żeby któreś z nich mogło zabić Pramma – ciągnął komisarz, chociaż w myślach połączył jeszcze kilka elementów przemawiających za teorią, która zaczynała powoli nabierać kształtu. Zabójstwo i napad na konwój miały ten sam brutalny charakter. – W każdym razie nie w taki sposób. Pani Berg kojarzy mi się bardziej z arsenikiem i starymi koronkami.

– Przecież mogli wynająć płatnego zabójcę. Są tacy, którzy za taką robotę biorą pięćdziesiąt tysięcy.

– Istnieje oczywiście taka możliwość – zgodził się Wisting.

– Co z Jørgenem Kvistem? Wie, że zostanie wydziedziczony, jeśli ciotka

z wujem dowiedzą się, że podczas ich nieobecności urządził sobie w ich domu miłosne gniazdko. Noc świętojańska na pewno nie była pierwszą, którą tam spędził.

– Tak, ale on nie ma pieniędzy. W każdym razie nie tyle, ile Pramm mógłby chcieć za milczenie. Za to Bakker i Berg mają ich pod dostatkiem. Poza tym w dniu zabójstwa Pramm dzwonił do Åsne.

Wisting niezbyt dokładnie śledził własną wypowiedź. Jego myśli krążyły wokół nowego powiązania, które właśnie stworzył. Powiązania, które mogło pchnąć śledztwo do przodu. Nie zdążył jednak sformułować go do końca, ponieważ do gabinetu wbiegł Mortensen.

– Chyba coś mamy, Williamie! – zawołał zdyszany.

– Bmw?

– Tak. Od rana telefon się urywa. Ludzie widzieli czarne beemki wszędzie i o każdej porze dnia i nocy. Ktoś widział nawet podejrzanego bmw na parkingu w Mo i Rana^[25] i chce, żeby policja to sprawdziła.

– Domyślam się, że masz dla nas coś lepszego?

– Tak. Przed chwilą dzwonił niejaki Sigmund Rønningen. Mieszka przy zjeździe do kamieniołomu na Storås w Tveidalen. We wtorek 25 czerwca wracał późnym wieczorem na rowerze z restauracji Sydvesten w Helgeroa. Gdy zbliżał się do domu, do kamieniołomu wjechało czarne bmw. Zdziwiło go to, ponieważ pracownicy kopalni są na urlopie. Jest pewny, że tamtej nocy samochód stamtąd nie wyjeżdżał.

– To może być nasze bmw! – wykrzyknął Wisting.

– Ale nie to jest najlepsze – ciągnął Mortensen. – Kiedy dziś rano Rønningen przeczytał gazetę, poszedł do kamieniołomu z lornetką. Samochód wciąż tam stał.

– Zapisał numery rejestracyjne? – spytał Hammer.

– Nie, ale jest pewny, że za kierownicą nadal siedzi jakiś mężczyzna.

^[25] Mo i Rana – miasto położone w okręgu Norland; odległość między Stavern a Mo i Rana wynosi ponad 1100 km.

Do kamieniołomu w Tveidalen pojechali Wisting, Angell i Haber. Pogorzelsko na Auserødsvingen było jeszcze zbyt ciepło, by Haber mógł przeprowadzić tam jakieś sensowne czynności. Mortensen był wyraźnie rozczarowany decyzją komisarza, który polecił mu zostać na miejscu i nadal pełnić dyżur telefoniczny.

W samochodzie Haber zrobił im miniwykład na temat przemysłu kamieniarskiego w Larviku. Larvikit^[26] był numerem jeden na liście produktów eksportowych gminy. Każdego roku wydobywano dwieście tysięcy ton bloków tej skały. Kamienie o dużych, podobnych do masy perłowej kryształach o niebieskim połysku wykorzystywano w rzeźbiarstwie i jubilerstwie na całym świecie. Na przykład w Filadelfii z jednego bloku larvikitu wyrzeźbiono dziewięćdziesięciotonowego słonia. Na początku lat czterdziestych Niemcy wywieźli do Berlina setki ton tej skały, z której miał powstać pomnik upamiętniający zwycięstwo Hitlera. Trzy lata temu podczas wycieczki po Azji Haber natknął się na larvikit w metrze w Singapurze.

Nie wiedział, ile ton tego surowca wydobywa się w kamieniołomie na Storås, ale musiały to być ogromne ilości. W ciągu kilkudziesięciu lat powstał głęboki krater o stromych zboczach. Wzdłuż jego krawędzi wiła się szeroka żwirowa droga prowadząca na dno. Maszyny budowlane znajdujące się ponad sto metrów pod nimi przypominały dziecięce zabawki. Wisting rozumiał już, dlaczego Sigmund Rønningen zabrał ze sobą lornetkę, gdy postanowił przyrzeć się dokładniej czarnemu BMW.

Powietrze na dnie kamieniołomu stało. Od trzech tygodni niebo było bezchmurne, a słońce prażyło niemiłosiernie. Temperatura na dnie krateru była w pewnością o dziesięć stopni wyższa niż na górze, co oznaczało, że słupek rtęci sięgał niemal czterdziestu stopni Celsjusza. Wisting rozejrzył się

za ocienionym miejscem, gdzie mógłby zaparkować volvo, ale każdy metr kwadratowy ziemi był zalany słońcem.

Gdy zatrzasnął drzwi auta, z dachu baraku poderwała się z krzykiem wrona. Poza tym panowała całkowita cisza.

Policjanci ostrożnie zbliżyli się do czarnego bmw stojącego na środku dna krateru. Wisting osłonił oczy przed promieniami słonecznymi, które odbijały się w lśniącej karoserii i oknach samochodu. Zdjęcie identycznego auta ze spojlerem zabrał z domu przy Rødberggrenda 6. Numer rejestracyjny potwierdził to, co już wiedzieli: samochód należał do Agima Gjikolliego.

Komisarz przełknął ślinę. Czuł narastające napięcie i entuzjazm. Żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów obuwia na suchym żwirze, okrążył pojazd szerokim łukiem. Szyby były oszronione, przez co mógł dostrzec jedynie zarys ciała kierowcy.

Do rury wydechowej wetknięty był czerwony gumowy wąż. Jego średnica była mniejsza od średnicy rury, ale szara taśma izolacyjna, którą go przymocowano, sprawiała, że wszystkie spaliny trafiały do węża. Gumowa rurka biegła wokół samochodu i znikwała wewnątrz pojazdu nad lekko uchyloną szybą od strony pasażera.

Komisarz okrążył samochód kilkukrotnie, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczył. Za każdym razem zataczał coraz mniejsze koło, jak sęp krążący wokół umierającej zdobyczy. W końcu zatrzymał się, ukucnął obok uchylonego okna i zajrzał do środka przez wydobywające się na zewnątrz ciepłe i wilgotne trupie jady.

Młody mężczyzna siedzący za kierownicą nie żył od dawna. Był ubrany w biały T-shirt, pokryty plamami od gnijącego ciała. Twarz była opuchnięta, niebieskofioletowa, skóra gąbczasta, pokryta małymi, wypełnionymi płynem pęcherzami, które gdzieś tam popękały. Sącząca się z nich szarozielona ciecz odsłoniła głębsze warstwy skóry i tkanki podskórnej. Rój muszek wlatywał i wylatywał z rozchylonych ust. W kącikach znajdowało się coś białego, co w pierwszej chwili Wisting wziął za zaschniętą pianę. Gdy się poruszyła, zrozumiał, że to były małe białe robaki.

Kierowca w niczym nie przypominał tryskającego energią, świeżo upieczonego taty ze zdjęcia, które komisarz trzymał w aktach śledztwa. Pomyślał o Dijanie i małym Albercie, ale w następnej chwili poczuł rozczarowanie. Sprawa zabójstwa, w którą tak bardzo się zaangażował, którą żył od kilku dni, okazała się mieć tak proste rozwiązanie, rozwiązanie, które

pogrzebało szansę na zdobycie odpowiedzi na wiele pytań kotłujących się w jego głowie. Z drugiej strony okoliczności śmierci dumnego ojca rodziny wydały mu się podejrzane. Być może wmawiał to sobie w nadziei, że dochodzenie nie zostało jeszcze zakończone, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kolejne ujawnione zwłoki oznaczają nowy dramatyczny obrót sprawy.

Drzwi samochodu otworzył Haber. Wisting wisiał mu na ramieniu, ale zapach, który do niego doleciał, zmusił go do natychmiastowego odwrotu. Ciepła woń zgniłych jaj zmieszanych z odchodami i moczem sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła. Przyciskając dłoń do ust, ruszył zgięty w pół w stronę baraków, ale nagle musiał się zatrzymać i zwymiotował lunch, który trawił od godziny: kanapkę z serem i szynką oraz ciasto czekoladowe podlane kawą. Po raz pierwszy w swojej karierze zwymiotował z powodu widoku i zapachu martwego ciała.

Zrozumiał, że nic tu po nim. Gdy tylko zjawiono się wsparcie w postaci Torunn Borg kierującej ambulansem kryminalistycznym Habera, opuścił miejsce zdarzenia wijącą się zwirową drogą.

Dokładnie naprzeciwko wjazdu do kamieniołomu stał pomalowany na czerwono dom. Pod parasolem ogrodowym siedziało na leżakach starsze małżeństwo. Mężczyzna przeglądał jakąś książkę, ale na widok nadjeżdżającego volvo zerwał się z miejsca i udał, że musi zajrzeć do skrzynki pocztowej. Zamiast wyjechać na główną drogę, Wisting zostawił samochód i ruszył w stronę starszego mężczyzny, którym, jak się domyślał, był Sigmund Rønningen.

– Czy to był ten samochód? – spytał starszy pan i zamknął wieko skrzynki pocztowej, nie sprawdzając nawet, czy coś w niej jest.

– Tak, możemy to już potwierdzić.

– To ja do was zadzwoniłem – wyjaśnił i wyciągnął rękę.

– William Wisting. Dziękuję, że pan nas powiadomił.

– Nie ma o czym mówić. Napije się pan mrożonej herbaty?

Szklany dzbanek na stole pod parasolem w ogrodzie Sigmunda Rønningena był pokryty kropelkami wody. Właśnie tego Wisting potrzebował: napić się czegoś zimnego. Pani Rønningen szła już do kuchni po dodatkową szklanę, nie czekając na jego odpowiedź.

– Domyślam się, że kierowca był martwy?

– Można tak śmiało powiedzieć – odparł komisarz i usiadł na wolnym miejscu pod parasolem.

– Tak, tak. Nie on pierwszy tam skończył – skwitował Rønningen, odpędzając z twarzy muchę.

– Tak?

– Doszło tam do wielu brzydkich wypadków przy pracy. Zeszłej jesieni obsługujący ładownicę łyżkową spadł z urwiska. A jeszcze wcześniej coś tam wybuchło. Jednemu oderwało głowę, a drugiemu tylko połowę ciała. Nie wiem, co gorsze. Ten, który przeżył, leży ślepy w domu starców i dostaje jedzenie przez rurę prosto do żołądka. Jedyne, co może robić, to leżeć i myśleć. Popieprzona sprawa. Moim zdaniem taki los jest gorszy od śmierci.

Wisting przytaknął. Prowadził dochodzenie w wielu sprawach dotyczących wypadków przy pracy, które zdarzyły się w tym kamieniołomie. Korzyści, jakie gmina osiągała z pokładów larvikitu, okupione były życiem wielu osób.

– Ale tym razem facet sam się o to prosił – ciągnął mężczyzna. – Podobno najlepszym sposobem śmierci jest utonięcie, ale nie wiem, czy to prawda. Chyba lepiej byłoby zasnąć, wdychając spaliny. Jeśli człowiek chce ze sobą skończyć, to chyba to jest najlepsza metoda.

Pani Rønningen wróciła z czystą szklanką i naleła Wistingowi mrożonej herbaty.

– Przyjechał tu we wtorek? – chciał się upewnić komisarz.

– Tak, dokładnie tydzień temu. Wybrałem się na wycieczkę do Sydvesten w Helgeroa. Trochę wypilem, ale liczyłem się z tym i dlatego pojechałem tam rowerem. Jeżdżę do Sydvesten każdego lata. Wypijam kilka piw i przyglądam się turystom.

– Rozumiem, że samochód zobaczył pan po powrocie do domu?

– Tak. Było dość późno. I ciemno, pamiętam, że było ciemno, a ja nie mam światła w rowerze, więc trochę się martwiłem. Ale policja niezbyt często się tu zapuszcza, więc jakoś się udało.

– Może pan w przybliżeniu określić godzinę? – spytał Wisting i wypił porządny łyk herbaty.

– Około północy – odparł Rønningen po chwili namysłu.

– Nie, było trochę później – zaprzeczyła jego żona. – Musiało być już po pierwszej w nocy. Zamówienia w Sydvesten przyjmują do wpół do pierwszej, a nie sądzę, żebyś opuścił restaurację przed jej zamknięciem.

– Tak, tak, chyba masz rację – zgodził się mężczyzna. Na krawędzi jego szklanki przysiadła mucha.

– Tak czy inaczej mówimy o nocy z wtorku na środę?

– Tak. Dzisiaj mija równo tydzień. O cholera! Musiał strasznie wyglądać, skoro siedział tam przez cały tydzień. A tak przy okazji, kto to był?

W chwili, gdy Rønningen wziął do ręki szklankę, mucha, która balansowała na krawędzi, wpadła do mrożonej herbaty. Mężczyzna próbował wyłowić palcami trzepoczącego się owada.

– Podejrzewamy, że chodzi o Agima Gjicolliego – odparł policjant. Nie widział powodu, żeby zasłaniać się tajemnicą zawodową. – Tydzień temu zgłoszono jego zaginięcie.

– Dziwne nazwisko – skomentował starszy człowiek. W końcu udało mu się wyciągnąć muchę ze szklanki. – Brzmi obco.

– Zgadza się. Mężczyzna pochodził z byłej Jugosławii, ale mieszkał tutaj od dziesięciu, dwunastu lat i miał norweskie obywatelstwo.

– Chyba pan żartuje! – zawołał Rønningen i wlał w siebie resztę napoju. – To prawda, że tego wieczoru byłem trochę wstawiony, ale nie pijany! Ten, który prowadził bmw, wyglądał na rodowitego Norwega.

Wisting wzdrygnął się, ale nic nie odpowiedział. Powodem było nie tyle zaskakujące spostrzeżenie poczynione przez Rønningena, ile raczej nagła myśl, która przyszła Wistingowi do głowy. Kto wie, czy mucha, która przed chwilą kąpała się w herbacie, nie wylęła się w kąciuku ust Agima Gjicolliego. Wisting poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Jest pan tego pewien? – spytał, starając się myśleć o czymś innym, żeby znowu nie zwymiotować.

– Tak, w każdym razie to nie był obcokrajowiec. To mógł być oczywiście Szwed albo Duńczyk, ale miał jasną karnację i blond włosy.

Policjant nie skomentował tej wypowiedzi. Na werandzie Pramma widziano dwóch mężczyzn. Jeśli tym ciemnym był Agim Gjicolli, to tym drugim mógł być Skandynaw, którego Rønningen widział za kierownicą bmw. W takim wypadku nie mogło być mowy o samobójstwie. Nagle zaczęło mu się spieszyć. Podziękował za drugą szklankę mrożonej herbaty i pożegnał się.

Bębnił palcami o kierownicę, pozwalając myślom płynąć swobodnie. To była często najlepsza metoda na wydobywanie z pamięci ważnych szczegółów. Był pewien, że nie nadał odpowiedniego znaczenia jakimś informacjom, które już posiadał. To mógł być fragment rozmowy albo jakieś zdanie wtrącone mimochodem. Na niebie zaczęły się zbierać ciężkie ciemne chmury, które nadciągały z zachodu. Najwyższy czas, żeby spadł deszcz, pomyślał i się uśmiechnął. Co za ironia losu! W dniu swojej śmierci Preben Pramm

w rozmowie z sąsiadem martwił się zagrożeniem pożarowym lasów. Tam, gdzie teraz leżał, na zimnej metalowej ławie, nie rozpaczał przynajmniej nad tym, że jego własny dom spłonął w pożarze.

[26] Larvikit – rodzaj głębinowej skały magmowej, odmiana monzonitu, nazywany „norweskim kamieniem księżycowym”.

26

Po powrocie do komendy Wisting zajrzał do gabinetu Mortensena, który właśnie odkładał słuchawkę. Komisarz uznał, że jest mu winien krótkie wyjaśnienie. Młody policjant rozpromienił się na jego widok.

– Cześć, Williamie! Czy to był ten samochód, którego szukaliśmy?

– Tak. I samochód, i kierowca. Wygląda na to, że Agim Gjicolli siedział za kierownicą od tygodnia. Do wnętrza był wprowadzony wąż podpięty do rury wydechowej.

– To znaczy samobójstwo – skwitował Mortensen.

– Nie jestem pewny. Poprosiłem Habera, żeby dokładnie to sprawdził. Facet, który nas zawiadomił, Sigmund Rønningen, zaobserwował coś niepokojącego. Jest przekonany, że kiedy bmw wjeżdżało do kamieniołomu, prowadził je Norweg. Mało tego, facet twierdzi, że byłby w stanie go rozpoznać, nawet na zdjęciu.

– No coś ty! – Mortensen zagwizdał przeciągle. – Czy to znaczy, że nie muszę już przyjmować zgłoszeń?

– Mniej więcej. Z dnia na dzień ludzie nie przestaną zwracać uwagi na czarne bmw i dzwonić z tym na policję, ale nie musisz już tak pilnie weryfikować tych informacji.

– Świetnie. Ostatni telefon był ze Stavanger. Dzwoniła starsza pani, której sąsiad jeździ beemką. Jej zdaniem to narkoman i nie zdziwiłaby się, gdybyśmy to właśnie jego szukali.

– Mam dla ciebie inne zadanie.

– Tak?

– Znajdź jakiegoś pastora, który zgodzi się pojechać do Dijany Berishy i powiadomić ją, że nie będzie żadnego ślubu.

– W porządku. A przy okazji, zdaje się, że Nils cię szukał. Był tu przed

chwilą.

Hammer siedział za swoim biurkiem, które tonęło w papierach. Wisting dawno nie widział, żeby blat biurka był tak głęboko ukryty pod stosami akt. A jednak Hammer jakoś się w tym orientował, bo gdy komisarz usiadł przed nim na krześle, śledczy bez trudu odnalazł plik kartek złączonych spinaczem. Papiery, które wziął do ręki, odsłoniły protokół sporządzony w związku z napadem na transport pieniędzy. Do protokołu była przyczepiona mała żółta karteczka samoprzylepna. Wisting natychmiast rozpoznał charakter pisma Torunn Borg i poczuł delikatne łaskotanie w przeponie, gdy dotarło do niego, że na karteczce nie było uśmiechniętej buźki ani życzenia miłego dnia.

– Podobno mnie szukałeś? – powiedział i odchrząknął.

– Dostałem mnóstwo odpowiedzi od Netcom. Chodzi o telefon komórkowy Agima. Rozmawiałem z Haberem przez telefon i wiem, co znaleźliście na Storås. Kurwa mać, cieszę się, że z wami nie pojechałem!

– Tak, to nie był ładny widok.

– Haber twierdzi, że w aucie było co najmniej osiemdziesiąt stopni Celsjusza. Domyślam się, że temperatura znacznie przyspieszyła procesy gnilne. Słyszałem też, że zostawiłeś tam swoje kanapki?

– Pomówmy o czymś innym.

– To by nam nawet pasowało. Gjikkolli zabija starego Pramma, potem dopadają go wyrzuty sumienia i sam odbiera sobie życie. Ale rozumiem, że nie za bardzo wierzysz w samobójstwo?

– Na wszelki wypadek poprosiłem Habera, żeby przyjrzał się temu dokładnie. Biorąc pod uwagę, że przed wyjazdem z domu Agim kłócił się z kimś przez telefon o pieniądze, wydaje mi się to mocno podejrzanе.

– A poza tym po co miałby jechać tak daleko za miasto i odbierać sobie życie w taki sposób, skoro w szufladzie biurka trzymał naładowaną broń? Strzał z pistoletu byłby znacznie prostszym rozwiązaniem.

– Punkt dla ciebie – odparł Wisting. – Co o Agimie mówią wykazy połączeń telefonicznych?

– Po pierwsze, ostatnio używał tylko jednego z trzech numerów. To nam trochę ułatwia sprawę. Domyślasz się, gdzie jego komórka logowała się w niedzielę 23 czerwca o godzinie 23:44?

– W Stavern?

– Bingo! Trzy minuty przed ostatnią w życiu rozmową telefoniczną Pramma Agim Gjikkolli dzwonił do swojej narzeczonej w Rødberg, a połączenie

przeszło przez stację przekaźnikową w centrum Stavern. Między północą a trzecią w nocy dzwoniło do niego siedmiokrotnie, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Wiemy jednak, że Agim przebywał w tym czasie w Stavern. Pierwsze połączenie odebrał dopiero o wpół do szóstej nad ranem i był to niezarejestrowany numer na kartę.

– Chcesz powiedzieć, że w noc zabójstwa Gjicolli był w Stavern, ale nie miał ochoty odbierać telefonu? – podsumował Wisting, czując, że robi mu się sucho w ustach. To nie były już tylko interesujące informacje, lecz coś, co wyglądało na twarde dowody.

– No właśnie! – przytaknął Hammer. – To wiąże go bezpośrednio z miejscem zbrodni. Ale tego jest więcej. Dużo więcej.

– Dawaj! – zawołał Wisting i wstał, żeby przyjrzeć się wykazom połączeń leżącym na biurku Hammera. Nic z tego nie rozumiał, ale z emocji nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że w niedzielę o 16:57 ktoś dzwonił do Pramma z budki telefonicznej na dworcu kolejowym w Larviku?

– Tak?

– Dziewięć minut wcześniej ktoś dzwonił do Agima przez stację przekaźnikową na dachu dworca autobusowego w centrum. Trzy dni wcześniej dzwoniło do Pramma z budki telefonicznej na Torstrand Torg. Pięć minut później Agim dzwonił przez stację bazową zainstalowaną na dachu szkoły handlowej znajdującej się zaledwie pięćset metrów dalej.

– Znowu zbieżność w czasie i miejscu – skomentował Wisting w zamyśleniu i usiadł z powrotem na krześle.

– Dokładnie tak. Gjicolli jest w pobliżu za każdym razem, gdy ktoś dzwoni do Prebena Pramma. W połączeniu z obserwacjami świadków, którzy w noc zabójstwa widzieli bmw przed domem ofiary i cudzoziemca na werandzie, wydaje mi się, że w końcu przyskrzynilibyśmy Agima. Szkoda, że już nie żyje.

– Szkoda, bo miałbym do niego wiele pytań – przytaknął komisarz. – Ale mówiłeś, że masz coś więcej?

– Zdaje się, że wiem, kto towarzyszył Agimowi w noc zabójstwa.

– Zamieniam się w słuch.

– Z kim w ciągu dnia najczęściej rozmawiasz przez telefon, pomijając dziennikarzy?

– Chciałbym powiedzieć, że z żoną, ale chyba jednak częściej z tobą lub kimś innym z ekipy.

– A wiesz, z kim Gjikkolli rozmawiał najczęściej? Częściej niż z narzeczoną? Wisting miał odpowiedź na końcu języka, ale nie zdążył jej podać, ponieważ Hammer był szybszy.

– Z Jonathanem Ravnem! W ciągu ostatniego miesiąca przeciętnie jedenaście razy na dobę, ale ani razu w noc świętojańską. To może oznaczać, że byli razem i nie musieli do siebie dzwonić!

Komisarz znowu wstał i zaczął chodzić po pokoju. Jego teoria zaczęła nabierać kształtu, ale nie chciał pchnąć śledztwa w tamtym kierunku, nie mając twardych dowodów. I tak mieli co robić.

– Jonathan Ravn – powtórzył. – Coś za często jego nazwisko pojawia się w tej sprawie. Zdecydowanie za często, by mógł to być przypadek.

– Najciekawsza była jednak ich ostatnia rozmowa – ciągnął Hammer. – To z Ravnem klócił się Gjikkolli o pieniądze, zanim zniknął w ostatni wtorek.

Wisting zatrzymał się i spojrzał na Hammera poważnym wzrokiem.

– Jesteśmy blisko sedna sprawy – stwierdził w zamyśleniu.

– Już pierwszego dnia śledztwa powiedziałem ci, że rodzina Ravnów jest w to zamieszana!

– Pamiętam – odparł komisarz. – Rozmawiałeś z informatorem?

– Nie! Cholera! Byłem tak podekscytowany tymi wydrukami, że zupełnie o tym zapomniałem. Zaraz z nim pogadam!

– A tak przy okazji, domyślam się, czego dotyczyła rozmowa telefoniczna Pramma z Åsne Berg.

– Czego?

– Pamiętasz listę zakupów Pramma?

– Tak.

– Na samym dole było napisane „złotnik poniedziałek”. Zdaje się, że Pramm chciał kupić Åsne coś z biżuterii i sprezentować podczas poniedziałkowego spotkania przy kawie. Gdy do niej dzwonił, musiał być pewien, że pieniądze ma jak w banku. Może wierzył, że kobieta spojrzy na niego łaskawszym okiem, jeśli pokaże jej, na co go stać.

Wisting wszedł do stołówki i zajrzał do witryny chłodniczej w nadziei, że jest tam jeszcze coś do jedzenia. Czuł, że znowu zaczyna go boleć głowa. Zresztą nie było w tym nic dziwnego, jego żołądek był pusty od czasu, gdy komisarz zwymiotował lunch. Ku wielkiemu zadowoleniu stwierdził, że zostały jeszcze kanapki z łososiem, jajecznica i ciasto czekoladowe. Wziął dwie kanapki, kawałek ciasta i szklankę wody na wypadek, gdyby w szufladzie biurka znalazł jakieś tabletki przeciwbólowe.

Stał przed oknem w gabinecie i jadł. Pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić o szybę, a wzmagający się wiatr i ciężkie ciemne chmury daleko na zachodzie zwiastowały zbliżającą się nawałnicę. Od czasu do czasu niebo nad morzem rozdzierała błyskawica, ale burza była jeszcze na tyle daleko, że grzmot przypominał zaledwie leniwy pomruk.

Lubił niepogodę. To była pogoda policyjna, jak mawiali koledzy pełniący służbę patrolową. W taką pogodę przestępcy zostawali w domu i policjanci z patroli mieli mniej roboty. Domyślał się jednak, że najbardziej pociągała go myśl, że niepogoda, tak jak przebieg zdarzeń w sprawie kryminalnej, jest czymś, nad czym nie miał żadnej kontroli.

Jakaś ospała osa od dłuższego czasu uderzała głową o szybę, starając się odszukać drogę na zewnątrz. Wisting czuł, że użądlenie na nadgarstku wciąż mocno go swędzi, i nie znalazł w sobie ani odrobiny współczucia dla owada. Nie miał najmniejszej ochoty pomóc mu się uwolnić. Zamiast tego chwycił plik dokumentów dotyczących napadu na transport pieniędzy i uderzył nim tak, że osa roztrzaskała się o szybę. Pokiwał głową, zadowolony z rezultatu.

Na Storgata stary ford granada zatrzymał się tuż pod rozciągniętym nad ulicą banerem reklamującym festiwal w Skråvika. Materiał łopotał na wietrze i komisarz wątpił, czy baner zdoła przetrwać burzę.

Po kilku próbach właściciel forda porzucił nadzieję, że uda mu się uruchomić silnik. Wysiadł, żeby otworzyć maskę. Kierowcy jadący za nim, którzy wybierali się na wakacje i widzieli, że prom „Peter Wessel” przybił już do brzegu, zaczęli trąbić z niecierpliwością. Mężczyzna spędził pół minuty pod maską, po czym usiadł znowu za kierownicą i kazał żonie i dwóm małym chłopcom zepchnąć samochód na dworzec autobusowy, żeby przepuścić sznur pojazdów.

Mężczyzna przywiódł Wistingowi na myśl Knuta Seljesætera z Auserødsvingen 9, emerytowanego kapitana, który przez dwadzieścia sześć lat był odpowiedzialny za flotę pojazdów w wojskowym centrum szkoleniowym. Domyślał się, że jemu wystarczyłoby zaledwie kilka minut, żeby granada była znowu na chodzie.

Już miał ugryźć kawałek ciasta czekoladowego, ale zastygł z otwartymi ustami. Jego myśli krążyły swobodnie i wydobyły coś z podświadomości. Może właśnie tego szukał? Może dzięki temu wszystkie elementy znajdują się w końcu na swoim miejscu? To coś miało związek z ostatnią rozmową Seljesætera z Prammem. To było dziwne spotkanie. Stali po dwóch stronach żywopłotu, każdy na swojej drabinie. Pramm zaglądał do budki dla sów, przytwierdzonej do dużego świerku z tyłu działki. „Chociaż nigdy nie widziałem tam żadnej sowy”, dodał Seljesæter.

Przetrząsnęli każdy centymetr kwadratowy domu Pramma. Odwrócili do góry nogami samochód i wiatę garażową, ale nigdy nie zajrzeli do budek dla ptaków!

Rzucił ciasto na biurko i wybiegł z gabinetu tak gwałtownie, że w drzwiach zderzył się z Mortensenem, który właśnie się do niego wybierał.

- Hej! Dokąd się tak spieszysz?
- Masz czas, żeby pojechać ze mną na Auserød?
- Telefon nadal dzwoni, ale jeśli się zgadzasz, jasne, że pojedę.
- Chrzanić telefon! Chodź ze mną!

W chwili, gdy Wisting zatrzymał volvo przed żywopłotem na wysokości posesji Pramma, niebo rozświetliła długa błyskawica, po której nastąpił potężny grzmot. Komisarz wyskoczył z samochodu i zanim dotarł do furtki, przemókł do suchej nitki. Mortensen, któremu Wisting niczego po drodze nie wyjaśnił, siedział w fotelu obok kierowcy i miał bardzo sceptyczną minę. Wisting musiał zawołać go dwa razy, zanim młody policjant zdecydował się opuścić suche wnętrze auta i ruszyć za starszym kolegą.

Biało-czerwona taśma policyjna łopotała na wietrze. Kilka zwęglonych desek sterczało wokół fundamentów, tworząc razem z nimi pogorzeliśko przy Auserødsvingen 11. Na środku zgliszczy stał komin niczym wieża wystająca z popiołów.

Wisting pamiętał, że za domem stała kiedyś drabina. Nadal tam była, chociaż trzeba ją było wygrzebać spod spalonych fragmentów desek i zwęglonych dachówek. Razem z Mortensenem zanieśli drabinę na tyły ogrodu. Wielki świerk kołysał się niebezpiecznie na wietrze. Osiem metrów nad nimi Wisting dostrzegł dużą skrzynkę lęgową.

Podnieśli drabinę i oparli o drzewo. Komisarz rozkazał Mortensenowi, żeby przytrzymał drabinę, a sam zaczął się wspinać.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zawołał Mortensen, przekrzykując deszcz i wiatr.

– Zaraz rozwiążemy tę sprawę! – odkrzyknął Wisting. Słyszał w swoim głosie ekscytację.

Tam, gdzie drabina już nie sięgała, trzy gałęzie pełniły funkcję schodów. Komisarz zbliżył się do budki, ale czuł się nieswojo, ponieważ drzewo chwiało się na silnym wietrze. To był idiotyczny pomysł, przeszło mu przez głowę, gdy zerkał w dół na Mortensena, który stał oparty o długą aluminiową drabinę. Świerk z budką dla sów był z pewnością najwyższym punktem w okolicy i przebywanie na nim podczas gwałtownej burzy nie było rozsądne.

Budka była większa, niż się Wistingowi wydawało. Miała prawie siedemdziesiąt centymetrów wysokości i około czterdziestu centymetrów głębokości. Opierała się o solidną gałąź i była przywiązana do pnia grubym sznurem. Policjant pomyślał o wielkiej sowie stojącej na półce kominkowej w salonie Pramma i zrozumiał, że mimo dużych rozmiarów skrzynka była sowim domem jednorodzinny. Nagle przypomniał sobie, że klucze wypadły właśnie spod skrzydła wypchanego drapieżnika. To była wskazówka, pomyślał. Teraz był pewien, że to, co robił, miało sens.

Już miał skrzynkę lęgową w zasięgu wzroku, gdy nagle niebo rozdarła potężna błyskawica. Starym zwyczajem zaczął liczyć, ale ledwie zdążył powiedzieć „jeden”, rozległ się grzmot. Znajdował się w samym środku burzy.

Próbował wymacać otwór w budce, ale go nie znalazł. To znaczy był tam okrągły otwór wlotowy, ale całkowicie zasłonięty czarną drewnianą płytą. Nic dziwnego, że Seljesæter nigdy nie widział w niej żadnej sowy, pomyślał i chwycił gałąź zwisającą nad skrzynką lęgową. Nie za bardzo wiedział, czego

się spodziewał, ale gdy w końcu przyjrzał się porządnie budce, westchnął z rezygnacją. Na środku skrzynki znajdowała się dziurka od klucza, natomiast klucze, jakżeby inaczej, zostawił w gabinecie.

– Musimy zabrać ją ze sobą! – zawołał do Mortensena.

– Znalazłeś coś? – spytał przemoczony policjant.

– Jest zamknięta – wyjaśnił, chociaż Mortensen nie rozumiał, co komisarz ma na myśli. – Potrzebuję noża albo czegoś ostrego, żeby przeciąć sznur!

– Mam leathermana! – krzyknął i odczepił scyzoryk od paska.

Zejście po scyzoryk nie nastroczało trudności. Wspinaczka po budkę lęgową również nie. Znacznie trudniej było zejść po drabinie z trzydziestokilogramową skrzynką opartą o ramię. Kilka razy o mało co wypadła mu z ręki. Przez chwilę rozważał, czy nie rzucić jej na trawę, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nie wiedział, co zawiera budka, i nie chciał ryzykować, że coś stłucze.

Postawili ją na tylnym siedzeniu samochodu i pojechali z powrotem do komendy. Wisting ustawił najszybszy tryb pracy wycieraczek, a mimo to prawie nie widział drogi. Chociaż warunki pogodowe wymagały maksymalnego skupienia się na prowadzeniu, nie mógł się powstrzymać i co pięć sekund spoglądał w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że skrzynka lęgowa nadal tam stoi. Że tajemnica Prebena Pramma jedzie razem z nimi.

Wisting rozłożył na biurku aktualne wydania gazet i na samym środku postawił skrzynkę lęgową. Trzymał w dłoni większy z dwóch kluczy znalezionych w domu Pramma. Czuł łaskotanie w żołądku, ale uważał, że z otwarciem budki powinien poczekać, aż zjawią się wszyscy członkowie ekipy.

– Nils rozmawia przez telefon – powiedział Haber, wchodząc do gabinetu z dużym termosem kawy. – Zaraz skończy i będziemy w komplecie. Tymczasem mogę potwierdzić, że mamy do czynienia z dwoma zabójstwami.

Wisting wyciągnął w jego stronę filiżankę i Haber napełnił ją parującą kawą.

– To znaczy, że Gjikkoli został zamordowany? – spytał.

– Tak. Domyślam się, że nikogo z was to nie zdziwiło. Byłem w szpitalu na oględzinach zwłok i wniosek był taki, że Gjikkoli nie opuścił tego świata z własnej woli. Ale pewność będziemy mieć dopiero jutro, kiedy otrzymamy wyniki sekcji.

– Na jakiej podstawie wysnuto ten wniosek? – spytał komisarz, obejmując filiżankę obiema dłońmi.

– Po pierwsze, wskazuje na to sposób, w jaki Gjikkoli siedział za kierownicą. Jego ubranie ułożyło się tak, jakby został wepchnięty na siedzenie kierowcy. Po drugie, na jego ciele są widoczne dziwne ślady, między innymi mocne oparzenie skóry na karku. Czy to prawda, że facet, który widział, jak bmw wjeżdża do kamieniołomu, utrzymuje, że kierowcą był Norweg?

– Tak.

– Podejrzewam, że Gjikkoli leżał wtedy w bagażniku, a za kierownicą siedział jego zabójca.

– Czy Agim już wtedy nie żył?

– Niekoniecznie. W bagażniku znalazłem kilka czarnych kręconych włosów i białe włókna materiału i dlatego zgaduję, że badania techniczne potwierdzą, że Agim znajdował się tam przez jakiś czas. Prawdopodobnie nie był martwy, lecz nieprzytomny. Co więcej, te czarne włosy są bardzo podobne do tych, które zabezpieczyliśmy w domu Pramma. Sądzę, że oparzenie na karku zostało spowodowane użyciem paralizatora. Kilkaset tysięcy woltów wystarczy, żeby powalić większość z nas. Natomiast ślady po igłach na jego ramionach mogą świadczyć o tym, że dostał ogromną dawkę narkotyku i odjechał na wystarczająco długo, żeby spaliny mogły zrobić swoje.

– Jakies odciski palców w samochodzie albo inne ślady? – spytał Angell.

– Odholowałem auto do nas, ale musi postać dzień lub dwa na powietrzu, żebym mógł zabrać się do niego od środka.

– Może William zrobi to za ciebie? – zaproponował Mortensen. – Słyszałem, że zostawił tam trochę ciasta czekoladowego dla wron.

Zniecierpliwiony Wisting opuścił gabinet, który utonął w salwach śmiechu, i poszedł poszukać Hammera. Chciał jak najszybciej poznać zawartość budki dla ptaków. Zdążył już nią potrząsnąć, jak dziecko w wieczór wigilijny, i przekonał się, że w środku coś jest. Coś, co przemieszczało się z jednej strony na drugą, kiedy obracał skrzynkę w dłoniach. Chciał, żeby Hammer był obecny przy jej otwieraniu.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział śledczy, odkładając słuchawkę, gdy Wisting wsunął głowę do jego pokoju. – W końcu coś się dzieje.

– Dzieje się – potwierdził komisarz i podniósł dłoń, w której trzymał klucz. – U mnie w gabinecie.

– Rozmawiałem z Robinem Sande – ciągnął Hammer. – Jonathan Ravn właśnie wraca łodzią z Danii.

– Tak szybko?

– Tak. Wygląda na to, że to była wycieczka tam i z powrotem.

– Raczej na pewno chodziło o przemyt.

– Tak. Ravn poprosił Robina, żeby o północy podstawił samochód pod przystań jachtową w Agnes.

Wisting zerknął na zegarek. Była 17:25.

– Zostało ponad sześć godzin. Zdążymy przygotować mu komitet powitalny, ale najpierw poznamy tajemnicę Prebena Pramma. Chodź!

– To nie wszystko. Podejrzewam, że Agim brał udział w napadzie.

Komisarz odwrócił się w drzwiach, zrobił trzy kroki w głąb gabinetu

Hammera i usiadł na krześle.

– Mów!

– Przyjrzałem się wydrukowi rozmów telefonicznych. Pamiętasz, że samochód, którym dokonano napadu, został skradziony w Ski w nocy z 30 kwietnia na 1 maja?

– Tak.

– Tej nocy komórka Agima logowała się przez stacje przekaźnikowe wzdłuż E18 do Oslo i dalej do Ski i z powrotem. A wiesz, do kogo pierwszego zadzwonił, wracając ze Ski?

– Do Ravna?

– Do Ravna.

– To może być zbieg okoliczności.

– Owszem, ale jeśli to samo dotyczy dwóch innych samochodów, które, jak wiemy, zostały użyte w napadzie, to już chyba nie jest przypadek?

Wisting przytaknął.

– Prześledziłem również połączenia telefoniczne Agima w dniu napadu – mówił dalej Hammer. – Przed południem wiele razy rozmawiał z Ravnem. Logował się przez stacje położone wzdłuż Lågendalen, najpierw w górę, potem w dół. Natomiast ostatnia rozmowa przeszła przez stację w Brunlanes, która obejmuje obszar wokół Ulleberg.

– Sugerujesz, że Agim był w Lågendalen, rozstawił samochody, które następnie zostały podpalone, i przygotował się do zamiany aut przy Ulleberg?

– Właśnie tak. Od czasu rozmowy w Brunlanes o godzinie 12:37 nie używał telefonu aż do 17:41. Wtedy zadzwonił do narzeczonej. Przypuszczam, że dzwonił z pokładu motorówki, bo telefon logował się przez bazę w Kjøpmannskjær^[27].

– Uciekał z łupem – skomentował Wisting i skinął głową. Kolejne elementy układanki znalazły się na swoim miejscu.

– Tak. A pamiętasz parę zakochanych, którzy opalali się nad Skråvika i widzieli, jak sprawcy wchodzą na pokład łodzi? Twierdzili, że jeden z nich wyglądał na cudzoziemca.

Gwałtowna błyskawica rozświetliła gabinet Hammera. Chwilę później budynek komendy pograżył się w ciemności, ponieważ w całym mieście wysiadł prąd.

– Chodźmy do mnie – zaproponował Wisting. – Haber przyniósł termos

z gorącą kawą. Następna filiżanka może nieprędko się trafić.

^[27] Kjøpmannskjær – miejscowość na wyspie Nøtterøy w Vestfold licząca 442 mieszkańców.

Klucz obrócił się z niezwykłą łatwością. Wisting był zaskoczony, że mechanizm zamka wystawionego na działanie różnych czynników atmosferycznych był tak prosty w obsłudze. Mogło to oznaczać, że Pramm często otwierał budkę i regularnie oliwił zamek.

Komisarz ustawił klucz w poprzek dziurki i pociągnął nim frontową ścianę budki, która była umocowana na zawiasach z prawej strony i otwierała się jak zwykle drzwi. Policjanci zebrani wokół Wistinga śledzili w napięciu każdy jego ruch. Panowała absolutna cisza.

W budce znajdowała się zielona metalowa skrzynka, która ledwo się w niej mieściła. Komisarz wyjął ją ostrożnie i postawił na gazetach. Nietrudno było się domyślić, do czego pasował drugi, mniejszy klucz. Wsunął go do zamka i przekręcił. Również tym razem nie miał z tym najmniejszych trudności. Gdy unióśł wieko, nagle włączono prąd i zawartość skrzynki leżała skąpana w świetle.

Szkatułka była podzielona na dwie części. W dolnej znajdowały się trzy rzędy czarno-białych fotografii. Łącznie musiało ich być kilkaset. Były umieszczone tak jak w pudełku na dokumenty tylko bez przekładek kartonowych. W górnej leżało kilkaset rolek negatywów.

Wisting wziął do ręki zdjęcie leżące na samej górze po prawej stronie. Fotografia przedstawiała dwoje młodych ludzi na kocu rozłożonym na skrawku trawy między dwiema skałami. Oboje byli nadzy. Chłopak leżał na plecach i żuł źdźbło trawy, patrząc prosto w górę. Dziewczyna leżała na boku zwrócona do niego twarzą, którą rozjaśniał promienny uśmiech. Mogła być w wieku Line. Następne zdjęcie najprawdopodobniej zostało zrobione trochę wcześniej. Chłopak wciąż leżał na plecach, ale dziewczyna siedziała na nim z głową odchylną do tyłu, tak że jej długie jasne włosy sięgały do połowy

pleców, a okrągłe piersi ze sztywnymi sutkami sterczały w górę. Dłonie przyciskała do umięśnionej klatki piersiowej młodego mężczyzny. Na następnej fotografii klęczała na czworakach, a chłopak wchodził w nią od tyłu. Dziesięć kolejnych zdjęć ukazywało tę samą parę w różnych pozycjach.

Wydawali się szczęśliwi, radośni i wyzwoleni. Najwyraźniej zupełnie nieświadomi tego, że niedaleko nich siedzi za krzakami podglądacz ptaków i robi im zdjęcia. Wisting miał wrażenie, że jest w nich coś znajomego, ale nie potrafił tego nazwać. Może przypominali mu jego samego i Ingrid? W młodości oni także przeżyli wiele długich chwil rozkoszy na przybrzeżnych skałach. Kiedyś nakryła ich pewna starsza pani, która mieszkała w domku letniskowym po drugiej stronie cypla, gdzie rozłożyli koc. Nigdy w życiu nie było mu tak wstyd. Na kilka dni stracił zupełnie ochotę na seks, ale po tygodniu oboje się już tylko z tego śmiali. Zastanawiał się, co poczułaby tamta para na zdjęciu, gdyby wiedziała, że sześcioro śledczych jest świadkami ich najbardziej intymnych przeżyć.

Młodzi ludzie uprawiający seks pod gołym niebem zostali uwiecznieni na łącznie trzynastu fotografiach. Kolejna seria zdjęć została zrobiona przez okno w salonie. Fotografie były ziarniste i gorszej jakości. Para również była naga, ale za to nie zmieniała pozycji. Kobieta stała pochylona nad ławą i obiema rękami trzymała się mocno przeciwległych krawędzi stołu. Duże piersi dotykały blatu. Miała zamknięte oczy i rozchylone usta. Wistingowi wydawało się, że niemal słyszy jej jęki. Mężczyzna stojący za nią był duży, silnie zbudowany i miał gładko ogoloną głowę.

Komisarz rozpoznał salon. Na ścianie za parą kochanków wisiał obraz i stary zegar. Obok niego rzeźbiona półka na talerze, na której siedziały stare porcelanowe lalki. Mężczyznę również rozpoznał bez najmniejszego trudu. To był Frank Omholt. Natomiast o kobiecie, z którą Omholt uprawiał seks, Wisting mógł powiedzieć tylko jedno: to nie była Nina Omholt.

Adrenalina, która gromadziła się w Wistingu do momentu otwarcia skrzynki leżącej, przegoniła ból głowy, ale teraz ucisk w skroniach wracał ze zdwojoną siłą. Komisarz przeszukał szuflady biurka i znalazł opakowanie tabletek kofeinowych. Ingrid kupiła je w aptece w Strømstad podczas jednej z wypraw na zakupy z przyjaciółkami. Wrzucił trzy tabletki do szklanki z wodą, która stała na biurku od ponad dwóch godzin. Gdy tak siedział i obserwował, jak tabletki się rozpuszczają, połknął kawałek ciasta czekoladowego, które zostało z czasu wizyty w stołówce i zdążyło pokryć się cienką suchą skorupą. Nie, żeby miał na nie jakąś szczególną ochotę, wiedział jednak, że pomoże mu to zwalczyć ból głowy.

Ciasto leżało na jego notatkach i zostawiło po sobie czekoladową plamę obok kółka, w którym było napisane „Frank Omholt”. Wisting czuł, jak ogarnia go frustracja. Przeklinał w myślach tę całą budkę dla ptaków, która stała przed nim na biurku. Zanim ją otworzył, wydawało mu się, że śledztwo w końcu weszło na właściwe tory. Wiele luźnych wątków połączyło się, dając jedną konkretną odpowiedź: Jonathan Ravn. Aż tu nagle pojawiło się zdjęcie Franka Omholta uprawiającego pozamałżeński seks przy ławie we własnym salonie.

„Uśmiechnij się! Jesteś w ukrytej kamerze!”, powiedział do siebie komisarz i wypił wodę z rozpuszczonymi tabletkami.

Mortensen był nadzwyczaj chętny, by przejrzeć pozostałe zdjęcia ukryte w skrzynce Pramma pod kątem ich ewentualnego związku z prowadzonym dochodzeniem. Zanim zabrał je do swojego gabinetu, przypomniał śledczym, co już wcześniej mówił na temat Omholta i jego temperamentu. Nieco bardziej nieśmiało dodał, że w przerwach między odbieraniem zgłoszeń od świadków przyjrzał się dokładniej Frankowi Omholtowi i odkrył, że

mężczyzna miał na koncie dwa wyroki za uszkodzenie ciała. Do obu zdarzeń doszło w latach osiemdziesiątych, gdy Omholt mieszkał w Sande. Druga sprawa, za którą otrzymał karę półtora roku więzienia, dotyczyła bójki, do jakiej doszło w pubie w Oslo. Omholt wyłupał osiemnastolatkowi oko rozbitą butelką po piwie.

Jeśli Pramm usiłował wyłudzić od Omholta pieniądze w zamian za milczenie na temat pozamałżeńskiego seksu na ławie w salonie, to popełnił kardynalny błąd. Po pierwsze, Omholt nie był bogaty. Podstawą ich utrzymania były pieniądze zarobione na czarno w warsztacie samochodowym rodziny Ravnów. Po drugie, był człowiekiem porywczym.

Wisting czuł, że luźne wątki, które, jak mu się do niedawna wydawało, zebrał w całość, poplątały się i utworzyły jeden wielki węzeł. Poza tym stale przybywało nowych tropów. Zdjęcia z salonu Niny i Franka Omholtów przywiodły mu na myśl Mortena Haslera. Wiele przedmiotów stanowiących wyposażenie wnętrza domu przy Auserødsvingen 13 wyglądało na stare i zabytkowe. Czyżby to miało jakiś związek z Haslerem?

Oparł głowę o dłonie, zamknął oczy i westchnął ciężko. Miał tego dość. Tęsknił za domem. Za Ingrid. Za starym fotelem z zausznikami w salonie na strychu, gdzie mógł odpocząć, posłuchać starych płyt lub poczytać dobrą książkę, delektując się kieliszkiem koniaku. Zastanawiał się, ile Hasler zapłaciłby mu za ten fotel. Oczywiście sprzedaż nie wchodziła w grę, ale zabawnie byłoby się przekonać, na jaką kwotę Hasler byłby skłonny go oszukać. Wisting odziedziczył mebel po matce i wiązało się z nim tak wiele wspomnień, że do głowy by mu nie przyszło oddać go w obce ręce. Matka nie żyła od piętnastu lat, ale kiedy o niej myślał, zawsze widział ją siedzącą właśnie w tym fotelu. Właściwie to dziwne, że w nim nie umarła, pomyślał, ale jednocześnie cieszył się, że tak się nie stało. Nie miał pojęcia, co wtedy by z nim zrobił.

Wrócił myślami do pobrudzonych notatek. Woda deszczowa, która wypłynęła ze skrzynki lęgowej, rozmazała tusz w wielu miejscach. Kartka była wypełniona tyłoma kółkami, kreskami, nazwiskami i hasłami, że jej zawartość miała sens jedynie dla niego. Ale to wystarczyło. To była jedna z jego ulubionych metod pracy. Nie nauczył się jej na szkoleniu podstawowym ani na kursie dla dowódców, ani na szkoleniu podyplomowym. Udało mu się rozwiązać wiele skomplikowanych spraw, które w jego notatkach przedstawiały się dużo zawilej niż ta.

Z kieszeni koszuli, wciąż jeszcze mokrej po wyprawie na Auserødsvingen 11, wyjął długopis i narysował przerywaną linię, którą połączył kółko „Franka Omholta” z pętlą „Mortena Haslera”.

Również kobieta, z którą sypiał Omholt, stanowiła nowy wątek w sprawie. Kim była? Nieznajoma z dużym biustem znalazła się w kółku obok swojego kochanka. Należało koniecznie ją odnaleźć.

Ból głowy nie przechodził. Wisting domyślił się, że miał w tym swój udział gwałtowny spadek ciśnienia. Odrzucił długopis, oparł łokcie o blat biurka i opuszkami palców zaczął masować skronie. Długopis upadł na notatki i znieruchomiał wzdłuż przerywanej linii łączącej Omholta z Haslerem, zakrywając literę „k” w imieniu Frank. Literę „F” już wcześniej rozmazała woda ściekająca ze skrzynki lęgowej. Z Franka zostało tylko „ran”^[28].

Podświadomość Wistinga znowu zaczęła pracować. Pod koniec przesłuchania, a właściwie tuż po jego zakończeniu, Hasler powiedział coś istotnego. Rozmawiali o napadzie na konwój. Hasler wyraził nadzieję, że sprawa zostanie szybko wyjaśniona. W wieczór poprzedzający napad we wrzutni nocnej na rynku zdeponował utarg z całego tygodnia. Utarg, który zrabowali przestępcy.

Wisting wyprostował się w fotelu i zaśmiał pod nosem. A więc tak to się ze sobą łączyło. To był ten punkt przecięcia się dwóch dużych spraw kryminalnych. Pieniądze, które znaleziono w ustach Pramma, pochodziły z napadu, a dokładniej z worka, w którym znalazła się zawartość skarbca nocnego. Nic dziwnego, że na trzech banknotach zabezpieczono odciski palców Haslera.

Gdy Mortensen zjawił się w drzwiach, komisarz nie mógł się powstrzymać i natychmiast podzielił się z nim swoim objawieniem. Policjant kiwał głową, ale sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał go zbyt uważnie. Trzymał w ręce brązową kopertę, którą starał się ukryć za plecami.

– Czy te nagie zdjęcia dokądś nas zaprowadziły? – spytał Wisting.

– Nie bardzo – odparł i wyciągnął kopertę zza pleców. – Zabrałem ze skrzynki serię zdjęć, zanim oficjalnie stanie się dowodem w sprawie.

– Tak? – zdziwił się komisarz i odebrał kopertę od Mortensena. – Dlaczego?

Tamten nie odpowiedział, tylko skinął w milczeniu na kopertę, którą Wisting właśnie otwierał. W środku znajdowało się dziesięć, może dwanaście zdjęć. Wszystkie przedstawiały samotną kobietę, która rozłożyła ręcznik na

skale i wystawiła ciało do słońca. Na dwóch fotografiach, które najwyraźniej zostały zrobione jedna po drugiej, można było dostrzec piersi kobiety, która zdjęła górną część stroju i położyła się na brzuchu, żeby opalać plecy. To była najpiękniejsza kobieta, jaką Wisting kiedykolwiek widział. Może zdjęcia tego tak dobrze nie oddawały, ale komisarz był tego pewny, ponieważ dobrze ją znał. Kobieta na fotografiach była jego żoną.

Oniemiały przejrzał plik zdjęć jeszcze raz. W końcu podniósł wzrok tylko po to, by stwierdzić, że Mortensena już nie było. Poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Często siedział twarzą w twarz z dzieciobójcami i gwałcicielami, ale nigdy jeszcze nie czuł takiej nienawiści. Gniewowi towarzyszyło uczucie zadowolenia z faktu, że Preben Pramm nie żyje i że prawdopodobnie umierał w męczarniach. Wisting przeraził się. Nie dlatego, że poczuł wściekłość, lecz dlatego, że jeśli on tak się czuł, to oznaczało, że na nagich zdjęciach w skrzynce Pramma znajdowało się wielu potencjalnych zabójców.

Podniósł się gwałtownie z fotela i uderzył lewym kolaniem o róg biurka, przewracając filiżankę kawy. Kilka ostatnich kropel wylało się na notatki. Ból był intensywny i rozszedł się po całym ciele. Komisarz zaklął głośno i rzucił zdjęciami w ścianę. Z wściekłości uderzył pięścią w skrzynkę łęgową, zrzucając ją na podłogę. Słyszał, jak budka rozpada się na kawałki. Ból od uderzenia pięścią był tak samo dotkliwy jak zderzenie kolana z biurkiem, ale jednocześnie przyniósł ulgę, ponieważ pozwolił rozładować frustrację i agresję. Frustrację wywołaną faktem, że śledztwo rozchodzi się we wszystkie strony, i agresję spowodowaną widokiem zdjęć nagiej Ingrid.

Na biurko zaczęła kapać krew. Wisting ponownie zacisnął pięść i się jej przyjrzał. Z trzech kostek zwisały luźne fragmenty skóry, a otwarta rana dość mocno krwawiła. W środkowej kostce tkwiła drzazga. Przyłożył pięść do ust i poczuł na języku smak krwi. Stał i przyglądał się temu, co zostało ze skrzynki łęgowej Prebena Pramma. Tylne ścianki oderwały się od bocznej, a górna się przekrzywiła. Pomyślał, że budka nie będzie się dobrze prezentować przed ławą przysięgłych jako dowód rzeczowy.

Podniósł ją ostrożnie, postawił na biurku i próbował wyprostować krzywe ścianki. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie uda mu się przywrócić jej dawny wygląd, jeśli użyje młotka. Otworzył drzwiczki z przodu skrzynki, usiłując naprawić wieko, ale nagle wypuścił ją z rąk, jakby oparzyła go w dłonie. Chwilę wcześniej usłyszał dźwięk, jakby coś się oderwało. W stronę otworu w budce upadła płyta ze sklejki. Miała dokładnie te same wymiary co

tylna ścianka. Zapewne była tak dopasowana, że ściśle do niej przylegała. Nawet teraz Wisting musiał się trochę natrudzić, żeby ją wyciągnąć.

Między cienką sklejką a tylną ścianą skrzynki lęgowej znajdowała się szara koperta formatu C4. Wyjął ją, wymacał i zważył w dłoniach. Nie była ani ciężka, ani gruba. Zrozumiał, że ona również zawierała zdjęcia. Rozejrzał się za nożem do papieru, ale ponieważ go nie znalazł, wziął do ręki nożyczki leżące w szufladzie biurka i otworzył nimi kopertę. Usiadł w fotelu i dwoma palcami rozwarł jej ścianki. W środku znajdowały się zdjęcia i negatywy.

Niemal nabożnie wydobył plik zdjęć. Pierwsze przedstawiało trzy osoby. Wszystkie miały na sobie ubranie. Dużo ubrań. Byli to trzej mężczyźni w ciemnych kombinezonach i kominiarkach.

Stali obok dużej łodzi wciągniętej na kamienistą plażę. Jeden z mężczyzn wyładowywał z białego audi czarny worek na śmieci.

Nagle Wisting zrozumiał, dlaczego para młodych kochanków uprawiających seks we wszystkich możliwych pozycjach wydała mu się znajoma. Widział ich tylko raz i to przelotnie w dniu napadu, gdy zjawili się w komendzie, żeby złożyć wyjaśnienia. Byli świadkami tego, jak bandyci załadowali zrabowane pieniądze na motorówkę i zniknęli. To była ostatnia pewna obserwacja sprawców.

Przełożył zdjęcie na koniec. Na następnej fotografii jeden z przestępców był bez kominiarki, ale nie można było go rozpoznać, ponieważ zdjęcie zostało zrobione w chwili, gdy mężczyzna ocierał przedramieniem pot z czoła. Natomiast na kolejnym zdjęciu przestępca stał z twarzą zwróconą w stronę obiektywu i uśmiechał się, oczywiście zupełnie nieświadomy faktu, że Preben Pramm leży ukryty w krzakach i ich obserwuje. Mężczyzną, który uśmiechał się do ukrytej kamery, był Jonathan Ravn.

[28] *Ran* (norw.) – rozbój, grabież.

W drodze do przystani w Agnes Wisting zahaczył o dom na Herman Wildenveys gate, żeby przebrać się w suche rzeczy. Ingrid nalegała, żeby opatrzyć mu ranę na dłoni, i była ciekawa, gdzie się tak skaleczył. Wisting, który rozumiał, że są o krok od rozwiązania sprawy o zabójstwo, wyjaśnił chaotycznie, że narkomanka, której Pramm płacił za seks, okazała się fałszywym tropem, a motywem przestępstwa były zdjęcia ukryte w skrzynce lęgowej należącej do ofiary.

– Co za stara świnia! – zawołała Ingrid.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie wspomniał przecież o jej nagich zdjęciach i chociaż potępiał Pramma za to, co zrobił, nigdy nie patrzył na niego w ten sposób. Dotarło do niego, że w ciągu tych kilku gorączkowych dni śledztwa zdążył poznać starego człowieka, i teraz czuł, że musi wziąć go w obronę.

– Pramm był samotnym marzycielem – zaczął. – Marzył o lepszym życiu, aż któregoś dnia dostrzegł szansę na zrealizowanie swoich marzeń. Pieniądze, które mógł zdobyć w tak łatwy i szybki sposób, skierowałyby jego życie na lepsze tory, zapewniły powodzenie we wszystkich sferach i otworzyły drogę do serca kobiety, którą darzył uczuciem.

Po raz pierwszy dał wyraz temu, że rozumie, w jaki sposób i dlaczego Pramm zniósł tortury, które zadali mu zabójcy. Skoro jego marzenie nie miało się ziścić, nie miał po co żyć.

– Innymi słowy: sen nocy letniej – skomentowała Ingrid z dziwnym uśmiechem.

– Hm?

Wisting był wciąż pogrążony we własnych myślach i nie usłyszał, co powiedziała.

– Nieważne. Wypożyczę ci tę książkę. Zrozumiesz, jeśli znajdziesz czas, by ją przeczytać – zaśmiała się. – A teraz włóż suche ubranie!

Przebierając się, zdradził, że jest uzbrojony. Przy pasku wisiała kabura z bronią służbową. Był to rewolwer marki Smith & Wesson, kaliber trzydzieści osiem. Ostatni raz używał go niemal rok temu, a i wtedy wyłącznie po to, by zaliczyć coroczne szkolenie strzeleckie. Czuł się niekomfortowo z bronią przy biodrze. Z tym większym zadowoleniem włożył kurtkę przeciwdeszczową, którą podała mu Ingrid, ponieważ kurtka zasłaniała broń.

– Uważaj na siebie – powiedziała. Jej spojrzenie mówiło znacznie więcej niż słowa. Bardzo się o niego martwiła.

Wzruszył się. Pół życia spędziła z policjantem i z troskami, które temu towarzyszyły. To, że nigdy nie wiedziała, czy mąż wróci do domu na tyle wcześnie, by móc zjeść obiad z rodziną lub przynajmniej zanim dzieci pójdą spać, to jedno. Jednak czymś zupełnie innym było to, że nigdy nie wiedziała, czy mąż w ogóle wróci do domu. Chciał ją objąć z całej siły, trzymać długo w ramionach i powiedzieć, jak pięknie wygląda na zdjęciach ukrytych w szufladzie jego biurka. Zrezygnował jednak z tego zamiaru i zadowolił się szybkim pocałunkiem w policzek.

Gdy przed wyjściem z pracy pozbierał z podłogi zdjęcia żony, dokonał kolejnego odkrycia. Tak bardzo skupili się na nagich ludziach uwiecznionych na fotografiach, że nie wpadli na to, by sprawdzić, czy nie ma nic na odwrocie. Dzięki temu, że wiele zdjęć Ingrid spadło na ziemię fotografią do dołu, bez trudu odczytał notatki Pramma. Na wszystkich zdjęciach był ten sam tekst: „X Rakke, 1 lipca 1997”. Wisting poszedł do Mortensena i odszukał zdjęcia nastolatków. Z tyłu znajdował się napis: „X Skråvika, 7 czerwca 2002”. W ten sposób ostatni kod z kalendarza został złamany. Krzyżyki oznaczały dni, w których emeryt uchwycił w obiektywie coś innego niż ptaki. Hammer był bardzo blisko ze swoją niemal autobiograficzną teorią mówiącą o tym, że Pramm zaznaczał znakiem X te dni, w których wylądował w łóżku z kobietą. Do czasu, gdy emeryt spotkał Silje Holte, nie miał szansy zbliżyć się do kobiet bardziej niż poprzez swoje zdjęcia.

Nie bez powodu Jonathan Ravn wybrał przystań jachtową w Agnes. Była mała, słabo oświetlona, niestrzeżona i położona w dość odludnym miejscu. Oznaczało to, że idealnie nadawała się również do przeprowadzenia akcji policyjnej. Przystań leżała w zatoce, otoczona wysokimi skałami z gęstą roślinnością, gdzie łatwo było znaleźć dogodne, ustronne miejsca do obserwacji dla Mortensena i Habera. Poza tym prowadziła tam tylko jedna droga, tak wąska, że nie mogły się na niej minąć dwa samochody.

Tuż obok przystani, na placu, który zimą służył do składowania towarów, a latem jako parking, stały dwa samochody dostawcze. W jednym z nich za kierownicą siedział informator Hammera, a w drugim ukrywało się czterech policyjnych antyterrorystów, którzy mieli dokonać zatrzymania przemytników. Plan był następujący: Hammer miał ustawić blokadę w miejscu, gdzie droga była najwęższa, a Wisting i Borg mieli ukrywać się w pobliskim zagajniku. Gdyby przestępcy postanowili ratować się ucieczką i wypłynąć z powrotem na fiord, czekała tam już na nich łódź policyjna i jednostka ratownictwa morskiego „Nanki Bergesen”, na której pokładzie Angell pełnił chwilowo funkcję drugiego oficera.

Mieli zatrzymać wszystkich, łącznie z informatorem Hammera. Robin Sande nalegał, żeby zamknęli go na dobę w areszcie. Potem policja miała uwierzyć w jego wyjaśnienia, że nie wiedział nic o przemycanych narkotykach i że znalazł się na przystani tylko po to, by odebrać kumpla wracającego z morskiej wycieczki. Na tej podstawie zarzuty wobec niego miały zostać wycofane.

Plan był dobry, chociaż miał słabe strony. Po pierwsze, nie wiedzieli, czy Ravn przyplynie sam, a jeśli nie, to ilu ludzi będzie mu towarzyszyć. Po drugie, nie mieli żadnej gwarancji, że Ravn nie wysiadł w innym miejscu lub

nie przeniósł się na pokład innej jednostki w głębi Larviksfjorden. Po trzeciej, narkotyki mogły zostać wrzucone do morza lub ukryte na jakiejś wysepce. Wisting dałby wiele, by oprócz zatrzymania mężczyzny podejrzanego o zabójstwo udało im się skonfiskować narkotyki. Obawiał się jednak, że akcja na przystani może być jedynie manewrem mylącym. Nie podobała mu się myśl, że podczas ostatniego spotkania z Ravnem wszystkie siły policyjne zostały skierowane na Lågendalen, podczas gdy prawdziwa trasa ucieczki przestępców wiodła wzdłuż wybrzeża.

Zupełnie niepotrzebnie przebrał się w suche rzeczy. Deszcz nie przestawał padać i chociaż kurtka przeciwdeszczowa i korona buka zatrzymywały część opadu, i tak strugi deszczu ściekały mu po plecach. Torunn usiadła na dużym kamieniu, ale Wisting nie miał tyle szczęścia i musiał zadowolić się wygiętym korzeniem drzewa. Usiłował sprawdzić, która jest godzina, ale w ciemności nie dostrzegł wskazówek zegarka. Siedział wpatrzony w przegub ręki i czekał, aż kolejna błyskawica rozświetli niebo. Gdy to się stało, zobaczył, że minęła właśnie dwudziesta trzecia. Mieli przed sobą godzinę czekania w ciemności. Godzinę czekania na mordercę.

Wisting myślał o wydarzeniach ostatnich dni. Schemat działania Jonathana Ravna wydawał się do pewnego stopnia racjonalny. On i jego kumple przeprowadzili doskonałą akcję, ale ni stąd, ni zowąd zjawił się człowiek, który wiedział, że popełnili przestępstwo, i miał na to dowody. Ravn nie miał innego wyjścia: musiał pozbyć się Pramma. Razem z Gjikollim próbowali torturami zmusić starca do wydania obciążających ich zdjęć, a gdy im się to nie udało i gdy nie znaleźli tego, czego szukali, Gjikolli wymiękł. Zażądał swojej części zysku i postanowił się wycofać. Do kłótni o pieniądze musiało dojść po tym, jak Ravn i Gjikolli po raz drugi przeszukali dom Pramma i nie znaleźli zdjęć. Ravn uznał, że musi definitywnie rozwiązać problem z Agimem. Zabijając go, niejako „przy okazji” przejął połowę jego udziałów.

Jako zabójca Ravn był poczytalny, ale na pewno nie zamierzał się poddać. Wisting wiedział, że sprawy przybierają czasem nieoczekiwany obrót, i z pewną obawą myślał o tym, co przyniosą najbliższe godziny.

Zmienił pozycję. Nadal bolało go kolano po ostrym zderzeniu z rogiem biurka. Poza tym był głodny i brakowało mu kawy. Czuł, że powinien udać się za potrzebą w jakieś krzaki, ale doszedł do wniosku, że jeszcze trochę wytrzyma. Od poprzedniej filiżanki kawy minęło sporo czasu.

Zerknął na Borg, która siedziała obok niego wpatrzona w ciemność. Zastanawiał się, o czym myślała. Miał nadzieję, że tak samo jak on była skupiona na zadaniu, które mieli wykonać.

Od czasu do czasu słyszeli odgłosy samochodów jadących Stavernsveien. Wszystkie inne dźwięki zagłuszał ulewny deszcz, który bębnił o ziemię. Mimo to czekali w milczeniu. Nie mieli pewności, czy tylko Robin Sande miał odebrać Ravna z przystani.

Nagle rozległy się dwa głośne sygnały. Wisting wzdrygnął się. W pierwszej

chwili nie wiedział, co to za dźwięki, ale potem zrozumiał, że to jego telefon komórkowy ukryty w kieszeni spodni zasygnalizował nadejście wiadomości tekstowej. Poczł wstyd i złość na siebie, że nie wyłączył dźwięku w komórce. Te dwa sygnały mogły zaprzepaścić całą operację. Zanim wyłączył telefon, odczytał wiadomość. Tak jak się spodziewał, był to esemes od Line: „Pożegnaliśmy Europę Wschodnią. Właśnie powitaliśmy Wenecję i piękną pogodę. Jest super! Pozdrów wszystkich!”.

Żadnych uszczypliwych uwag dotyczących jego wyglądu. Uśmiechnął się pod nosem i włożył wyłączoną komórkę do kieszeni spodni. Patrzył w milczeniu przed siebie, zastanawiając się, czy do Wenecji dojeżdża pociąg, gdy nagle zatrzeszczała słuchawka połączona z krótkofalówką, która leżała obok niego w trawie. Rozpoznał głos Angella.

– Do fiordu wpływa sportowa łódź motorowa. Duża, co najmniej dwadzieścia osiem stóp. Na pokładzie jest dwóch mężczyzn.

Po kilku minutach intensywnego wpatrywania się w ciemne wody fiordu dostrzegli łódź, która powoli wpłynęła między pomosty na przystani jachtowej. Wisting wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Ukryty pod bukiem, miał całą przystań jak na dłoni, ale była ona słabo oświetlona. Dostrzegł kontury dwóch osób, ale nie był w stanie ich zidentyfikować.

Przybili do brzegu w najdalszym miejscu. Mężczyzna, który stał za sterem, wskoczył na ląd i zarzucił cumy, natomiast ten, który siedział z tyłu, przyciągnął łódź do krawędzi pomostu. Nocne ciemności rozświetliła kolejna błyskawica. Wisting cofnął się w obawie, że zostanie zauważony, ale zdążył rozpoznać mężczyzn. W swoim gabinecie miał czarno-białą fotografię, na której byli uwiecznieni wszyscy trzej: Agim Gjikolli, Jonathan Ravn i Robert Vassvik.

Robin Sande wysiadł z furgonetki i ruszył w stronę pomostu. Usiłował osłonić się przed deszczem, naciągając kurtkę na głowę, ale i tak zmókł. Wymienił kilka słów z mężczyznami z łodzi, choć oczywiście nie sposób było usłyszeć, co mówią. Po chwili pobiegł z powrotem do samochodu i wycofał go do krawędzi pomostu. Ciemna postać, w której Wisting rozpoznał Jonathana Ravna, zaczęła wyładowywać na brzeg czarne worki.

Borg i Wisting wymienili spojrzenie. Jeśli wszystkie zawierały narkotyki, to był to przemyt na dużą skalę.

Robin Sande wyskoczył z szoferki i zajął się ładowaniem worków do tylnej części forda transita. Chcąc nie chcąc, przestał osłaniać się przed deszczem.

Mężczyźni pracowali szybko. Przeładunek zajął im zaledwie dwie minuty, a potem wszyscy trzej wsiedli do furgonetki. Sande zajął miejsce za kierownicą, Vassvik w środku, a Ravn w fotelu pasażera. Zatrzymania Ravn mieli dokonać Wisting i Borg.

Znowu zatrzeszczało w słuchawce. Tym razem rozległ się głos Habera.

– Obiekt się porusza. Powtarzam: obiekt się porusza.

– Przyjąłem – odparł Hammer.

– Przyjąłem – potwierdził jeden z funkcjonariuszy w drugiej furgonetce stojącej na parkingu.

Wisting podniósł się. Wyjął z kabury rewolwer. Stał i czekał z uniesioną bronią i palcem wzdłuż języka spustowego. Borg przyjęła tę samą pozycję. Komisarz był cały mokry. Krople deszczu spływały mu z włosów na twarz. Wolną ręką wytarł wodę z oczu, by móc uważnie śledzić rozwój wydarzeń.

W oddali włączyły się reflektory ciężarówki kierowanej przez Hammera i pojazd ruszył ku przystani. W tym samym czasie ford transit zmierzał w przeciwnym kierunku. Wisting ocenił prędkość obu samochodów i stwierdził, że powinny spotkać się dokładnie w tym miejscu, w którym stał z Borg. Opuścił broń i skierował lufę w stronę zbliżającego się forda transita.

Gdy Hammer włączył wszystkie światła, w tym dodatkowe, zamontowane na kratownicy wlotu powietrza, furgonetka z antyterrorystami ruszyła z parkingu obok przystani. Jechała z dużą prędkością. Po chwili rozsunęły się boczne drzwi. Z wnętrza wychyliło się trzech policjantów w kominiarkach, ubranych w granatowe kombinezony z kamizelkami kuloodpornymi na wierzchu i uzbrojonych w broń maszynową. Jedynym, co odróżniało ich od przestępców, których zdjęcie leżało w gabinecie Wistinga, był duży biały napis POLICJA na piersi i plecach.

Robin Sande zatrzymał samochód. Furgonetka z antyterrorystami stanęła tuż za nim. Transit znalazł się w potrzasku. Policjanci wyskoczyli z auta i zajęli pozycje. Wszystkie lufy zostały skierowane w stronę szoferki, w której siedzieli przestępcy. Krzyki policjanta, który dowodził grupą, bez trudu przebiły się przez odgłosy deszczu.

– Policja! Nie ruszać się!

Wisting przełknął ślinę. Możliwe były dwa scenariusze: poddanie się lub pełna konfrontacja. Mocniej ścisnął rewolwer. Jego palce były mokre od potu.

W świetle rzucanym przez ciężarówkę zobaczył, że Robin Sande podnosi rękę, zakłada je za głowę i nieruchomieje. Robert Vassvik wyraźnie się wahał.

Rzucił okiem na Sandego, odwrócił się i spojrział na Ravna, a potem znowu na kierowcę, aż w końcu podniósł ręce nad głowę.

Przez sekundę, może dwie, Ravn siedział nieruchomo. Jego twarz za ciemną, zalaną deszczem przednią szybą była jedynie jasną plamą. Dopiero gdy zbliżył twarz do okna, dostrzegli jego skupioną minę. Próbował ocenić sytuację. Czekali, co zrobi.

W końcu on także podniósł ręce. Jedną osłaniał oczy przed ostrym światłem. W drugiej błysnął pistolet. Wisting nie spuszczał wzroku z zimnego metalu, gdy Ravn powoli otworzył drzwi samochodu i ostrożnie postawił stopę na ziemi.

Komisarz czuł, że otaczający go mężczyźni zeszywnieli. Miał wrażenie, że wszyscy wstrzymali oddech.

– Policja! – powtórzył dowódca. – Nie ruszaj się!

Ravn zachowywał się tak, jakby niczego nie słyszał. Wolną dłoń położył teraz na otwartych drzwiach i wydawał się rozluźniony, jakby się z nimi bawił i miał nad nimi przewagę. Przez moment wyglądał tak, jakby się uśmiechał. Wisting poczuł rosnący niepokój. Niepokój o to, że finał akcji będzie dramatyczny.

– Rzuć broń! – zawołał oficer dowodzący grupą. Najwyraźniej jego również zaniepokoiło zachowanie Ravna. – Jesteś otoczony!

Wisting mierzył w kierunku przestępcy. Świat skurczył się do rozmiarów celownika, Ravna i matowego pistoletu. Zatrzymany kadr.

Nagle obraz ożył.

Ravn wyskoczył z furgonetki. Wąska droga zamieniła się w błotnistą kałużę. Mężczyzna pośliznął się i wpadł do bajora. Pistolet wyleciał mu z ręki i wylądował w kałuży pół metra od niego. Wisting napiął mięśnie. Chciał podbiec do Ravna, żeby go obezwładnić w chwili, gdy leżał bez broni, w błocie, ale prawa stopa odmówiła mu posłuszeństwa. Poczł mrowienie rozchodzące się wzdłuż łydki, spowodowane zbyt długim przebywaniem w tej samej pozycji. W tym czasie Ravn rzucił się do przodu i sięgnął po broń. Gdy wstał, skierował ją w stronę światła ciężarówki, w której siedział Hammer, i wystrzelił.

Do tej pory Wisting oddawał strzały jedynie na strzelnicy i zawsze używał słuchawek. Huk towarzyszący błyskowi był donośniejszy, niż to sobie wyobrażał. Usłyszał przenikliwy pisk i nagle wszystkie inne dźwięki zostały stłumione, jakby napchał sobie waty do uszu. Dopiero gdy mózg znowu podjął

pracę, komisarz zrozumiał, że w tej samej chwili rozległo się kilka wystrzałów. On sam zupełnie instynktownie oddał beznadziejny strzał w stronę przestępcy, gdy ten wycelował w Hammera.

Wisting przestał myśleć o tym, co się stało z Nilsem, i skupił się wyłącznie na Ravn. Spodziewał się, że tamten odpowie strzałem, i nie namyślając się, zrobił dwa kroki w bok, żeby osłonić Torunn. Mimo ciemności, deszczu i dymu prochowego zobaczył, że Ravn odwraca się, wbija w niego wzrok i rusza w jego kierunku.

– Stój! – krzyknął dowódca, ale Ravn zupełnie go zignorował. Jak na zwolnionym filmie Wisting widział zbliżającego się mężczyznę. Uniósł ramię i w niego wycelował. Serce, ukryte za kamizelką kuloodporną, biło tak mocno, że niemal sprawiało ból. Zacisnął palec na spuście, napinając kurek, i wciągnął głęboko powietrze przez otwarte usta, starając się powstrzymać drżenie ręki. Miał Ravna na celowniku. Jeszcze kilka milimetrów i padnie strzał.

Coś go powstrzymało. Spojrzenie Ravna? Mężczyzna nie spuszczał z niego wzroku, jego oczy były czarne i szeroko otwarte, a pozorny spokój ustąpił miejsca przerażeniu ściganego człowieka. Pistolet zwisał wzdłuż jego boku i Wisting słyszał jego przyspieszony oddech. Wiedział, że gdyby teraz zastrzelił Ravna, postąpiłby zgodnie z przepisami i nikt nie kwestionowałby jego decyzji. Ale coś go blokowało. Mężczyzna podszedł zbyt blisko.

Gdy Ravn przemknął obok niego między drzewami, jego twarz oświetliły reflektory jednego z samochodów. Na policzkach i szyi miał wyraźne ślady zadrapania.

Przez sekundę Wisting stał nieruchomo i patrzył, jak zabójca Prebena Prammas zniknął w lesie. Gdyby komisarz nie stał na linii ognia, Torunn lub któryś z antyterrorystów strzeliliby do Ravna. Wisting wiedział doskonale, że żaden z antyterrorystów nie pobiegnie za Ravnem do lasu, bo tam stałby się dla niego łatwym celem, by nie powiedzieć żywą tarczą. Przez krótką chwilę zastanawiał się, dlaczego nie oddał przynajmniej strzału ostrzegawczego ani nie próbował strzelić zabójcy w nogi. Taką decyzję podejmuje się jednak w ułamkach sekund, nie ma czasu na rozważenie wszystkich za i przeciw. W tamtym momencie zadziałał instynkt. I ten sam instynkt sprawił, że Wisting rzucił się w pogoń za mordercą.

Torował sobie drogę przez coraz bujniejszą roślinność, czując, że gałęzie drzew i krzewów niszczą mu ubranie. Ciemność stawała się coraz bardziej

nieprzenikniona. Niemal natychmiast stracił Ravna z oczu, słyszał jednak, że mężczyzna porusza się przed nim, wyprzedzając go o zaledwie kilkadziesiąt metrów. Z czasem chrzęst stóp i odgłos łamanych gałązek stał się mniej wyraźny. Wisting zrozumiał, że przewaga Ravna się powiększa. Powodem tego była nie tylko różnica wieku i oponka na brzuchu komisarza, lecz także nasilający się z każdym krokiem ból kolana. Mimo to udało mu się utrzymać wysokie tempo, a poza tym wiedział, że zagajnik jest niewielki i zaraz znajdą się na Stavernsveien.

Nagle upadł. Nie miał pojęcia, czy się o coś potknął, czy też uraz kolana sprawił, że noga się pod nim ugięła. Stoczył się z niewielkiego zbocza i wpadł na krzewy dzikiej róży, które podrapały mu twarz. Spojrzał w górę i zorientował się, że leży tuż pod uliczną latarnią. Z trudem łapał oddech. W ustach poczuł smak krwi. Gdy się podniósł, zrozumiał, że spadł na ścieżkę dla pieszych i rowerzystów, biegnącą wzdłuż głównej drogi. Kawałek przed nim z lasu wyłonił się Ravn. Stał spokojnie, zupełnie nieruchomo, śledząc Wistinga podobnie jak rozdrażniony drapieżca przygląda się swojej zdobyczy.

Komisarz nigdy nie pojął, skąd wzięła się tam młoda kobieta z psem, która nagle stanęła między nimi, ani co ją skłoniło do tego, by w środku nocy, podczas burzy wybrać się na spacer z psem.

Widok dwóch uzbrojonych mężczyzn przeraził ją. Zwinęła smycz i przyciągnęła do siebie małego pieska kanapowego, jakby miała nadzieję, że ją obroni albo odstraszy napastników. Pies skomlał i czuł się równie nieswojo jak jego właścicielka. W końcu zdobył się na odwagę i wydał z siebie dwa ostre szczeknięcia, jakby zwietrzył niebezpieczeństwo.

Wisting był maksymalnie skupiony. Patrzył na zabójcę. Ich spojrzenia po raz drugi się skrzyżowały. Zrozumiał, że mężczyzna jest zdesperowany. W oczach Ravna czaił się strach.

Ravn wycelował w policjanta, a wolne ramię wyciągnął w stronę kobiety. Zaczął iść w jej kierunku. Wisting domyślił się, jaki będzie kolejny ruch przestępcy. Zamierzał wziąć kobietę jako zakładniczkę.

Nagły przyływ adrenaliny oczyścił umysł Wistinga i usprawnił jego niewytrenowane ciało. Policjant przeniósł wzrok na kobietę. Jej długie jasne włosy były zupełnie mokre i przyklejone do twarzy i wiatrówki.

Nocne niebo rozdarła kolejna potężna błyskawica. Tym razem burza znajdowała się tuż nad nimi. Wisting nie zdążył zacząć liczyć, gdy rozległ się grzmot. Ravn zdekoncentrował się na ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło,

żeby Wisting przejął kontrolę nad sytuacją. Również tym razem zadziałał instynktownie. Odgłos trzech wystrzałów oddanych jeden po drugim zagłuszyła burza i dlatego wyglądało to tak, jakby Jonathan Ravn został trafiony niewidoczną pięścią. Upadł do tyłu, prosto w kałużę, która utworzyła się we wgłębieniu w asfalcie. Woda prysnęła na wszystkie strony. Nogami młodego mężczyzny wstrząsnęły drgawki, po czym ciało wyprężyło się i zastygło.

Wisting opuścił broń. Stał spokojnie i wpatrywał się w martwe ciało. Wypływająca spod niego krew mieszała się z wodą z kałuży. Oczy i usta Ravna były otwarte. Krople deszczu trafiały w odsłonięte gałki oczne, nie wywołując żadnej reakcji źrenic ani powiek. Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się całkowicie. Strach i gniew zniknęły. Na twarzy malował się spokój.

– Williamie! – zawołał ktoś za jego plecami. Wisting odwrócił się i zobaczył Mortensena nadbiegającego ścieżką dla pieszych. Kawałek dalej biegła Borg.

– Już po wszystkim – powiedział komisarz i usłyszał, że Mortensen przekazuje tę wiadomość pozostałym przez krótkofalówkę. – A jak wam poszło z tamtymi?

– Dobrze. Leżą po szyję w błocie, skuci kajdankami.

– A co z Nilsem?

– Wylize się. Dostał prosto w klatkę piersiową, ale pocisk nie przebił kamizelki.

– To dobrze – odparł Wisting w chwili, gdy Torunn podbiegła i objęła go na powitanie.

– Tak się o ciebie bałam – wyszeptała z płaczem i przyłgnęła do niego. Czuł, że cała się trzęsie. Było mu jej żal, ale nic nie mógł poradzić na to, że jego myśli biegły do Ingrid. Tęsknił za domem.

William Wisting od niemal dwudziestu minut siedział na ławce w szatni, trzymając w prawej ręce buty do biegania, które znalazł na dnie szafki. Ostatni raz miał je na sobie wiele lat temu, ale doszedł do wniosku, że najwyższy czas znowu zrobić z nich użytek. Uznał, że czterokilometrowa trasa biegnąca przez Bøkeskogen będzie dobra na początek.

– No i mamy *happy end!* – zawołał do niego spod prysznic Hammer, cały czerwony po półgodzinnym pobycie w saunie. Pod owłosioną klatką piersiową miał ślad wielkości pięści. Siniak był intensywnie czerwony z żółto-niebiesko-fioletowymi odcieniami.

– Tak, powinieneś się cieszyć, że miałeś na sobie kamizelkę – odparł Wisting.

– Miałem na myśli Ravna – wyjaśnił Hammer, wmasowując mydło w skórę głowy. – Brał udział w napadzie, jasne, ale trudno byłoby przekonać ławę przysięgłych, że razem z Agimem zamordowali Pramma.

Komisarz przytaknął. Sprawa sądowa opierałaby się na poszlakach. Otrzymali wynik analizy porównawczej włosów, który potwierdzał, że Agim Gjikkolli był w domu Pramma, ale nie mieli nic, co bezpośrednio wiązałoby Ravna z morderstwem.

– Nie mówiąc już o zabójstwie Agima – ciągnął Hammer. – Dobry adwokat zrobiłby miazgę z naszego okazania. Staruszek od kamieniołomu ogląda zdjęcia i przysięga, że widział wtedy Ravna. Był środek nocy, facet był pijany, oślepiiony reflektorami nadjeżdżającego samochodu i tak dalej.

Wisting znowu przytaknął, nie komentując słów kolegi. Jonathan Ravn został pochowany na cmentarzu Tanum trzy dni temu. Pod nekrologiem zamieszczonym w lokalnej gazecie podpisała się „rodzina”, która poinformowała, że „pogrzeb odbył się w ciszy”.

Rzeczywiście było cicho. Wisting i Hammer siedzieli w volvo na drodze krajowej i śledzili krótki, dziwny kondukt żałobny. Poza najbliższą rodziną szło w nim trzech brodatych mężczyzn ze zmierzwionymi włosami, ubranych w kombinezony motocyklowe oraz garstka Pakistańczyków, którzy, jak wyjaśnił Hammer, należeli do grupy przestępczej ze stolicy. W pogrzebie brał udział również Robert Vassvik, pilnowany przez Torunn Borg i Espena Mortensena, którzy doprowadzili go z aresztu.

– No i super, że Vassvik się przyznał! – zawołał Hammer, który zajął się namydleniem ud.

– Tak – odparł krótko komisarz. Robert Vassvik przyznał się i do napadu, i do przemytu narkotyków, ale właściwie nie miał innego wyjścia. Zdjęcia zrobione przez Pramma stanowiły solidny materiał dowodowy razem z workami z narkotykami, które wyładowano na brzeg z łodzi prowadzonej przez Vassvika.

– Bo inaczej do późnej jesieni odwalalibyśmy papierkową robotę – ciągnął Hammer.

Wisting uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni. Nie lubił wyrażenia „happy end”, ale cieszył się, że śledztwo zostało zakończone. Za dwadzieścia minut zaczynał urlop. Nareszcie. Postanowił dać sobie chwilowo spokój z odchudzaniem i wrzucił buty z powrotem do szafki. Pojechał windą na górę do swojego gabinetu, w którym wszystko, co miało związek ze sprawą Pramma, zostało sprzątnięte i zarchiwizowane. Na biurku leżała tylko mała karteczka z numerem telefonu. Wybrał go w nadziei, że uda mu się jeszcze zarezerwować wycieczkę do Rzymu dla dwojga.



Fragment kolejnej powieści
o Williamie Wistingu

„Felicia zaginęła”

1

William Wisting twierdził zawsze, że na ziemi uprawnej powinno się siać zboże, a nie grać w golfa. Rozglądając się po sztucznym krajobrazie i drżąc z zimna, zastanawiał się, co on tu właściwie robi. Poranna rosa z trawy przesiąkła przez buty materiałowe i skarpetki powoli robiły się wilgotne. Powietrze było zimne i rześkie. Południowy wiatr wiejący od morza niósł ze sobą jedynie szare chmury.

To była jego czwarta przymusowa wyprawa na pole golfowe i za każdym razem uderzała go niezwykła cisza, spokój i piękno tego miejsca. Zaczął rozumieć fascynację sportem i zazdrościć tym, którzy mieli czas na tego rodzaju rekreację.

– To zupełnie niepojęte – zapiszczał głos za jego plecami. – Nie do pomyślenia.

– Ale nie jestem pewny, czy to jest sprawa dla policji – odparł Wisting i spojrzął na Finna Habera, który biegał w kółko z aparatem fotograficznym, szkicownikiem i taśmą mierniczą. Stary technik kryminalistyki potrząsał głową za każdym razem, gdy odczytywał wynik pomiaru.

– Przecież ktoś musi zbadać, co się tutaj stało! – zaprotestował drobnokościsty mężczyzna, który przedstawił się jako greenkeeper. Wisting był tak zaskoczony nazwą zawodu, że nie zapamiętał jego nazwiska. – To prawdziwa zagadka – dodał.

Miał rację. I zazwyczaj tyle wystarczyło, żeby wzbudzić ciekawość Williama Wistinga, ale mimo wszystko tych kilka metrów kwadratowych martwej trawy wydało mu się bardziej sprawą dla zarządu dróg i zieleni niż dla policji, która odnotowałaby to jako niewiele znaczące naruszenie przepisów ustawy

o ochronie środowiska. W najgorszym razie mogłoby to zostać zakwalifikowane jako akt wandalizmu. Mając w pamięci stos akt piętrzących się na jego biurku, Wisting uznał, że chodzi o drobnostkę, i gdyby nie fakt, że komendant połknął bakcyła golfa, komisarz na pewno by się tutaj nie zjawił.

Trzęsąc się z zimna, spojrział na szare chmury płynące szybko po niebie. Nic nie zapowiadało rychłego nadejścia lata. Podwinął mokre palce stóp. Miał nadzieję, że Haber wkrótce zakończy czynności.

Wszystko zaczęło się w ostatnim tygodniu maja. Pięć kręgów martwej trawy przypominających oczka kostki do gry. Tydzień później pojawiło się kolejnych pięć pierścieni. W zeszłym tygodniu wybrali się na pole golfowe po raz trzeci tylko po to, by odnotować pojawienie się następnych pięciu kręgów zniszczonej trawy.

– Zdaje się, że nie gra pan w golfa? – zagadnął greenkeeper, wrywając Wistinga z zamyślenia.

– Nie – przyznał komisarz.

– Powinien pan. To wspaniały sport.

– Pomyślę o tym – odparł, wciągając ostrożnie brzuch.

– Ale skoro pan nie gra, to nie rozumie pan, co to za tragedia dla klubu – zapiszczał. – Trawa była zawsze naszą dumą.

– Rozumiem – zapewnił Wisting, przyglądając się trawiastym równinom wokół. Nagle uświadomił sobie, że mężczyzna rzeczywiście miał się czym chlubić.

– Ktoś musi wyjaśnić, co się tutaj stało.

– I co o tym sądzisz, Finn? – Wisting zwrócił się do technika kryminalistyki, który właśnie zakończył pomiary. W ciągu swojej wieloletniej kariery Haber wykonywał znacznie trudniejsze i bardziej ekscytujące zadania. Zawsze jednak podchodził do swojej pracy z ogromnym zaangażowaniem i każdą sprawę traktował równie poważnie. Poza tym miał pogodne usposobienie. Komisarz uważał go za jednego z najbardziej solidnych policjantów w wydziale. Kogoś, na kim można było polegać niezależnie od przedmiotu sprawy.

– Żebym to ja wiedział – westchnął Haber. – Ale na pewno nie chodzi o zjawisko naturalne.

– Tylko mi nie mów, że ty też przychyłasz się do teorii o UFO, którą forsują gazety!

– Daj spokój – uśmiechnął się. – Zastanawiałem się, czy to może być

sprawka mrówek, kretów lub innych stworzeń, które ryją pod ziemią, ale muszę to wykluczyć.

– Tak?

– Kręgi są takie same – wyjaśnił. – Każdy z nich ma dokładnie metr średnicy. Odległość między czterema zewnętrznymi pierścieniami wynosi pięć metrów, a środkowy krąg znajduje się dokładnie w samym środku. Zaskakująco idealna symetria.

– Innymi słowy: komuś udał się kawał – skomentował Wisting.

– Tak, ale to dziwne, że te kręgi są dokładnie takie same jak poprzednie trzy. Są identyczne, jeśli chodzi o wielkość i odległości między pierścieniami. Kropka w kropkę.

– I co teraz zrobicie? – zapiszczał niemal triumfująco greenkeeper. – Pracuję tu od dwudziestu lat i nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Muszę trochę popytać w środowisku – odparł Haber. – Porozmawiać z kimś, kto zna się na glebie, trawie i podobnych sprawach.

Czterech mężczyzn stało w milczeniu, przyglądając się tajemniczym wzorom. Wisting słyszał, jak greenkeeper nabiera powietrza, żeby po raz kolejny tłumaczyć policjantom, co to za tragedia dla klubu golfowego, ale przeszkodziły mu głośne dźwięki klaksonu dolatujące z parkingu. Komisarz odwrócił się i zobaczył mężczyznę stojącego przy otwartych drzwiach samochodu i wymachującego ramionami. Trudno było nie rozpoznać wielkiej sylwetki Nilsa Hammera.

– Wątpię, czy komendant kupił wam telefony komórkowe po to, żebyście zostawiali je w pracy – skomentował, gdy do niego podeszli.

– Przepraszam – uśmiechnął się Wisting. – To coś ważnego? – spytał, ale właściwie znał odpowiedź. To musiało być ważne, skoro Hammer po nich przyjechał.

Śledczy umieścił porcję snusu pod wargą, po czym spojrzał na nich ciemnymi oczami i rzekł:

– Śmiertelnie.

W powietrzu czuć było napięcie i oczekiwanie. Kierowca koparki chwytakowej siedział pochylony nad kierownicą, z brodą opartą o dłoń, i palił energicznie skręta. Trzech kolegów stało obok ciężarówki i prowadziło ożywioną dyskusję,

rozkopując butami żwir. Mężczyzna w kasku kierownika budowy rozmawiał przez telefon komórkowy i kiwał gwałtownie głową, przytakując osobie po drugiej stronie linii.

Wokół głębokiego dołu na drodze krajowej dwaj policjanci pełniący służbę patrolowo-interwencyjną rozwiesili biało-czerwoną taśmę. Teraz starszy z nich siedział w radiowozie i tłumaczył coś przez radiostację, żywo gestykułując, natomiast młodszy kierował ruchem, wskazując kierowcom trasę objazdu prowadzącą przez teren budowy.

Wisting przeszedł pod taśmą i zatrzymał się, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. Na dnie wykopu o głębokości około trzech metrów i podobnej szerokości leżała stara szafka ubraniowa bhp. Była zdeformowana i miała rysy po bokach – ślady po zębach łyżki chwytakowej. Drzwi były otwarte, a na metalowym skoblu wisiała stara, zardzewiała kłódka.

Komisarz nie wiedział, na co dokładnie patrzy. Zawartość szafki była nieokreślona, zupełnie niepodobna do wszystkiego, co kiedykolwiek widział. Całość pokrywała gęsta, lepka warstwa zielonkawej pleśni. Pod nią znajdowały się resztki materiału, z którego wyrastały duże, blade, niemal przezroczyste grzyby. Długie szarobiałe zarodniki wplotły się w resztki tekstyliów, które przypominały brązową masę. Tu i ówdzie wystawały kredowobiałe kości, otoczone woskowatym śluzem. W górnej części szafki szara czaszka z kilkoma kosmykami włosów wpatrywała się w górę pustymi oczodołami.

Szczątki tego, co dawno temu było człowiekiem, wywołały u Wistinga dreszcze. Poczul kłucie w karku. Otworzył usta, ale wydał z siebie jedynie ciche westchnienie.

– Czyżbym zapomniał o tym nadmienić? – zarechotał Hammer. – On leży tu już od jakiegoś czasu.

Komisarz puścił tę uwagę mimo uszu. Nie myśląc o ubraniu, butach ani o Ingrid, która doprowadziłaby później jedno i drugie do ładu, wskoczył do dołu. Skupił się na zagadce, która wyłaniała się ze starej metalowej szafki. Mózg wyłapywał szczegóły, które mogły mieć znaczenie dla późniejszego śledztwa. Ledwo czytelną nazwę producenta, Stålsett, umieszczoną nad drzwiami, resztki swetra, skórzany pasek ze sprzączką pokrytą patyną, coś, co kiedyś błyszczało, prawdopodobnie łańcuszek, kilka metalowych elementów, które wisiały obok siebie i były haftkami starego biustonosza.

– Ona – powiedział Wisting w zamyśleniu. – To jest kobieta.

– Znasz się na tym? – spytał Haber z powątpiewaniem i zrobił pierwsze zdjęcia poglądowe. – Może mi jeszcze powiesz, ile urodziła dzieci?

– Miała na sobie stanik – wyjaśnił komisarz, wskazując resztki haftek przyczepionych do kręgosłupa. – Poza tym to jest mała szafa. Wątpię, czy zmieściłby się w niej dorosły mężczyzna.

Haber spojrział na niego znad okularów.

– Może chciałbyś przejąć moje obowiązki od przyszłego roku, kiedy przejdę na emeryturę?

Wisting nie odpowiedział.

– Od jak dawna tu leży? – spytał.

– Cóż, w tym punkcie twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje – odparł Haber. – Trudno powiedzieć, w jaki sposób gleba, temperatura, wilgotność i inne czynniki zewnętrzne wpłynęły na procesy gnilne, którym podlegały zwłoki leżące w metalowej szafie pod ziemią.

– Ale mówimy o latach?

– Oczywiście. I to o wielu.

– I, rzecz jasna, chodzi o zabójstwo? – spytał Hammer, wygrzebując snus spod górnej wargi.

– Nie śmiem się wypowiadać na temat przyczyny zgonu – odparł Haber i znów spojrział znad okularów. – Ale jeśli ktoś zostaje zamknięty w szafie i łąduje sześć stóp pod ziemią, to raczej nie ma mowy o nieszczęśliwym wypadku.

Wisting wyszedł z dołu i pozwolił Haberowi wykonywać czynności. Potem zwrócił się do kierownika budowy, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon. „Johannes Johansen”, głosiły wytarte litery na żółtym kasku ochronnym. Nad nazwiskiem znajdował się napis „Kierownik budowy”, dodany nie tak dawno temu. Ubranie zdradzało, że mężczyzna reprezentował firmę budowlaną Selmersen & Sønn. Nerwowymi żółtymi palcami usiłował skrócić papierosa, odpowiadając jednocześnie na pytania Wistinga.

– Jakie prace są tutaj prowadzone?

– Budujemy przejście podziemne w połączeniu z nową ścieżką dla pieszych i rowerzystów – wyjaśnił i polizał bibułę.

– Od jak dawna trwają prace?

– Taaa, nad ścieżką rowerową pracujemy, odkąd skończyły się poranne przymrozki, ale tutaj zaczęliśmy dzisiaj.

– Znaleźliście coś jeszcze?

– Niby co? – spytał Johansen, klepiąc się po ubraniu w poszukiwaniu zapalniczki. Wisting darował sobie wyjaśnienie, że ten, kto pozbył się zwłok, mógł także wyrzucić narzędzie zbrodni i inne dowody rzeczowe.

– Jak długo to mogło tutaj leżeć? – spytał.

Mężczyzna wyjął zapalniczkę z tylnej kieszeni, zapalił krzywego skręta i wzruszył ramionami.

– Chodzi mi o to... Zaczęliście kopać dzisiaj, tak? – ciągnął Wisting. – Niemożliwe, żeby szafka została wyrzucona w ciągu nocy?

– Nie. Wykopaliśmy ją niecałą godzinę temu. Rolfsen obsługiwał koparkę. – Johansen skinął głową na jednego z mężczyzn z ekipy budowlanej, który siedział nieopodal i żuł kawałki drewna, śledząc uważnie każdy ruch Habera. – Ta droga powstała ponad dwadzieścia lat temu. Zwłoki mogły tu leżeć od tamtej pory.

Wisting skinął głową w zamyśleniu, gdy świeżo wypolerowana toyota wjechała na pobocze drogi, przy której stali komisarz i kierownik budowy. Kierowca zahamował gwałtownie, wzbijając kłęby kurzu, który osiadł na czarnym lakierze. Na przedniej szybie znajdował się biały szyld z wytłuszczonym napisem PRASA. Wisting zastanawiał się czasem, czy dziennikarzom, którzy zaopatrywali się w takie gadzety, wydawało się, że stawia ich to ponad prawem i że nie obowiązują ich przepisy ruchu drogowego ani zasady parkowania. W każdym razie mężczyzna, który wyskoczył z auta, nie potrzebował tabliczki informującej o tym, kim jest. Co prawda samochód był jego nowym nabytkiem, ale Kristoffer Nybråthen z „Østlandsposten” pojawiał się w każdym miejscu zdarzenia, gdzie Wisting prowadził czynności.

– Miałem nadzieję, że złapię pana jeszcze na polu golfowym – zaczął dziennikarz i przełożył włosy, które opadły na bok, z powrotem na łysą czaszkę.

Komisarz skinął tylko lekko głową. Jego dziadek nosił taką samą fryzurę i Wisting długo był przekonany, że ten rodzaj uczesania jest zarezerwowany dla starych mężczyzn. Do czasu, gdy w połowie lat osiemdziesiątych Nybråthen zjawiał się na miejscu zbrodni ubrany w dżinsy i czerwoną kurtkę do golfa. Dzisiaj kurtkę zastąpił gruby szarobiałły sweter z tej samej epoki.

– Ale to wygląda bardziej obiecująco – ciągnął dziennikarz, zbliżając aparat fotograficzny do pokrytych tłustymi plamami okularów w rogowych oprawkach. Zaczął robić zdjęcia. Archiwum „Østlandsposten” musiało mieć

niezliczone ilości podobnych fotografii przedstawiających Wistinga w pracy.

– Słyszałem, że są tu jakieś stare zwłoki – dodał i opuścił aparat. Wisting domyślał się, że dla Nybråthena fotografowanie było równie naturalne, jak zmiana biegów dla kierowcy. Podejrzewał też, że dziennikarz nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, że ciągle robi zdjęcia.

– Sam dopiero co przyjechałem – odparł wymijająco Wisting.

– Ale są tu jakieś zwłoki?

– Znalaziono kilka fragmentów kości – zaczął, ale zrezygnował z zabawy w podchody. Kristoffer Nybråthen był zdolnym i gorliwym dziennikarzem. Wisting wiedział, że tamten nie odpuści, dopóki komisarz nie potwierdzi tego, o czym obaj wiedzieli. Poza tym zasługiwał na coś więcej niż zdawkowy komentarz. Nybråthen zawsze grał z policją do jednej bramki i był tym, do którego policjanci zwracali się z prośbą o pomoc, kiedy potrzebowali wsparcia ze strony mediów w związku z prowadzonym śledztwem.

– To są szczątki ludzkie – wyjaśnił, gdy dziennikarz spytał, o jakie kości chodzi.

– Mężczyzny czy kobiety?

– Za wcześnie, by to stwierdzić – odparł. Nie chciał, żeby jego przypuszczenia znalazły się następnego dnia w gazecie.

– Przyczyna śmierci?

Komisarz potrząsnął głową. Zresztą, wyglądało na to, że dziennikarz nie spodziewa się odpowiedzi. Znowu podniósł aparat i zaczął robić zdjęcia, jedno po drugim, gdy czterech policjantów wydobyło z dołu starą szafkę ubraniową ze szczątkami ludzkimi i położyło ją na brezencie z tyłu radiowozu.

Od ostatniej sprawy zabójstwa, którą prowadził Wisting, minęły dwa lata. Komisarz miał świadomość, że tym razem czeka go wyjątkowo trudne zadanie i że jego wysiłek może pójść na marne. Jeśli ofiara leżała zakopana od ponad dwudziestu pięciu lat, sprawa uległa przedawnieniu. Mimo to czuł dobrze znane łaskotanie w żołądku, jak zawsze, gdy miał do rozwiązania nową zagadkę. Ciekawiło go, jaka tajemnica kryje się za makabrycznym odkryciem, którego właśnie dokonali.

•••

Tytuł oryginału: *Nøkkelvitnet*

Copyright © 2016 Jørn Lier Horst
Published by agreement with Salomonsson Agency
All rights reserved

Copyright © 2017 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Milena Skoczko

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska
Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz
Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska
Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska
Zdjęcie wykorzystane na okładce: ©istockphoto.com / amite

ISBN 978-83-64846-99-1



Smak Słowa
ul. Sobieskiego 26/4,
81-781 Sopot
Tel. 507-030-045

Szukaj nas także na



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Kluczowy świadek

Spis treści

Karta tytułowa

W serii

Przedmowa do wydania polskiego

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

Fragment kolejnej powieści o Williamie Wistingu

Karta redakcyjna